

Powody  
do odp. i uyk.

Przeźmierowo, 15.1.1993.

II/2017

Szanowna Redakcjo KARPA!

Dziękuję za pamięć, gratuluje szczytnej pracy nad dziejami zrywu niepodległościowego pokolenia dowojennego i ceny jaką ono musiało za to zapłacić. Wyrażam Wam za to swój szacunek i uznanie, życząc na tym polu i w życiu osobistym sporo zasłużonych sukcesów.

Gotów jestem pomóc Wam z całego serca, jednak ilekroć dostaję od A.W. jakieś zadanie do wykonania na przysyłanym druku czy jak tym razem załączone w piśmie Waszym pytania- staję przed zadaniem nie do wykonania. *Książki mi da się bowiem znaleźć w lokalnej bibliotece.*

W roku 1991 ukazała się moja książka "Wołało nas Wilno"- wydawnictwa księgarni św.Wojciecha w Poznaniu. Ująłem w niej okres życia Wileńszczyzny w latach 1939 - 1944. Jako oficer AK, po powrocie 10.10.39 z frontu, po szczęśliwym wydostaniu się z pociągu katyńskiego, dostałem się do swego rodzinnego miasta, włączając się natychmiast w nurt konspiracyjny. Jest to jedyna publikacja ujmująca powstanie, rozwój, Powstanie Wileńskie i zdradzieckie rozbrojenie, z org.schematami.

Aktualnie kończę kolejną, która obejmie okres 1945-1956, do 1993. Okres pierwszy to więzienie i pobyt w łagrach Warkuty. Tam, już z wyrokiem aresztowany powtórnie (zbrojne powstanie w obozie i szpiegostwo na rzecz USA) w 1950. W 1953 udział w strajku generalnym GULAGU, karny obóz, powrót do kraju 1.1.1957. Narazie bez tytułu-zastanawiam się.

Do wojny studiowałem prawo, tam pracowałem w kopalniach. Warunkiem przetrwania było przystosowanie się do tych "niehumanicznych" warunków. Oczywiście wiara, że się powróci do kraju.

Wiedziałem, że po powrocie nie będę prawnikiem w PRL. Do tego wystarczy wykształcenie podstawowe, pała w ręce i legitymacja w kieszeni.

Górnictwo potraktowałem poważnie. Skróciłem czas pracy z łopata, która prowadziła tylko pod mech. Pisać o tym można tomy. Przetrwałem to wszystko. Mówią, że najlepsi giną. Wspominam wielu wspaniałych ludzi, którzy pozostali tam już na zawsze. Jakaż krzyżująca niesprawiedliwość!

Jechałem do Polski, nie-leciałem na skrzydłach rozpiętych orka! 1.1.1957, po wyjściu z pociągu ucałowałem polską ziemię w katorżańskim buszłacie. Narodziłem się po raz drugi w swym życiu.

Warszawa. Na peronie wołania grupy młodzieży akademickiej: "Kto z obozów?! Podniosłem nieśmiało rękę. Otoczyło wnet grono pięknych z niebios zesłanych dziewcząt i dzielnych chłopaków. Zostałem wzięty do niewoli. Myślałem, że poniosą mnie na rękach.

Przez 2 tygodnie spotkania w różnych mieszkaniach i relacje z pobytu na niehumanicznej ziemi. Ministerstwo Górnictwa, skierowanie do ko-

palni "Sośnica" do pracy. W kopalni-angaż na najniższe stanowisko dozeru technicznego. Trzymiesięczne wynagrodzenie, pokój z kuchnią (kawaler do wzięcia) w hotelu robotniczym w Sośnicy.

Wykorzystuję przywilej 3 miesięcy wolnego. Olsztyn-rodzina: 2 siostry i brat, Matka, płacząc 3 lata, zmarła w 48. Po 2 tygodniach jadę do Gdańska. Koledzy, przyjaciele, Wilniuki, lekarze, prawnicy, profesorowie. Ponad 2 miesiące niezapomnianych spotkań, odczytów, spotkań towarzyskich. Bajka.

Sośnica. Praca twarda górnika. Z dawnych adwokackich planów - czarne, mokre podziemie kopalni. Muszę zdobyć dyplom inżyniera górnika, inaczej pieskie samopoczucie, żadna perspektywa. A więc praca i dojazdy do AGH Kraków. Staż 11 lat pracy w górnictwie to 3 prawie fakultety. Wiedzy po uszy. Praktyki nie mniej. Składam egzaminy. Właściwie nowa jedynie terminologia-polska. Praca idzie dobrze. Dyrektor mówi na spotkaniu: "Wiemy skąd pan wraca. Uchylilibyśmy panu nieba, ale widzi pan do czego Minc doprowadził naszą gospodarkę"

Panie dyrektorze - mówię - mnie naprawdę niczego nie trzeba. Jestem szczęśliwy, że wróciłem do Polski, o której marzyłem przez 5 lat walki w AK i 12 lat w łagrach sowieckich.

W górnictwie (Urząd Górniczy na straży) awansuje się najszybciej co 3-4 lata. Wymagane doświadczenie na każdym szczeblu. Pracuję do 1960. Awansuję co roku. Wyniki w górnictwie są wymierne: tony i metry.

Mam 40 lat, mieszkanie 2 pokoje z kuchnią w Gliwicach. Samodzielny, dyplom inżyniera górniczego. Czas pomyśleć o rodzinie. Zenię się z lekarką pracującą w przychodni górniczej. Poznanianka. Wanda.

Pod ziemią już 16 lat pracy. Dwa razy w szpitalu-wypadki. Przechodzę do Konina, Zagłębie Węgla Brunatnego jako nadsztygar (inż. prowadzący pracę kopalni na zmianie. Zona w przychodni górniczej. Syn Jerzy (mój pseudonim). Mieszkanie. Rm Rok 1962-gł. inż. kopalni "Kazimierz"-pierwsza w Europie całkowicie zautomatyzowana kopalnia węgla brunatnego w budowie. W Koninie 15 lat pracy, 1964 gł. inż. górniczy inwestycji, 1970 gł. inż., postępu technicznego KWB Konin. 1975 emerytura.

5 lat pracuję ponad wysłużoną pełną emeryturą. Nie będąc partyjny wydebywałem polskiej gospodarce czarne złoto-dolary. Tak sobie naiwny tłumaczyłem wtedy sam sobie tę decyzję. A Gierek budował wtedy sobie marmurową willę. Wtedy myślałem inaczej.

Córka Alicja. Nowe mieszkanie, 3 pok. z kuchnią. Praca zawodowa to ciąg sukcesów. Rok 1959- Warszawa- pierwsze 3 odznaczenia: Krzyż Walecznych, Medal Zwycięstwa i Wolności, Odznaka Grunwaldzka. Wręczał gen. Rómmel z okazji spotkania z powstańcami Warszawy i Wilna. Doszły: Srebrny Orderu Virtuti Militari, Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, za udział w Wojnie Obronnej, Krzyż Kawalerski Odrodz. Polski, Złoty Krzyż Zasługi i inne.

Do wojny uprawiałem sport ~~zxxxxxxx~~ czynnie. Mistrzostwa i Wice Polski w Białkórkę i Koszykówkę. Stąd, pracując w Keninie, przez 4 lata pełniłem społecznie funkcję prezesa Klubu Zagłębie Kenin.

W 1983 nagrodzony zostałem w konkursie wojewódzkim za ~~xxjxxx~~ wybitne osiągnięcia techniczne w dziedzinie projektowania. Co było dokuczliwe? Niemożność włączenia się do czynnego życia politycznego i stale odczuwana świadomość, mimo tych awansów i odznaczeń, których nie nosiłem, że co byłem posądzany, że "lekceważę je", że jako bezpartyjny jestem jakgdyby obywatelem drugiej klasy, któremu ze względu na akowsko-więzienną przeszłość zaufać nie można. Stanowisko gł.inż.kopalni było kresem możliwości. To mi jednak w zupełności wystarczało.

Łagry. Dwa ciężkie szalenie śledztwa: rok i 6 mies. Strajk GULAGU i karne obozy i karcery. Jeden scenariusz snu, koszmar, prześladowane do dziś. Uciekam lecąc w powietrzu. Z dołu chwytają mnie za ubranie kagiebiści. Dziela milimetry. Nadlatuję nad budynek duży bez dachu. W nim chodzą mężczyźni. Ląduję. Nic nie mówią, ale usiłują wprowadzić mnie do jakiegoś pokoju, a ja wiem, że tam mnie wykończą. Uciekam, ale labirynt pomieszczeń i nie wiem, gdzie jest wyjście. Ratunek w locie. Podrywam się do lotu. Idzie to nadzwyczaj ciężko. Szukam okna bez krat. Wylatuję jaskółką. Pola, szybuję. Budzę się. Koszmar.

Do 1980 nawiedzał mnie co tydzień. Później rzadziej.

Pobyt w łagrach umocnił moje akowskie morale. Gdy człowiek doprowadzony jest do stanu, że śmierć tylko może być najlepszą alternatywą wyjścia z sytuacji to, będąc już w kraju nic nie może człowieka zadziwić, zamartwić, a tym bardziej zakłamać. Ja nie potafię już NICZYM się CIESZYĆ. Radość moja jest SPOKOJNA a BÓL KAMIENNY.

Byłem Mężem Zaufania na prośbę "S" Lecha Wałęsy. Dwukrotnie. Znając Jego niedociągnięcia zgodziłem się jednak ~~w~~ przekonaniu, że dobierze sobie ODPOWIEDNICH ludzi. Dziś jestem przerażony sytuacją w kraju. Demoralizacją tzw. elit, biernością społeczeństwa i młodzieży. Stosuję jednak zasadę: "Róbmy swoje".

Mam pod opieką dwa gimnazja i dwie Szkoły. Zapraszają. Spotkania autorskie. Kontakt szczery. Proszą to znaczy mnie potrzebują! Stowarzyszenia Przyjaciół Wilna, Sybiracy, Klub Oficerów Rezerwy to sceny mojej aktualnej pracy pro publico bene.

No i ta nowa książka, po której dużo sobie obiecuję. Przeżycia moje 1945-1956 to faktobiografia. Płem głównym są stosunki polsko-sowieckie od 23.06.1939, 17.09.39, deportacja 200 tys. polskiej armii Katyń, deportacja 2 mil. obywateli polskich z Kresów Wschodnich, łag-

ry, okupacja Polski 1945, terror, Rokoszewski, polscy komunistyczni zdrajcy, PRL. stojąca w Polsce do dziś armia sowiecka.

Do tego wszystkiego mam około 100 stron maszynopisu poezji więzienne-łagierniczej. Zamierzam wkomponować to w jedną całość. Opisy prozą wzmocnione ekspresją przeżyć więźniów. Ta poezja ma wartość historyczną. Jest więcej miejsce również i na lirykę. Wszak nieśliśmy wtedy po 20-28 lat. A podczas okupacji ślubowaliśmy, że będziemy się żenić dopiero w wolnej Polsce.

Czuję się winny. Ożeniłem się w 1953, a Polska wolną wtedy jeszcze nie była. Ale ona wolną to nie jest i dziś jeszcze!. Trudno w takim przyszło mi żyć i walczyć okresie.

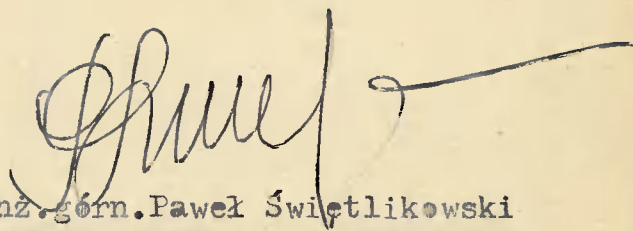
Nie mam żadnych nawyków i uprzedzeń. Znam życie i więcej, aniżeli inni rozumieć ludzi i życie. Niestety jest to, że komuna zdemoralizowała cały Naród, zabiła w nim wiarę w siebie. Mercedes, stołek, prywatna, liberalizm w życiu, w obyczajach, żadnych więzów moralnych.

Pójść do łóżka byle z kim, pohulać, a dziewczyna niech morduje. Oto dewiza "Europejczyków" natchnionych komuną, do której wstydzą się przyznać.

Przepraszam za te wstawki. Pytania takiego nie było, ale wiąże się to w całość, o którą Zasłużona KARTA zabiega.

Wydanie mojej książki traktuję jako obowiązek moralny i patriotyczny. Polacy, pomimo kilku wydań w tym temacie, historii tej nie znają. GUŁAG Sędzienicy to historia zakliuczonych, ja przeszedłem łagry o najcięższym reżymie łagrowym-katorżańskie. Oprócz tego historia nie poskąpiła mi tam "przygód" specjalnych. Będąc oficerem, sędłem tam w pierwszej linii pod presję. Zmieniłem dlatego aż 5 łagrów.

Życzę powodzenia, pozostaję  
z szacunkiem

  
Inż. górni. Paweł Świętlikowski  
d-ca 2 bat. Dzielnicy B Wilno-  
Śródmieście. par. "Jerzy".

Wil. Okr. AK.

P.S. Za wiadomości, że  
doszło, będę wdzięczny.  
P.

Ma charakter wspomnieniowy. Jest to jednak tylko tło do książki o charakterze politycznym. Ukazany w niej chronologiczny ciąg wydarzeń historycznych jest materiałem **DOWODOWYM** polityki sowieckiej globalnej, a w tym i do Polski.

45 lat rządziło i kontrolowało KGB. Generał KGB opuścił polskie MSW dopiero latem 1993r.! Pozostała działająca sprawnie siatka szpiegowska. Antykomunistyczna Polska nie jest w STANIE przeprowadzić lustracji, bez której nie ma mowy o wolnej i suwerennej Polsce. Dziś decyduje Rosja, czy Polska może wejść do NATO.

Podziwiam p. prof. Staniszkis, która jako jedyna w Polsce widzi w tych wszystkich sprawach **REZYSERIĘ KGB**. Potwierdzam to w pełni.

Los sprawił, że 12 lat przebyłem w samym środku tego systemu. Oczy miałem otwarte. Poznałem tajniki tego systemu. Przeciętny Polak nie zdaje sobie sprawy i nie wyobraża jak daleko skutecznie jest sterowana polityka naszego kraju. We wszystkich jego przejawach.

Dlatego ta książka jest aktualna na czasie. Dziś. Załączony w niej **EPILOG** traktuję jako wstępny. Należy go bardziej zaktualizować i nadać jemu charakter alarmowego dzwonka do naszej aktualnej sytuacji politycznej:

**JAKA i CZYJA będzie POLSKA?**

Rezumem, że oprócz roli dokumentu historycznego, ważny jest dziś także element ekonomiczny.

**Autaxx**

Auter.

25.01.1994.

1/2017

Wstęp.

---

Napisanie tej książki było moim świętym obowiązkiem. Było nakazem wewnętrznym człowieka, który siedenaście lat swojej złotej wolności oddał bez reszty Polsce. Barbarzyński napad Niemców we Wrześniu 1939 roku, a wkrótce też zdradziecki najazd czerwonej armii przetrzymał na froncie. Nie przeraził i nie zdemoralizował szek utraconej niepodległości. Pięć lat zmieniających się okupacji to pięć lat walki w konspiracji, w sławnych szeregach SZP-ZWZ-AK.

Powstanie Wileńskie w lipcu 1944 zamiast spędzowanej i należnej wolności "nagrodziło" więzieniem i dwunastoletnim pobytem w katerzańskich łagrach syberyjskich. Rozwiązał się boleśnie sen o wolnej, niepodległej i suwerennej Polsce. Miała być suwerenna, dostatnia i demokratycznie sprawiedliwa. Minęło już od tego czasu 48 lat, a tej wymarzonej w akowskich snach Polski niema do dziś.

Pozostała mi tylko myśl wolna. Nosikiem ją w sobie jak piękną zadrę. Była jak jątrząca się stale na organizmie i nie mogąca się zabiłnić rana. Ciężka wyrzutem sumienia w stosunku do Tych wywiezionych z Kresów Wschodnich ok. 1,5 miliona Współtowarzyszy zmagających Wrześniowych i Tych później z okresu pięciu lat okupacji w szeregach Zbrojnego Ramienia Narodu Armii Krajowej.

Szczególnie zaś w stosunku do Tych rozstrzelanych w Katyniu i wielu "miejscach odesebnienia" jak również zmarłych z głodu i wycieńczenia w sowieckich łagrach i obozach przymusowej, niewolniczej pracy.

Jest to swego rodzaju "GULAG" pisany ręką polskiego oficera AK, katerznika, więźnia stalinowskiego łagrow o najwyższym stopniu reżymu. Jednak główną myślą przewodnią tego przekazu nie są łagrowe losy i cierpienia akowskich powstańców. Służą one tylko za tło, na którym ukazana została prawdziwa od wieków, a ostatnie przez przez Związek Radziecki prowadzona w stosunku do POLSKI polityka imperialna. Polityka, której końcowym celem było wymazanie Jej z mapy Europy i unicestwienie polskiego Narodu. Co gorsze, czynił to również posługując się rękami polskich zdrajców-komunistów, którzy plan ten zaakceptowali.

Ta perfidna gra polskich komunistów była grą o interesy obce, państwa nam wrogiego, komunistycznej Rosji. Była kijańskim uczestnictwem w ludobójczym dziele kłótni zniwelenia polskiego Narodu i likwidacji jego najbardziej żywotnych i patriotycznie nastawionych sił. Była jawną hańbą i zdradą Polski!

Wiernie i lekajsko służyli tym, którzy mordowali barbarzyńsko Polaków w Katyniu, Kurepatach, Sejnach i tysiącach podobnych im miejscach masowych zbrodni. Do dziś jeszcze niema tam cmentarzy. Nie dostępne są wciąż archiwa NKWD-KGB w Moskwie i SB w Warszawie, a sprawy ludobójstwa tam i tu w zaszczytach i dobrobycie dożywają swych dni.

Zadrwiono z nędznych ofiar. Cztery lata rządów laickiej lewicy postsolidarnościowej sprawiły, iż Naród polski oddane znów pod panowanie postkomunistów, którzy, zasypiając jak komuniści, obudzili się jak "socjal-demokraci". Stało się tak dlatego, ponieważ nowa "elita" kierowała się przede wszystkim interesem własnym, stawiając go ponad dobro państwa i Narodu. Manipulując cynicznie pojęciami: "grubej kreski", "państwa prawa" i "chrześcijańskiego przebaczenia", osłanili i wybroniли przed sprawiedliwością przestępców, depcząc jednocześnie podstawowe kanony prawa.

Zarówno katem jak i ich ofiarami - tę samą daną miarę oceny: "winni są wszyscy"!

Winni są ci, którzy mordowali i torturowali, ale i ci również, których zabijano i torturowano, także i ci, którzy kilkanaście lat spędzili w łagrach. Słuchają tego obrazobórczego bełkotu "nawiedzonych" dziś ci nieliczni, którzy wszystko to przeszli, przetrwali i jeszcze żyją. Boże, Ty widzisz i nie grzmisz!"

Taka jednak była "ideologiczno-moralna" diagnoza rządzącej przez te cztery lata "Elity". Diagnoza na wskroś "nowoczesna", "demokratyczna", "liberalna", której ciemni i nieświadomi Polacy przyjąć nie chcieli.

Nie chcieli i nie chcą, ponieważ jest ona jak komunizm ideologią utopijną i obłądną. Jak komunizm zmierza do odprowadzenia polskiego Narodu od jego głębi i wartości, które są jego siłą i przetrwaniem, tak ta "nowoczesna" ideologia zmierza do odprowadzenia polskiego Narodu od jego głębi i wartości, które są jego siłą i przetrwaniem.

Słuchają i nie chcą, ponieważ jest ona jak komunizm ideologią utopijną i obłądną. Jak komunizm zmierza do odprowadzenia polskiego Narodu od jego głębi i wartości, które są jego siłą i przetrwaniem, tak ta "nowoczesna" ideologia zmierza do odprowadzenia polskiego Narodu od jego głębi i wartości, które są jego siłą i przetrwaniem.

kiego Narodu od Jego głębokie pokoleniowych korzeni, historii, tradycji i tych wszystkich wartości, które kształtowane przez tysiąclecie stały się wartością najwyższą i uniwersalną.

Służyć przestępczej ideologii wiernie przez lata całe to hańba i umysłowa bliskowzeczność. Stać się epozycjonistą w chwili, gdy upadek systemu widoczny jest każdemu - to nie zasługa, to partykularyzm.

Książka ta jest świadectwem dokonanej na Narzędzie polskim (i nie tylko) zbrodni. Jest przypomnieniem zacieranych dotąd skrzętnie krzywd milionów Polaków - Patriotów, którzy komunizm, widząc w nim nieszczęście Polski, odrzucili go z miejsca. Będąc przestro-  
gą na przyszłość, jest skuteczną zaporą przed próbą dekonnywania na społeczeństwie zabiegu znieczulającego wrażliwość na poczucie sprawiedliwości, dobra i zła, uczciwości i złodziejstwa, patriotyzmu i zdrady.

Poczucie chrześcijańskiego przebaczenia jest mi bardzo bliskie, lecz mieści się ono w znacznie szerszym moralnie i prawnie pojęciu, któremu na imię - jest **SPRAWIEDLIWOŚĆ!**.

Wielki Polak powiedział: "Nawrócić się i przeszłość rozliczyć!". To te wartości leżą właśnie u podstaw mojego sumienia, które książkę tę napisać kazały.

Auter.



### Spotkanie z braćmi Meskalami.

Są w życiu człowieka dni i wydarzenia, które pamięta się do śmierci. Nie zaciera ich w pamięci czas, nie gubią się w gąszczu niepowodzeń i bogactwie przeżyć nazwiska i imiona biorących w nich udział osób, rozpamiętywane będą tylko później wciąż powracające i męczące jak upiór daremne rozważania: czy tak być musiało?...

W życiu swoim przeżyć takich miałem niemało, a każde niemal z nich decydowało o życiu. Mogłem zginąć lub być stracony w lechu piwnicznym, a wyszedłem z tego całe i żyję.

Jak to się więc dzieje z tym losem człowieka: jest wyjątkowym tylko przypadkiem, czy wypisanym już przy urodzeniu przeznaczeniem, którego zmienić i uniknąć już nie może?

Kto wyrekuje i decyduje, że jedni, przeważnie ci najlepsi i najodważniejsi życie w swojej pierwszej walce, a inni wychodzą szczęśliwie i bez szwanku w sytuacjach zdawałoby się bez wyjścia. To dylemat każdego myślącego człowieka.

3 października 1939 roku wyprowadzony zostałem cudem z pociągu w Kowlu, którego docelową stacją jak się okazało był Katyń. Mogłem jak Oni, narodowi Bohaterowie i Kwiaty polskiej armii leżeć dziś tam w tym sprasowanym warstwami ciała dole, z przestrzeloną z tyłu czaszką, a żyję... , przekazując jeszcze potomnym te słowa.

Los - przeznaczenie, a może Opatrzność Boża sprawiła, że nie znana mi dziewczyna, w ten pamiętny dla mnie dzień 3.X.1939 roku, podeszła z bechenkiem chleba do tego właśnie okna pociągu, przez które wyglądałem i powiedziała: zaraz przyjdę do pana.

Wspięła się lekko po stopniach pociągu obok stojącego z automatem krasnarmiejca, przyszła korytarzem do mnie, i ~~podając~~ <sup>podając</sup> ~~przekazując~~: mi bechenek chleba, powiedziała mi po raz drugi: niech pan idzie za mną!. A ja, nic nie mówiąc, poszedłem tylko za nią i zostałem uratowany.

Stojący przy wyjściu z pociągu żołdak, nie reagował. Powiedziano mu bowiem, że na nas tykxkx~~nkranizé~~ jadących do domu tylko "ochraniać". Zaprowadzony do pobliskiego domu zostałem nakarmiony, zmienilem noszoną od czterech tygodni bieliznę oraz

zdażyłem się dowiedzieć, że ojciec mojej wybawczyni, - major, jest na froncie, od którego nie mają żadnych wiadomości.

Armia Czerwona, wtargnąwszy 17 września 1939 roku na teren Polski, zamknęła szczerlnie przede wszystki granicę południowo-wschodnią, aby uniemożliwić polskiemu żołnierzowi wyjście poza nią. Natomiast załadowanych do pociągów 200,000 żołnierzy i 15 tysięcy oficerów polskiej armii zapewniano, że dostarczą do domów.

Jako Kresowianin znałem Rosjan znacznie lepiej, aniżeli inni. Zapowiedź sowieckiego politruka, że do transportu oficerów należy sprowadzić listę imienną - przyjąłem ze zrozumiałą podejrzliwością. Przykryłem mundur zielonym kocem i poszedłem razem z żołnierzami.

Już później w cywilnym przebraniu udałem się na pobliski dworzec kolejowy, aby szukać tu drogi i szczęścia przedestania się do rodzinnego Wilna. Poczekalnia dworcowa wypełniona była tłumem kobiet, mężczyzn i dzieci. Z walizkami, tobołami i bez żadnego bagażu. Normalny obraz z życia kraju w czasie trwającej wojny.

Stłoczeni w poczekalni ludzie to obywatele polscy, przeważnie mieszkańcy zachodnich połaci Polski, którzy z obawy zbliżającej się z Niemcami wojny przenieśli się czasowo do swoich krewnych i znajomych nad granicę wschodnią. Gdy ze wschodu uderzył na Polskę Związek Sowiecki, przestraszeni zaistniałą sytuacją i realizowanymi przez NKWD aresztowaniami poczuli się zagrożeni i zamknięci w pułapce, z której należy jaknajszybciej się wydeścić.

Byli wśród nich także ludzie miejscowi, którzy unikając pierwszych zastawionych na nich przez NKWD siideł, zamierzali przedostać się teraz szybko na Zachód. Byli to przeważnie ludzie młodzi, w wieku poborowym, gdyż tacy właśnie jak było widać byli wykapywani przez czekistów.

Stojąc zakłopotany w tłumie, rozmyślałem o swoich niedawnych rozmówczyniach oraz o czekającej mnie obecnie drodze do Wilna. W poczekalni pojawiają się niespodziewanie młody, z czerwoną na rękawie opaską jegomość, który, podchodząc wyłącznie do młodych mężczyzn,

legitymował ich. Tych, którzy nie mieli dokumentów, wyprowadzał na zaplecze poczekalni. Byli to zapewne przebrani już w cywilne ubrania wojskowi lub rezerwiści, którym udało się zbiec z sowieckiego transportu.

Ja również byłem bez dokumentów. Poczułem się zagrożony i nie swoje. Milicjant powracał szybko do poczekalni, legitymował kolejnych młodych mężczyzn i raz po raz kogoś z nich wyprowadzał. Sytuacja stała się klarowna. Wyłapywano poborowych, którzy uniknęli deportacji. Sytuacja stała się poważna, wręcz niebezpieczna. Przesunąłem się dyskretnie w przeciwny kąt poczekalni, jaknajdalej od drzwi, którymi wyprowadzał zatrzymanych. Szybko szukałem w myślach wyjścia z powstałej sytuacji. Z sytuacji, w której wybór możliwości był więcej niż ograniczony. Znajdowałem się właściwie w pułapce. Zamierzałem jechać pociągiem, nie wiedząc którym, z którego peronu i o której godzinie.

Wynikało to z rygorów stanu wojennego. Na stacji stały w tym czasie trzy nawet mające iść w stronę Wilna pociągi, jednak kierującym ruchem pociągów dyspozytorem był już wojskowy, sowiecki dyspozytor, który dyspozycje odprawienia każdego pociągu wydawał polskiemu dyżurnemu ruchu w ostatniej chwili. Decydowały o tym: przepisy stanu wojennego, teren okupacji i spotęgowany reżym stalinowski. Mieliśmy do tego do czynienia z Azjatami, a to oznaczało: <sup>jeszcze</sup> chytrość, podstęp i okrucieństwo.

Patrząc na ten zbity w gromadę tłum ludzi, usiłowałem zachować pozorny przynajmniej spokój. Musiałem jednak zapewne wyrazić gest jakiegoś zewnętrznego niepokoję, skoro stojąca obok mnie niewiasta zwróciła się do mnie sławami: pan zapewne jest z armii?

Gdy skierowałem spojrzenie na mówiącą - ta dodała: niech pan zostanie moim mężem. Zaskoczony zupełnie takim obrotem sprawy przyglądałem się z zaciekawieniem stojącej tuż przy mnie osobie.

Miałem przed sobą młodą, smukłą, uroczą niewiastę. Zrozumiałem, że ta inteligentna dziewczyna, trafnie oceniając moją sytuację, chce przyjść mi z pomocą. Stąd ta niezwykła propozycja.

Obdarzyłem więc gotową do ofiar i poświęceń moją wybawicielkę pełnym szczerzej wdzięczności spojrzeniem, dodając już półgłosem: dobrze.

Mówiąc słowo "dobrze"-spojrzałem jej prosto w oczy i - utonąłem w głębi ich błękitu. Ukrywając swoje zażenowanie, nachyliłem się szybko po leżący przed nią na posadzce bagaż, i zarzucając go na lewą ramię, ująłem ją delikatnie prawą ręką pod ramię. Staliśmy tak blisko siebie jak stoi zwykle najbardziej zakochane w sobie małżeństwo.

W każdej innej sytuacji zaprosiłbym taką dziewczynę na wieczorny spacer po alejach szemrzącego w konarach parku, na liryczny seans do kina lub ciastko i miłą pogawędkę przy kawiarnianym stoliku. Dziś w gwarze dworcowej poczekalni, stojąc wśród przypadkowo zebranych tu i wystraszonych ludzi, śledziłem nieustannie jedynie za penetrującym w niej wciąż facetem, u którego czerwona opaska z czarnym napisem Milicja Obywatelska na rękawie oraz stercząca groźnie spod marynarki kabura sowieckiego nagana mówiły wystarczająco dużo o grożącym mnie z tej strony niebezpieczeństwie.

Nie spuszczając z oka wyprowadzającego znów jakiegoś młodego mężczyznę milicjanta, spytałem swoją partnerkę: czy nie uważa pani za stosowne, że powinienem znać przynajmniej imię swojej aktualnej żony? I wypowiadając ostatnie słowa patania obróciłem się lekko w Jej stronę.

Przeniosła na mnie swe czarujące spod firanek rzęs spojrzenie i tym samym na wpół żartobliwym tonem odpowiedziała:

Powinien pan znać nie tylko imię swej aktualnej żony, lecz również i wynikające z tego faktu wynikające względem jej obowiązki. Mówiąc to, rozjaśniała na twarzy w anielsko troskliwym półuśmiechu.

Nazywam się - ciągnęła - swą wypowiedź- Eliza Romanówna, powracam do swojej rodziny w Rademiu. Gościkam tu u swojej cioci. Zapraszam pana do Radomia. To prawie po drodze do Wilna. I uśmiecnęła się dobrotliwie w oczekiwaniu na moją odpowiedź.

A skąd pani wie - spytałem - że jadę do Wilna, nie mówiłem nic o tym skąd pochodzę.

Poznałam odrazu z pańskiego akcentu, że jest pan Wilnianinem. Zapewne nie pomyliłam się, prawda?

Ma pani rację, jestem redowitym Wilnianinem, ale widzi pani, co się tu dzieje i w jak niebezpiecznej znalazłem się sytuacji - mówiłem półgłosem wyłącznie do wiadomości Elizy.

Muszę stąd wiać - dodałem wyjaśniająco. Oceniam pani patriotyczną postawę jako Polki, lecz na dłuższą metę może okazać się to mi niewystarczające. Mamy wszak do czynienia z NKWD. To dzika i okrutna Azja.

Eliza popatrzyła na mnie ze zrozumieniem i rzekła spokojnie: Rozumiem pana, należy być ostrożnym. Życzę panu szczęśliwego powrotu do Wilna i oczekującej tam zapewne zaniepokojonej pańskim losom rodziny. Ja również, pracując w fabryce uzbrojenia w Radomiu, zmuszona byłam czasowo się ewakuować, a obecnie, martwiąc się o mamę i bliskich, wracam do domu. Jestem więc w podobnej prawie, co pan, sytuacji. Po powrocie do Wilna proszę do mnie napisać, będę się o pana niepokoić.

Mówiąc to, sięgnęła do torebki po kartkę papieru i po skreśleniu na niej kilku słów, podając mi - rzekła:

To mój adres, będę czekała od pana na pomyślną wiadomość, że wyszedł pan szczęśliwie z tej opresji i powrócił do domu bez większych przygód. Będę o pana niespokojna. Niech Bóg na pana w swej opiece!

Słuchałem tych słów szczerych jak na spowiedzi, przepełnionych ujmującą troską oraz chęcią przyjscia mi z pomocą. Jako żołnierz Września doświadczałem jej jeszcze kilkakrotnie, bowiem patriotycznie wychowane społeczeństwo zdawało wraz z armią swój wielki egzamin.

Zaledwie dwa tygodnie wcześniej, po stoczonej z Niemcami cię-

kiej bitwie w Puszczy Kozinickiej znalazłem się w pewnej chwili w otoczonej przez Niemców wsi Dąbrówka, położonej w odległości 7 km od zajętego już przez Niemców miasteczka Ryczywół. Miałem wówczas do wyboru dwa wyjścia: podać się do niewoli niemieckiej lub ukryć się chwilowo na wsi, czekając stosownej chwili i okazji, aby znów włączyć się do walki z wrogiem..

Niemcy nie żartowali, wieś uprzedzili: Za przechowanie jednego choćby tylko polskiego żołnierza - wieś będzie spalona. Dowiedziałem się o tym dopiero kilka dni później, gdy wieś udzieliła mi już pomocy i w przebraniu chłopskim, udając syna mieszkającej na skraju wsi wdowy, udawałem urodzonego tu z krwi i kości chłopca.

Ubrany w wiejską, lnianą koszulę i porwane, przykrótkie nieco spodnie, (czterech innych przebrano tu przede mną) zaopatrywałem w wodę, rąbałem drzewo oraz wykonywałem szereg innych prac, aby wyglądać upodobnie do chłopskich. Nie wszyscy jednak wytrzymali tę trudną próbę nerwów i charakteru. Różne też były zapewne każdego z nich losy. Dwóch, nie chcąc narażać wsi, po dwóch dniach pobytu udali się do pobliskiego miasteczka, oddając się w ręce Niemców.

Ja również opuściłem wieś, choć odradzała mi serdecznie moja opiekuńcza gospodyni. Myśli jednak o dalszej walce nie zaniechałem. Schroniłem się więc w pobliskim zagajniku z niechętną nadzieją, że nadarzy mi się wkrótce jakaś okazja, która przywróci mi znów status żołnierza.

~~Wsiach przynosiła mi o zroku. Zosia, krewna bliska owej~~

Jedzenie przynosiła mi o zroku. Zosia, krewna bliska owej wdowy, która przygarnęła mnie jak syna. Dawano mi do zrozumienia, abym powrócił do wsi. Dziękowałem mieszkańcom Dąbrówki i Zosi za wyrażoną mimo zagrożenia chęć przyjęcia mi z pomocą, która była niczym innym jak tylko wyrazem pięknego, chłopskiego patriotyzmu.

Ciepły wrzesień ukatwiał znacznie mój pobyt w zagajniku. Nie trwał on nawet długo. Zakurzyła się pewnego dnia droga pod lasem, przybliżył się charakterystyczny odgłos maszerującej kolumny i już pełen żołnierskiej dumy ppor. Paweł Świetlikowski meldował ppłk. Alej-

zemu Herakowi gotowość bojową.

Patrząc w tej chwili w piękne, błękitne i zatroskane oczy pani Elizy, wspomniłem na chwilę to wydarzenie we wsi Dąbrówka i dwie wspaniałe postacie: samotnie gospodarującej wdowy i wiejskiej dziewczyny, Kasi. Pomyślałem: Eliza wychowana w mieście, a tante na wsi, a serca jednakowym bijące patriotyzmem - polskim.

Uległem na chwilę wspomnieniom, odbiegając wyobraźnią od sytuacji w kowelskiej poczekalni, rozważając jeszcze przez moment, by wrócić do przerwanej między nami rozmowy. W tym momencie rozległ się donośny sygnał zbliżającego się do stacji pociągu. Za chwilę charakterystyczny, przeciągły zgrzyt zaciśniętych hamulców, jeszcze kilka uderzeń wciskanych zderzaków i pociąg towarowy stał już na stacji, tuż przed oknami poczekalni.

Ledwo się zatrzymał, jak z budek kondukterskich przy każdym wagonie wyskakiwali już uzbrojeni w automaty krasnoarmiejcy i gromkim "nielzia padchadit" zabezpieczali dostęp do pociągu.

Gdy przez niedonknięte izadrutowane drzwi i okienka wagonów ujrzałem zielone mundury i smutne twarze naszych oficerów - serce zakłamało mi gwałtownie. Niektórzy z nich wyciągali przez druty kolczaste ręce, prosząc o wodę.

Patrzyłem na ten ponury i wstrząsający obraz z niedowierzaniem i grozą, a myśl, że i ja mogłem być teraz w tym pociągu przemknęła przez głowę, godząc jak sztyletem. Tragizm Ich losu pisany był wyrokiem, który zapadł zanin jeszcze znaleźli się w tym pociągu. W tej samej chwili zrozumiałem jak wiele zawdzięczam tej nieznanej dziewczynie, która wyprowadziła mnie z tego katyńskiego pociągu. Że z katyńskiego - dowiedziałem się w 1943, gdy Niemcy opublikowali zbrodnię "Katyńską". Tę książkę mam do dziś, a dzieje jej godne są pióra historyka.

Uniknąłem losu więzionych na stracenie, lecz danym mi było oglądać ten tragiczny pociąg, którym dostarczone polskich oficerów na miejsce bestialskiego mordu. W zbierowych mogiłach kaźniono 21,857 oficerów i najlepszych Synów Polski.

Gdy, idąc wtedy za dziewczyną, opuszczałem strzeżony przez

krasnoarmiejca pociąg, odczuwałem radość wyrykającego z potrzasku śmiertelnego skazańca. W chwilę jednak potem przyszła refleksja i ogarnięty wyrzutami <sup>suszenia</sup> ~~roz~~znałem uczułem dezertera. Tłumaczyłem sobie: pociąg nie był polem walki, wyszedłem ze stanu obojętności, by walczyć dalej jak żołnierz. Zamiar swój zrealizowałem.

Wychowani w duchu rycerskiego honoru polscy oficerowie zawie-  
rzyli słowem i zapewnieniem oficerów sowieckich. Dziś wie już świat  
cały i zna metody jakimi posługiwali się polityrzy nawet w szlifach  
generalskich.

Zestrzeleni nad Londynem oficerowie, lotnicy niemieccy, po da-  
nym słowie, że nie będą uciekać - chodzili wolno. Ku zrozumiątemu  
oburzeniu Londyńczyków spotykano ich nawet w miejskich kawiarniach.  
Bowiem Anglicy również przestrzegali niepisane prawo międzynarodowe,  
że słowo oficera jest święte.

Dziś wiedzą wszyscy, a Polacy od lat niepamiętnych, że wszyst-  
kie nasze europejskie etyczne-moralne normy i świętości są przedmio-  
tem jedynie cynicznych drwin i szykan. Czy zmieni się to kiedyś?

Pociąg stał wciąż na stacji, oficerowie presili wody, a wyma-  
chujący groźnie automatami krasnoarmiejcy nie dopuszczali nikogo do  
pociągu. Z pośród stojących na peronie i patrzących na tę scenę lu-  
dzi wyłoniła się nagle drobna postać staruszki. Siwe, rozwiane na  
wietrze włosy okalały jej głowę. Wpatrzona jedynie w wyciągnięte  
przez druty ręce śpieszyła do jednego z wagonów z wiadrem wody w ręce.

Nie zważała lub nie rozumiała powtarzanych kilkakrotnie przez  
krasnoarmiejca komend: *Nielzia padchadit'!*

Widać było, że kierowała się w tej chwili jedną tylko myślą:  
napełnić spragnionych oficerów!

Żołnierz wykrzyknął raz jeszcze: *Nielzia padchadit', budu stre-  
lat'!* Daremnie. Staruszka nie zareagowała na to ostrzeżenie. Podne-  
siła już ~~ręce~~ wiadro ku wyciągnię <sup>gajacym</sup> ~~się~~ rękom oficerów, gdy meta-  
liczny huk wystrzału przeszył zelektryzowane napięciem powietrze.



Staruszka upadła twarzą na kamienną posadzkę peronu. Upadło z brzękiem wypuszczone z rąk wiadro. Wartka struga rozlewającej się po peronie wody otoczyła głowę staruszki niby żywym ramieniem. Wążyk sączącej się od głowy krwi posuwał się z wolna w stronę stojącego pociągu... Sztyletowany nienawistnymi spojrzeniami stojących na peronie ludzi Moskał stał nieruchomo w poczuciu chrabro spełnionego obowiązku.

Ten publicznie dokonany mord był przestrogą dla innych, lecz także świadectwem wypisanego już napelskich oficerach wyroku śmierci. Patrzyłem na tę scenę przerażony i onimiał z wrażenia. Nie mogłem uwierzyć, że dzieje się to naprawdę, i że mordu na bezbronnej, starej kobiecie może dokonać uzbrojony żołnierz. A jednak była to prawda, a bestialskiego mordu dokonał sowiecki, na komunistycznej wychowany ideologii bajec.

Cisnąc się do szpar drzwiowych i otworów okiennych, patrzyli na leżącą staruszkę również do głębi wstrząśnięci, bezradni i bezsilni. Co wtedy myśleli, niestety, nie dowiemy się już nigdy. Jedno wiedzieli napewno: Byli w rękach zdolnych do wszystkiego bandytów.

Było to pierwsze moje spotkanie z NKWD bez propagandowej przyłbicy. Na podobne kolejne będzie jeszcze czas i miejsce, aby o nich wspomnieć, a niektóre dokładnie opisać. Narazie stoję jeszcze w poczekalni dworcowej w Kowlu zagrożony aresztem przez miejscową milicję.

#### Polowanie na pociąg do Wilna.

Towarzystwo pani Elizy jako pozornej żony dawało mi bezpieczeństwo tylko czasowe i wątpliwe. Gdy kontrolującym jest szpicel NKWD, każde tłumaczenie się człowieka bez dokumentów jest podejrzane. Na stacji stały trzy mające odejść w kierunku Wólna pociągi. Były to poufne informacje polskiego kolejarza, który wskazał też przewidywaną kolejność ich odejścia. W tych warunkach każda informacja była na wagę złota, ponieważ penetrujący niestrudzenie poczekalnię milicjant wyprowadzał z niej coraz to nowych mężczyzn. Zwlekanie z podjęciem decyzji zwiększało tylko niebezpieczeństwo. Postanowiłem

pójść do wskazanego przez polskiego kolejarza pociągu.

Okazało się wkrótce, że w jednym przedziale znalazło się aż czterech amatorów takiej podróży na słowo. Doberową czwórkę stanowili: dwaj żołnierze z Lidy (k. Wilna), pper. z Nowogródka i sam autor książki. Każdy z nas był z innej jednostki wojskowej, nikt nie miał przy sobie żadnych dokumentów i każdy z nas chciał zdrowo i cało wrócić do domu.

Siedzieliśmy więc cicho i dyskretnie, modląc się zapewne w myślach, aby pociąg ruszył jaknajprędzej ze skażonego miejsca. Pociąg jednak stał, a w końcu korytarza dały się słyszeć czyjeś zdecydowane kroki.

Może to konduktor albo kierownik pociągu - powiedział ktoś z nas głosem zdradzającym niepokój. Za chwilę <sup>świcie</sup> wyotwartych drzwi przedziału stanął młody, w cywilnym ubraniu mężczyzna i z czerwoną opaską na rękawie. Napis czarnymi literami: Milicja Obywatelska - wyjaśniła zagadkę. Zaczynamy się przyzwyczajać, że w ślad za żołnierzem w szarej szyneli pojawiają się niecodzownie NKWD i milicja, cynicznie zwana obywatelską. Na okupowanym terenie był to pierwszy znak, że nowa władza objęła już "urzędowanie".

Milicjant obrzucił nas swoim badawczym i podejrzliwym spojrzeniem, i spoglądając w głąb korytarza, zdecydował się tu zatrzymać. Nie wszedł do przedziału z kontrolą. Był ostrożny. Czekał niewątpliwie na przyjscie innych swoich współtowarzyszy.

Ocena sytuacji była łatwa. Decyzja nasuwała się sama. Nie będę - rezumowałem - czekać tu naiwnie, aż przyjdą tu następni i zgarną nas wszystkich "grzecznie" pod bronią do ciupy. Stercząca spod szpiclowej marynarki kabura rewolwerowa nakazywała tylko pośpiech.

Ziewając ostentacyjnie, wstałem z miejsca. Sięgając ręką po leżącą na półce moją manierkę, powiedziałem do pper. z Nowogródka: Choć, Kaziku! - mamy jeszcze do odejścia pociągu nieco czasu, nabierzemy na drogę wody i zaopatrzymy się w papierosy. Mówiąc to, wyszliśmy z przedziału przy biernej postawie milicjanta.

Ledwo jednak zdążyliśmy zejść na peron - zobaczyliśmy jak rusza

z miejsca inny z mających odejść w kierunku Wilna pociąg. Rzuciliśmy się za nim w szaleńczą pogoń. Wysportowane nogi niesły rączo, a świadomość, że urwaliśmy się szczęśliwie kolejnemu milicjantowi, dodawała siłą i szybkości. Dopadliśmy go, gdy nabierał już znacznej szybkości, wskakując na stopnie jego ostatniego wagonu w ostatniej zapewne sekundzie.

Chwilowo byliśmy uratowani. Groźny milicjant pozostał w stojącym na stacji pociągu. Myśl o dwóch pozostałych tam okolicznościowych współtowarzyszach zbudziła szczerą niepokój. Petrafili uniknąć wywózki, powinni poradzić sobie i w tej sytuacji. Mieli przewagę, było ich dwóch.

Musieliśmy teraz myśleć o sobie. Nie mieliśmy biletów i dokumentów. Poszukam kierownika pociągu - powiedziałem do Kazika. Postaram się o bilety.- dodałem, wychodząc z przedziału.

Kierownik pociągu, którego zastałem w przedziale służbowym, okazał się "swoim" człowiekiem. Gdy tylko mnie zobaczył, powiedział: Widziałem pana w poczekalni dworcowej, chce pan powiedzieć, że jest bez biletu - wyrecytował jednym tchem, rozjaśniając na twarzy szczerym, serdecznym uśmiechem.

Ma pan tu - rzekł - podając mi bilet służbowy, ale proszę przejść do środkowego wagonu pociągu. O ewentualnej groźnej dla pana kontroli powiadomię- Pociąg jedzie do Wilna - zakończył swój instruktaż.

Dziękuję panu za to wszystko - wydusiłem z siebie jakąś, ale ja, panie kierowniku, jestem jeszcze z kolegą - dodałem nieśmiało niepewny jego reakcji.

Rezumem - front i wojna - to nie przelewki. Spełniamy wszyscy swój podstawowy, obywatelski obowiązek. Najważniejsze, że uniknęliśmy wywózki jak ci w zadrutowanych wagonach. To tragedia Polski i Polaków. Bądźcie jednak spokojni. Będę uważał. Podając mi drugi bilet - dodał - w środkowym tylko wagonie! Odchodząc już w głąb korytarza, odwrócił się jeszcze i jakby na pożegnanie przesłał mi uśmiech pocieszenia.

Wróciłem szybko do Kazika. Pokazując mu dwa trzymane w ręku

bilety, powiedziałem z tajemniczą powagą w głosie: przejdźmy natychmiast do środkowego wagonu, tam będzie bezpieczniej.

Podróż minęła bez większych przygód. Raz tylko musieliśmy przejść do ostatniego wagonu, wysiąść i wsiąść ponownie do pierwszego wagonu. Kierownik pociągu nie wyjaśnił nam powodu tego manewru, a myśmy go o to nie pytali. Miał zapewne obcą, sowiecką kontrolę.

10 października dotarłem szczęśliwie do Wolna. Miasto było okupowane przez Sowietów. Obowiązywał stan wojenny. Wszyscy wracający z frontu byli zobowiązani meldować się w wojskowej komendanturze. Cel tego zarządzenia był oczywisty: wszyscy wojskowi podlegali wywózce.

Ominąłem szczęśliwie nakaz rejestracji, a miesiąc później byłem już zaprzysiężonym członkiem tworzącej się samodzielnie konspiracji. Trwała ona 4 lata i 9 miesięcy, zakończona Powstaniem Wileńskim w lipcu 1944 r. pod kryptonimem "Ostra Brama". Historia tego okresu jest treścią mojej książki pt. "Wojnę nas Wilno", wydanej w 1991r.

Książka niniejsza jest przedłużeniem "Wojnę nas Wilno" i ujmuje okres od 1944 do 1956 i dalej. Jest świadectwem ceny jaką pokolenie dowojenne zapłaciło za zryw niepodległościowy. Wątek wspomnieniowy rozwija się i tworzy chronologię wydarzeń historycznych, których upamiętnienie jest celem tej książki.

Dzień 15 września 1944 r. miał w życiu moim znaczenie szczególne: był dniem mego aresztowania przez NKWD. Były to te same krwawe ręce prześladowców, z których wynykałem się już w okresie ostatnich pięciu lat szczęśliwie trzykrotnie: z pociągu Katyńskiego w Kowlu, w Tymże Kowlu, myląc czujność miejscowej milicji ni w lipcu 1944 uciekając z prowadzonej do obozu w Miednikach kolumny. Trzy różne daty, trzy odrębne w zasadzie wydarzenia, lecz wciąż ta sama, łącząca je sprawa - byłem Polakiem, a moim prześladowcą Rosjanin.

Moja polskość razika prześladowców wyjątkowo: byłem oficerem polskiej armii, będącej zbrojnym ramieniem polskiego Narodu, który należało zniszczyć.

Dwa tylko niewinne zdawałoby się i nic nie mówiące skróty liter: NKWD i ZSSR, a ile skojarzeń sięgających dna samego piekła. W konkretnym przypadku są genezą napisania i treścią tej książki. Poznałem je dokładnie i wszechstronnie. Doświadczyłem wielorako na sobie i dlatego zwykła uczciwość każe je ujawnić, aby były przestrogą innym. Wynikało to również z poczucia patriotyzmu. Poznałem za życia piekło, bo przegrałem walkę.

Ze utrwalać to w słowie, wiedziałem będąc jeszcze w łagrze, gdzie każdego dnia działy się rzeczy niezwykle, dla człowieka normalnego niewyobrażalne i trudne do opisania, a jeszcze trudniejsze i często niemożliwe wręcz do przeżycia. A mimo to przetrwałem i dzięki Najwyższemu wróciłem do kraju. Więc żyję i świadczę...

#### Aresztowanie.

-----

Uniknięcie losu Miednik postawiło mnie na stopie nielegalnej. NKWD szalało nadal. Jedynym ratunkiem był wyjazd do "Polski" (byłem w Polsce) na zmienionych dokumentach. Współpraca z ~~Rz~~ Rzecz. Komit. Patriot. Polskich (oczywista zdrada) nie wchodziła w rachubę. W oczekiwaniu nowych dokumentów przygotowywałem się do planowanego wyjazdu. Idąc wieczorem ulicą Kalwaryjską, spotkałem dwóch chłopców z mego batalionu. Nie w ciemę bici potrafili zbiec już z obozu w Miednikach, nawiązać kontakty z podobnymi jak oni, zastanawiając się, co dalej?

Pomimo oczywistego zagrożenia, zarażeni bakcylem konspiracji, obserwowali wszystkich dookoła, gotowi do dalszej walki i operu.

Jeden z nich, Henryk K. mówi mi: "Janusz" sypie!. Musimy temu zapobiec. Z tym "Januszem" - to cała historia. Mieszkał z żoną w sublokaterskim pokoju u rodziców mego przyjaciela, lekarza mego batalionu, Antoniego Urbanowicza. Znałem stąd "Janusza" osobiście. Młody, nigdzie nie pracujący, dobrze jednak w trudnym czasie wojennym radzący sobie w życiu mężczyzna. Nie był to jednak kandydat do pracy w konspiracji.

Przyjęło się w owym czasie za normę obowiązującą nie pytać, kto z czego się utrzymuje. Miałem w tym przypadku na swój tyłko

użytek osobisty różne przypuszczenia, które eliminowały go z grona potencjalnych członków podziemia. Trzymałem się więc od niego z daleka.

Wiosną 1944 r. zjawisko się w domu państwa Urbanowiczów gestapo, poszukując "Janusza". Nie zastali go w domu. "Janusz" zaczął się odąd ukrywać. Spotykając <sup>mnie</sup> pewnego dnia przypadkowo mówi: "Poszukuje mnie gestapo, jestem spalony, skieruj mnie do lasu".

"Januszu"!  
- odpowiadam szczerze zdziwiony - ja nie mam nic wspólnego z konspiracją, dlatego nie mogę skierować cię jak prosisz do oddziału.

Może to być - pomyślałem - zreżymowana na mnie przez gestapo pułapka, a "Janusz" jest tylko w ich ręku zwykłym narzędziem?

Uśmiechnąłem się więc tylko niewinnie, mówiąc: musiałeś coś przeskrobać, skoro poszukuje Ciebie gestapo? I nie czekając jego odpowiedzi, uściskawszy jak mogłem najserdeczniej jego rękę, odchodząc, dodałem: Nie obiecuję Ci, "Januszu", niczego. Jednak gdy pojawi się jakaś możliwość - pomogę Ci!

Skierowana do mnie przez "Janusza" prośba zaniepokoiła mnie i dała również wiele do myślenia. Mógł to być najprościej skonstruowany podstęp przeciw konspiracji. Jeżeli mówił prawdę - był w kłopot o cie rzeczywiście, w którym jako Polakowi należało pomóc.

Zastanawiałem się nad tym długo. Wystawiony byłem na wielką próbę. W konspiracji bywają chwile jak w ruletce, tylko przedmiotem gry są nie pieniądze, lecz życie ludzkie. Nie tylko moje, choć narażony byłem jako pierwszy. Przede wszystkim liczy się organizacja. I o niej rozważa się głównie, podejmując decyzje. Wolę utrzymania tajemnicy i dotrzymania przysięgi weryfikuje tylko życie. Kto tego nie przeszedł, nie wie, na ile go stać, czy wszystko zniesie i wstrzyma. Czy składając przysięgę, zakłada ktoś z góry, że jej nie dotrzyma? Postanowiłem mu pomóc.

Skierowanie do "lasu" załatwiłem z "Andrzejem". Musiałem się jednak zabezpieczyć. Przewodnikiem do oddziału był ktoś, kto w przemianiu "Janusza" nie znał mnie i działał samodzielnie, o "sprawie" dowiedział się z innego źródła.

Zachowanie "Janusza" w oddziale kontrolowałem pośrednio. Opinie przychodziły pozytywne. Nabierałem stopniowo przekonania, że udzielona pomoc była uzasadniona. Jako Polakowi.

Wracamy do spotkania z chłopcami. Informowali mnie: Widzieliśmy go kilkakrotnie zachodzącego do gmachu NKWD przy ul. Mickiewicza. Są już pierwsze ofiary aresztowań. Musimy zapobiec dalszym. Mamy w rękach dowody - mówili z przekonaniem. Patrząc mi w oczy, oczekiwali jakby mojej aprobaty.

Spraw takich - drodzy - mówię spokojnie - nie rozstrzyga się przede wszystkim na ulicy. Zanim się rzuci na kogoś takie oskarżenie - należy sto razy sprawdzić, aby nie popełnić broń Boże pomyłki. Jest to wielka sprawa akowskiego sumienia.

Zaciągnijcie jeszcze - mówię doradczo (Armia Krajowa była już rozwiązana), obserwacje dodatkowe. To chwalebne, że działacie z własnej inicjatywy, ale prześledźcie i przeanalizujcie to wszystko raz jeszcze.

Działalność pojedynczych jeszcze oddziałów lub żołnierzy, którzy uniknęli szczęśliwie podstępnego rozbrojenia, miała charakter zanikający i wyłącznie obronny. Unikali trwających wciąż aresztowań, zagrożeni też byli ogłoszeniem na Wileńszczyźnie poborem mężczyzn do Armii Czerwonej. Redowici mieszkańcy tej ziemi, obywatele II Rzplitej znaleźli się w stalowych kleszczach sowieckiego okupanta. Polska była gdzieś daleko. Każdy Polak bronił się przed wrogiem sam, na ile mógł.

Postawę spotkanych przed chwilą dwóch dwudziestolatków określiłem jako patriotyczną. Nie dziwiłem się, byli akowcami. Takimi byli wszyscy z pod tego sztandaru.

"Akcja Wileńska" zaskoczyła "Janusza" w Wilnie, gdzie przebywał na legalnej przepustce. Nie mogąc już wrócić do swego oddziału w terenie, na jego prośbę, skierowałem go do jednej z moich kompanii działających już na terenie miasta. Zdał egzamin ten jako żołnierz bez zarzutu. Ciężkiej próby psychiczno-moralnej już mógł nie wytrzymać. Zbyt krótko był w AK, w której znalazł się

zresztą zupełnie przypadkowo. Zapoznając się jednak w tym czasie z ludźmi i strukturą organizacyjną Garnizonu, stał się dla niego potencjalnym zagrożeniem, którego nie można było lekceważyć. Rozmowa z chłopcami zwiększyła mój niepokój o los wielu moich podwładnych oficerów i żołnierzy, którzy jak ja uniknęli szczęśliwie tragicznych skutków rozbrojenia.

Zmieniając więc wyznaczoną na ten wieczór marszrutę, skręciłem w ulicę Lwowską i Artyleryjską, aby uprzedzić ppor. "Halnego" Kazimierza Cisa i ppor. "Witolda", Edwarda Kiedę o grożącym im jak sądziłem niebezpieczeństwie.

Miałem jednak fatalnego pecha: w mieszkaniu "Witolda" był już zastawiony przez NKWD "kocioł". Zostałem aresztowany.

Gdy wszedłem do przedpokoju, spotkali mnie dwaj cywile. Zatrzaśnięte natychmiast drzwi udaremniły mój jakikolwiek manewr odwrotu. W pokoju siedział za stołem major NKWD i ppor. "Witold". Zabrano mi dowód osobisty. Major przeglądał leżące na stole papiery. Śpiesząc z pomocą kolegom, sam wpadłem w pułapkę. Aktualną sytuację skonstruowałem z przeprowadzoną przed chwilą rozmową z chłopcami. Miałem oczywiste dowody, że ich oskarżenie było uzasadnione. Ja się też niepomyliłem w ocenie powstałego zagrożenia. Cóż to jednak za satysfakcja, gdy nie uratowałem kolegów i wpadłem w zasadzkę sam?

Doznałem uczuć, które przeżywałem po raz pierwszy w życiu: zdrada współtowarzyszy walki o Polskę! W ręce wrogiego okupanta na straconie. I to za cenę własnego tylko bezpieczeństwa. Czy może być jeszcze czyn bardziej hańbiący i podły?... gdy się sprzedaje Polskę?!

Nie był to jednak czas na podobne rozważania. Wpadłem w stalowe siadła. Jak z nich się wyrwać, czy jest jeszcze w tej sytuacji możliwość ucieczki?... Były to jedyne w tej chwili myśli cisnące się do rozgorączkowanej głowy. Każde w momentach takich wyjście, choćby najbardziej ryzykanckie i karkołomne, jeżeli prowadzi do celu - jest dobre.

Gdy szok zaskoczenia mija, skacze się wtedy z czwartego piętra przez otwarte okno na kamienny chodnik albo w sytuacji bez wyjścia



zażywa się kapsułkę cyjanku potasu. Moja sytuacja nie była na tyle tragiczna i beznadziejna. Dostrzegłem w niej iskierkę zbawczej nadziei. Byłem w pokoju na parterze. Ważne, aby w chwilach gotowości desperackiej nie zatracić logiki myślenia.

Major siedział vi za vi mnie po drugiej stronie stołu, zajęty wciąż swoimi papierami. Za nim, trochę w prawo - duże okno, za którym rozległy się prowadził na inną już, odległą znacznie ulicę. Czerniał coraz bardziej zapadający zmrok. Pomysł zrodził się samorzutnie: przewracam stół na padającego na podłogę majora. Rozbijając wiążącą tuż nad stołem lampę, pogrążam pokój w ciemnościach. Trzy kroki do okna i sfersewanie łokciami szyby to kilka zaledwie sekund czasu. Czerń ogrodu i znajomość terenu to mój kolejny przywilej.

Ale obok siedział "Witold". Zwykła, żołnierska solidarność kazała mi myśleć za nas obu. Wykorzystując nieuwagę czekisty, dałem "Witoldowi" znaczący znak w stronę okna. "Witold" odebrał go potakującym ruchem głowy. Szeptem jakby do siebie dodał: Przyszli po "Halnego".

Mieszkający tu ppor. "Halny" był aresztowany jesienią 1943 r. przez gestapo. Transportowany z więzienia na dworzec kolejowy zdołał zbiec. NKWD - sądził "Witold" - mogli znaleźć te akta i zjawili się tu po niego. Tak oceniał najście NKWD na ten dom "Witold".

Ja widziałem ją inaczej. Byłem bogatszy o informacje o "Januszu". Zorganizowany tu "kocioł" był niewątpliwie plonem jego "pracy". Byłem tego pewien.

Jeszcze tydzień temu widziałem "Janusza" idącego po drugiej stronie ulicy Kalwaryjskiej, ubranego na wzór sowiecki: specyficzny krój spodni tzw. "galafe", z wypuszczoną na nie bluzą, zapiętą pasem wojskowym. Pomyślałem wtedy niewinnie: cwaniak! - ubierając się na modłę sowiecką, maskuje się. Był to bowiem sposób zabezpieczenia siebie na jakiś określony oczywiście czas. Na wszelki wypadek, aby uniknąć spotkania, skręciłem szybko w boczną ulicę.

Rezumowanie "Witolda" było błędne, dlatego zapewne robił wra-

zenie człowieka spokojnego wewnętrznie, któremu nic nie zagraża. Nie było jednak żadnej możliwości, aby poinformować go, że jest w błędzie i zagrożeniu jesteście nie tylko my tu dwaj. Zdecydowałem się więc na działanie w pojedynkę.

Nie pamiętam dziś już jak długo ważyłem wówczas w umyśle wszystkie za i przeciw zaplanowanego wariantu ucieczki, gdy do pokoju wszedł inny major NKWD. Podszedł wprost do mnie, mówiąc: "Paszli se mneju"!

Jak mydlana bańka prysł nagle plan ucieczki. Bardziej instynktem i sercem, aniżeli rozumem, wyczułem, że oto zmienia się coś bardzo ważnego w moim życiu, że wkroczyłem na drogę, którą omijałem opatrnościowo od pamiętnego dnia w Kowlu, gdzie wyprowadzono mnie z pociągu Katyńskiego i później dwukrotnie jeszcze, unikając aresztowania na stacji w Kowlu i zamknięcia w obozie w Miednikach. Tym razem klanka zapadła jak rygiel, los pisał przyszłość samotnej walki tylko już o przetrwanie i życie.

Major wzięwszy prawą ręką za moje lewe przedramię, trzymał kureczkowo. Wyczuwałem jak mu drżała <sup>reka</sup> ręką. Odczytałem to jednoznacznie: wiedział już kogo trzyma. Od chwili zabrania mego dowodu osobistego, choć nie minęło więcej jak pół godziny-czasu - mieli już pełne informacje o mnie. Uzyskać je mogli bądź w gmachu NKWD przy ulicy Mickiewicza, bądź bezpośrednio od mieszkającego w tej samej dzielnicy "Janusza".

Do oczekującego już przed domem samochodu prowadziło mnie trzech czekistów. Miejsce miałem na tylnym siedzeniu. Z obu moich stron miałem obstawę. Miejsce obok kierowcy zajął major, który wyjąwszy z kabury rewolwer manipulował nim ostentacyjnie. Myśl o próbie ucieczki była absurdem, a ona nie opuszczała mnie ani na chwilę. Przed bramą wjazdową dowódca zasignalizował klaksonem. Otworzyła się brama, samochód wjechał na podwórze więzienne, nie zatrzymując się. Zamknęła się tuż za samochodem.

Wiedziałem już, że nie wyjdę stąd prędko, dla większości zamyka się ona na zawsze.

### Sledztwo - czyli rozmowa dziada z obrazem.

---

W więziennej dyżurce poddany zostałem szczegółowej, osobistej rewizji. Zabrano mi zegarek, pasek skórzany od spodni, opróżniono wszystkie kieszenie. Wydano na zabrane przedmioty pokwitowanie, które pozerując prawo, sankcjonowało zwykłe złodziejstwo.

Władza dobrze wiedziała, że ten świstek papieru zostanie zniszczony przy pierwszej "prożarce" ubrania w kotle dezynfekcyjnym, wytwarzającym temperaturę ponad 100 stopni Celsjusza. Władza wiedziała, że mało kto z nich wyjdzie już na wolność. Władza wiedziała, że nie jeden z nich zostanie wkrótce rozstrzelany. Lecz ta przestępcza władza dbała o pozory przestrzegania "prawa", zamazując ślady swoich przestępstw.

Dziś świat się dowiedział i są na to już przerażające w wymowie swojej dowody, że ofiarami stalinizmu padło ok. 50 milionów ludzi, którzy zesłani do syberyjskich łagrów umierali i ginęli powoli, lecz systematycznie i nieuchronnie. Wydane im kiedyś pokwitowania były szyderstwem ich tragicznego losu. Ogrom zrabowanego im majątku stał się własnością tych, którzy wydawali na nich wyroki.

Przy rewizjach osobistych w więzieniach zabierano zegarki, złote obrączki, pierścienki i tp. przedmioty. Przy rewizjach wtórnych już w ich domach wybór był znacznie większy. Ponieważ wyroki zapadały zawsze z klauzulą: "przepadek mienia i pozbawienie praw obywatelskich" - zabierano, a raczej rabowano już wszystko.

50 milionów rewizji osobistych, 50 milionów rewizji w domach. Warto przy tej okazji zastanowić się chociaż na moment i pomyśleć - na moim tylko jednym przykładzie: ~~zabrano mi przedmioty osobiste, dom pozostał w Wilnie, do kraju wróciłem po 12 latach w łagrowych waciakach i drewnianą łyżką w kieszeni..~~

Po kilku latach, gdy się "oswiełem" już z odzyskaną wolnością, odżył sentyment do zabranych mi pamiątek rodzinnych. Napisałem do Moskwy. W otrzymanej z Ambasady odpowiedzi czytałem: "Czy ma obywatel odpowiednie pokwitowanie, ponieważ w Waszych aktach niema dowodu, że cokolwiek zarekwirowane". Odpowiedziałem: Proszę zapytać tow. Cyraniewiczza, czy miał przy sobie analogiczne pokwitowanie, wychodząc z obozu zagłady w Oświęcimiu.

Po odbytej już "ceremonii" w dyżurce zaprowadzono mnie do pokoju śledczego na piętrze, gdzie oczekiwała ~~mnie~~ już cała zgraja oficerów KGB. Stałem pośrodku ich jak złapana w sidła i otoczona przez wściekłych psów owca.

Otworzyły się wnet drzwi sąsiedniego pokoju. Na progu ukazała się postać pułkownika KGB. Podszedł szybkim krokiem do mnie, i bez jednego słowa wymierzył mi policzek. Uczyniłem zapewne w tym momencie jakiś ruch samoobrony, gdyż kilku najbliższej stojących oficerów chwyciło gwałtownie mnie za ręce, zakładając kajdanki.

Stojąc tak po środku pokoju, widziałem osiem par świdrujących mnie oczu willożaków, które mówiły: "My was wsiech unieście!" Pułkownik, mierząc mnie nienawistnym wzrokiem, opuścił pokój. Była to moja pierwsza lekcja bogatej szkoły KGB, po której wiedziałem już jak personel śledczy KGB "zapoznaje się" ze swoim więźniem, którego od pierwszej chwili chcą upokorzyć i złamać.

Dziwne. Tę zniwagę przyjąłem jakby z wyrazem pogardy. Będąc sam wobec ośmiu osiłków, wyczyn "bohaterskiego" pułkownika, który w życiu jego był tylko rutynowym epizodem, uznałem za akt tchórzstwa. Nie wiem dlaczego, lecz w tej właśnie niezwyklej dla mnie chwili przypomniałem scenę z odbytem koło Zamościa 2-go października 1939 r. mszy polowej i wygłoszone wtedy do żołnierzy przemówienie płk. Alojzego Horaka, który powiedział: "Oficerowie i żołnierze! Spełniliście z honorem swoje <sup>żołnierski</sup> obowiązki. Ocena sytuacji wojskowej oraz poczucie odpowiedzialności jako dowódcy nakazuje mi zaoszczędzić dalszych, niecelowych ofiar. Będziecie jeszcze Ojczyźnie potrzebni. Wierzę, że stawicie się wszyscy na pierwsze wezwania do szeregu, gdy przyjdzie na to pora. Udzielam wam obecnie bezterminowego urlopu. Bądźcie w pogotewiu!"

Dziś, przed chwilą - myślałem - przegrałem jeszcze jedną bitwę o Polskę. Szukałem się jednak wezwany do walczącego szeregu, o którym pięć lat temu mówił płk A. Horak. To więzienie to kolejny tylko etap walki oraz próba charakteru, którą muszę przezwyciężyć i przetrwać.

Major odprowadził mnie do dyżurki. Zwracając się do strażnika, wydał krótkie polecenie: "Otwieditie w kamieru!" - odprowadźcie do celi, Więzienie znajdowało się w piwnicach tego samego budynku. Po zejściu schodami do celi prowadził zamknięty stalową kratą korytarz. Stojący przy niej z kluczami strażnik, otworzył nam drzwi. Długi, szeroki na trzy metry korytarz był drogą do piekła. Szedłem pierwszy, za sobą czułem oddech strażnika.

Gromkie: "Stoj" - zatrzymało mnie w pół drogi. Spojrzałem w lewo na dźwignię żelazem drzwi, przeczytałem: 38. Strażnik sięgnął po klucz. Przekręcił go ze zgrzytem w zamku. Odciągnął jeszcze z hakiem długą, na pół metra zasuwę. Nacisnął twarde klamkę, otwierając na oścież drzwi. ~~Wskazał na drzwi~~ "Zachadi!" - rzekł twarde.

Ledwo przeszedłem próg celi jak zatrzasnęły się za mną drzwi. Znowu zazgrzytał zamek, zlewając się z odgłosem zamykanej zasuw. Stałem w celi zabezpieczonej akowcami. Przedstawiłem się: por. "Jerzy", Pa weł Świetlikowski, d-ca 2 Bat. Dzielnicy B, Wilno Śródmieście. Podchodząc do stojących, uściskałem serdecznie rękę.

Przedstawiali się kolejno: mjr "Sław", Teodor Cetys-szef sztabu Okr., mjr "Konar"- Franciszek Koprowski-d-ca 6-tej brygady "Konara", ppor. "Brankart"-Eryk Budzyński-adiutant gen. "Wilka", kpt. "Siła"-Ludwik Fortuna-szef sztabu Okr. Nowogródzkiego, por. "Podsedek"-.....grupa "Cecylia", kpr. "Zabój"-Mieczysław Matuszczak-kierowca gen. "Wilka".

Wiedziałem, że wszyscy byli aresztowani 17 lipca, podczas zradzieckiej koncentracji w rejonie trójkąta: Turgiele-Miedniki-Taberyszki. Trzymani byli tu rzekomo na prawach "internowanych", choć było to więzienie śledcze i ten sam reżym obowiązywał wszystkich.

Patrząc na ich blade i wychudłe twarze, czytałem jak z książki przebyte w tym czasie udręki i doznane upokorzenia. Pierwsze pytanie zadali mi wszyscy niemal jednocześnie: Co nowego na wolności?

Odpowiedź moja była krótka: areszty, areszty, areszty...

Ludzi, których wyrwane niespodziewanie z życia i zamknięto w izolowanych szczelnie czterech ścianach - interesuje w zasadzie wszystko. Przede wszystkim chcieli poznać bieg wydarzeń od momentu rezbrowienia, gdy zostali aresztowani.

Już podczas marszu na miejsce koncentracji - rozpocząłem swoją informację - spotykając liczne wojska NKWD, wiedzieliśmy, że ~~idziemy~~ <sup>idzie</sup>my w zastawioną pułapkę. Mijając się z jedną z takich kolumn, usłyszeliśmy z ust siedzącego na koniu artylerzysty soczysty, ale bez ogródek wypowiedziany pod naszym adresem epitet: "Nu czto job waszu mat' nawojowaliś?!"

Towarzysze oficerowie-politruacy bajdurzyli o "organizacji" polskiej dywizji. Bajec wiedział tylko jedno: mają nas rezbrowić. Nie musiał<sup>uśc</sup> udawać i oszukiwać wiedząc, że jesteście już otoczeni.

W przygotowanym już obozie w Miednikach zamknęli 7000 naszych żołnierzy. Nie wiem ilu w tym było oficerów. Ja z por. "Lechem"- Leoninem Blinstrubem uciekliśmy z kolumny w drodze do tego obozu. Idący przede mną rtm. "Grem"<sup>ok</sup> w wyznaczony w ostatniej chwili na miejsce kpt. "Józefa") wolał pójść do obozu. Wywieziony do Rosji już nie wrócił.

Uniknąłem obozu, zagrożenie pozostało. W Wilnie obowiązywała mobilizacja mężczyzn do Armii Czerwonej roczników ur. 1923-1908. Zmieniłem dowód z datą urodzenia 1907. Byłem jednak zdekonspirowany. <sup>3</sup>Greziło <sup>4</sup>aresztowanie w każdej chwili. <sup>1</sup>Przygotowywaliśmy się całą <sup>2</sup>grupą kolegów-akowców do wyjazdu z Wilna.

W międzyczasie obóz w Miednikach nawiedziła delegacja tzw. "Komitetu Patriotów Polskich" z Putramentem na czele. Namawiali usilnie chłopców, aby wstąpili do armii Berlinga. Agitacja najemników Moskwy okazała się daremna. Jedną tylko składaliśmy przysięgę i jej pozostaliśmy wierni- odpowiedzieli wszyscy zgodnym chórem. Namlegania i pojętne obiecanki również pozostały bez echa. Wyjechali z niczym.

W mieście i w terenie buszowało NKWD. Wśród licznych aresztowanych trafili także dwaj kolejno wyznaczani Komendanci Okręgu.

Pozostawanie w mieście stawało się ~~staxxxxx~~ coraz bardziej gorące i niebezpieczne. Ilekroć przychodziłem do domu upewniałem się nasamprzód, czy mogę wejść. Nocę spędzałem u znajomych i każdą w innym miejscu. Lada dzień spodziewałem się nowych dokumentów, które były produkowane w uruchomionej na nowo komórce kwatermistrzowskiej.

Zastanawiając się nad sposobem wyjazdu, jedno wiedziałem niezbiecie: nie mogłem pozostać w Wilnie. Byłem zdekonspirowany. Wyjazd w pojedynkę i bez bagażu był rozwiązaniem najprostrzym w wykonaniu i najbardziej bezpieczny. Jednak w akowskiej świadomości przeważała zasada, że tonący okręt dowódca opuszcza jako ostatni.

W podobnej do mojej sytuacji było wielu moich podwładnych kolegów i żołnierzy, z którymi byłem w stałym kontakcie. Niektórzy z nich potrzebowali pomocy. Więzy ideologiczne oraz poczucie odpowiedzialności za innych były dla nas wartością dominującą.

Okoliczności, które zmusiły mnie 15-go września do pójścia na pechową dla mnie w tym dniu ulicę Artyleryjską są tylko dowodem, że łącząca mocno akowców więź ideologiczna nie była zwykłym tylko czcą retoryką. I choć skutki decyzji tej okazały się fatalne, nigdy kroku tego nie żałowałem.

Tragedią Polaków był fakt, że Związek Sowiecki, którego słusznie uważaliśmy za agresora i okupanta, rządził na zagarniętych ziemiach jak u siebie w domu, a podbity naród poddał bezprawnej eksterminacji. Przestępczy Pakt Stalin-Hitler był w tym działaniu jedynym oparciem.

Milczał dyplomatycznie zajęty wojną Zachód, wynosząc z tego określone korzyści polityczne. Los podbitych narodów się nie liczył. Nie pierwszy to już raz ściśle rozumiany interes własny okazał się ważniejszy od zawartego sojuszu i wynikających stąd obowiązków. Wierny i walczący od pierwszego dnia wojny sojusznik Polska została zdradzona i pozostawiona na pastwę Związku Sowieckiego. Stalinowi zestawiono wolną rękę do ludobójczej rozprawy z Polakami.

Lipcowa zdradziecka koncentracja AK nie spełniła sowieckich oczekiwanych nadziei. Z liczącej 15.500 tysięcy żołnierzy Armii Kra-

jowej w obozie w Miednikach zamknięto tylko 3000. NKWD stanęło przed nowym poważnym zadaniem: aresztować wszystkich pozostających jeszcze na wolności akowców. Potrzebne do tej operacji wykazy należało zdobyć, korzystając z siatki swoich agentów, wymuszając w śledztwie na aresztowanych oraz z "rozmów" prowadzonych z grupą przetrzymywanych w więzieniu tzw. "internowanych oficerów".

Cela nr 38 była jedną z tych, w której przetrzymywano rzekome tych internowanych. Trafikiem do niej 15 września 44 i przez 3 miesiące dzieliłem solidarnie ich los, chociaż byłem na prawach aresztowanego, a więzienie Łukiskie było więzieniem o reżymie śledczym.

Status tzw. "internowanych" był więc wybiegiem taktycznym, mającym na celu stworzenia pozorów, że grupa ta traktowana jest w sposób szczególny, uprzywilejowany. Był to manewr psychologiczny, który, osłabiając wolę operu i wrogości, miał wpłynąć na większą "otwartość" przy prowadzonych rozmowach indywidualnych.

Opowiadał mi o tych w "miłej" & "serdecznej" atmosferze prowadzonych rozmowach ppor. "Brankart". Głodzonych od miesiący oficerów śledczy częstowali Kazbekami i daniami obiadowymi, aby w niewinnej przy tej okazji pogawędce wyciągnąć maksymalnie dużo potrzebnych i brakujących jeszcze informacji. Aby przychylność swoją uwiarygodnić, a wylewność wezwanego zwielenokrotnie napomykano o możliwości szybkiego zwolnienia z "internowania" (czytaj więzienia).

Kto był chociaż krótko w więzieniu wie, że zapowiedź tylko o zwolnieniu, choćby podana przez zawodowego kłamcę jak funkcjonariusz KGB, robi ogromne wrażenie na każdym więźniu. Niestety, słabość ludzka bierze często w takich chwilach górę nad rozsądkiem, którą przestępcy pokroju KGB wykorzystują z premedytacją i do końca.

Podobnie manipulowano na uczuciach, szczerości i uczciwości oficerów polskich w Katyniu. Tam wstępnej "obróbki" dokonywał rzekome znający dobrze Polaków i dlatego "serdecznie" do nich ustunkowany carski pułkownik.



Wśród gruboskórej plejady kagiebiistów pułkownik wyróżniał się ogładą towarzyską oraz wersalskimi niemal manierami bycia. Dawał dowody znajomości naszej historii, sygnalizował "przyjazny" stosunek i szczerą chęć przyścia z pomocą. Prowadząc z każdym długie rozmowy, wypytywał o wszystko z najmniejszymi szczegółami. Gdy znał już pochodzenie, warunki rodzinne i opinię o "burżuazyjnej Polsce", zadawał pytanie ostatnie: "Kakoje wasze atnoszenije k sawieckoj własi?".

Dobrze wychowany i życzliwy Polakom carski pułkownik skrzętnie wszystko notował, ~~zapisywał~~ potem analizował, segregował i wstępnie opiniował. Wybranych wysyłał do Moskwy do "prawierki". Czy byli to ci, których "nie rozgryzł" do końca carski pułkownik, nie wiedząc do jakiej zaszufłakować ich przegrody?... Czy może byli to ci, których uznał wstępnie za przydatnych Związkowi Sowieckiemu w rozgrywce przyszłej o Polskę socjalistyczną?...

Mord Katyński wyjaśnia w stopniu pewnym rolę, jaką grał i spełnił "przyjazny" polakom carski pułkownik. On to pierwszy i z zimną krwią wyrokował o życiu i śmierci badanych. Wydawał wyroki śmierci, które po formalnym już tylko zatwierdzeniu były wykonane na miejscu.

Los wysłanych do Moskwy był w zawieszeniu i zależał już od podobnych mocodawców moskiewskich.

O mordzie zbiorowym Katyńskim dowiedziałem się z książki wydanej przez Niemców książki pt. "Amtliches Material zum Massenmord von Katyn", która okupację sowiecką przeleżała w wiszącym na ścianie w pokoju moim zegarze, do Polski przewieziona została w walizce z podwójnym dnem, przez 12 lat oczekując w Olsztynie mego powrotu do kraju, leży dziś jako biały kruk w mojej osobistej bibliotece.

Znamy dziś liczbę ofiar Katynia. Wynosi ona 21,857 osób. Tylko 200 oficerom udało się uniknąć tego losu. Bilansu ofiar poniesionych przez Armię Krajową Okręgów Wschodnich nie dokonano do dziś! Czy podejnie się ktoś kiedyś tego ważnego dla historii naszej dzieła?

Prowadzona na szeroką skalę i zmierzająca do całkowitej likwidacji pozostających wciąż jeszcze na wolności i rozproszonych w terenie ~~oddziałów akowskich niernie dawała wciąż rezultaty. Dlatego w październiku 1944~~

cji pozostających wciąż jeszcze na wolności i rozproszonych w terenie oddziałów akowskich mierne dawała wciąż rezultaty. Dlatego w ~~listopadzie~~ ~~listopadzie~~ 1944 roku podjęto nową. Najpierw rozpowszechniono pogłoskę, że wszyscy, kto zaprzestanie zbrojnej walki i dobrowolnie złoży broń - nie będzie pociągnięty do odpowiedzialności karnej.

Wiadomość ta dotarła nawet do nas przebywających wtedy w więzieniu przy ulicy Ofiarnej. Aby akcję tę uczynić bardziej wiarygodną i skuteczną, zwolniono z więzienia przy ul. Ofiarnej mjr. Jaremę" i ppor. "Brankarta", którzy decyzję "władzy" o bezkarności ujawniającym się akowcom mieli przekazać osobiście zainteresowanym.

Wir prowadzonego śledztwa uniemożliwił mnie śledzenie dalsze przebiegu tej sprawy. Zgodni jednak byliśmy w opinii, że jest to kolejny tylko manewr oszukańczy NKWD, którzy łatwym sposobem usiłują zwabić swe kolejne ofiary. Nie znam też wyniku tej akcji. Znałem jednak dobrze obu zaangażowanych do procederu oficerów. Obaj cieszyli się w środowisku akowskim należnym szacunkiem, godną odznaczyli się też postawą, będąc w więzieniu śledczym.

Wspominam o tym jedynie gwoli historycznej prawdy jako jeszcze jeden dowód stosowanych przez NKWD metod walki z akowskim podziemiem.

#### Cela więzienna.

-----

Ludzie, którzy o więzieniu wiedzą tyle tylko ile przeczytali o nim w książce czy w ~~pras~~ relacjach prasowych, nie zastanawiają się zbyt, co one oznaczają naprawdę dla tych, którzy przebywają w nim nieraz i latami. Zamknięci <sup>wygnik</sup> jak zwierzęta w klatce w pustej, ogołoczonej ze wszystkiego celi pozbawieni są wszystkiego, co żywy, przeciętny nawet człowiek potrzebuje, aby tylko wegetować.

W samotnej i wilgotnej celi czuje się jak schwytna w śmiertelny potrzask i zdana na bezkarną łaskę wroga ofiara. Nękanym ustawicznym głodem, brakiem snu i wypoczynku, torturowany fizycznie i psychicznie doprowadzany jest często do stanu na pograniczu ośłupienia. Ograniczony jeszcze w ruchach do kilku tylko metrów kwadratowych więziennej podłogi lub posadzki rozdzierany jest uczuciem ~~niemożliwości działania, które jest przyrodzoną cechą i potrzebą~~ ~~każdego normalnego człowieka.~~

niemożności jakiegokolwiek działania, które wszak jest przyrodzoną cechą i codzienną potrzebą każdego normalnego człowieka.

Zagrożony wyrokiem śmierci widzi stale w swojej wyobraźni ustawioną dla niego gilotynę i stojący w rezerwie pluton egzekucyjny krasnoarmiejców. Rozmyślając bez przerwy o swojej sprawie oraz najbliższych mu osób, spędza nie kończące się zdawałoby się nigdy dni w pozycji skulonej na podłodze zamienianej zrzadka na denerwujące spacerowanie po małej celi, zabijając w ten sposób dłużyć się dotkliwie czas.

Jutro dla niego już nie istnieje. Gdy za wchodzącym do celi strażnikiem zaryglował na zamek i zasuwę to tak jakby ktoś mu powiedział: z tą chwilą przestałeś być człowiekiem, przestajesz żyć. Skończyły się wszystkie jego plany i marzenia. Bezsilnymi okazali się nagle najbliżsi, przyjaciele i życzliwi mu dotąd zawsze koledzy.

Jak w gęstej mgle rozpląnęło się nagle pojęcie Naród, dla którego rzekome szczęście wstąpiłeś na drogę trudnej walki, poświęcenia i ofiar.

Wisząca pod sufitem na skręconym jak w konwulsjach drucie żarówka połyskuje szyderczo poprzez brudną i upstrzoną powłokę szkła. Nawet tu, w tej zamkniętej szczelnie klatce ~~już~~ nie masz chwili spokoju. Jesteś bez przerwy śledzony i niepokojony, abyś ani na moment nawet nie pomyślał, że jesteś wolny i że cokolwiek ci wolno.

Jak długo jednak w warunkach takich człowiek zdolny jest wytrzymać? Fizycznie i psychicznie?

Jak długo znosić może spotykane na kroku każdym nieludzkie, jakże bolesne upokorzenia?...

~~W~~ ~~nie~~ ~~kończących~~ ~~się~~ ~~codziennych~~ ~~rozważaniach~~ ~~przychodziły~~ ~~na~~ ~~myśl~~ ~~słowa~~ ~~naszego~~ ~~wieszczka~~: "A kiedy trzeba- na śmierć idą po kolei jak kamienie rzucane przez Boga na szaniec".

Choć za Polskę gotowy byłem być tym przez Boga rzuconym kamieniem, to jednak wierzyłem nieugięcie, że będę Jej jeszcze potrzebny i na powiększanie szanca obfitego polskich ofiar jeszcze czas.

Postanowiłem więc ~~wytrwać~~ <sup>narastające</sup> wciąż trudy śledztwa i życia wię-

zięnnego przewyciężyć i wytrwać. Po tak powziętej decyzji łatwiej już było walczyć z narastającym wciąż zniecierpliwieniem własnym i tłumić rodzący się równocześnie bunt serca.

Twarda rzeczywistość więzienna zadawała wciąż nowe ciosy, obnażając świeżo powstające rany. Miejsce chwilowego spokoju nawiedzały godziny i dni czarnej jak noc rozterki. A z nią najtrudniejsze jakie miałem w życiu pytania: Jak być, - jak postąpić - na co się zdecydować?...

Na zwykłych parametrach ~~człowieka~~ <sup>zwykłego ludzkiego</sup> strachu pracować zaczynała wtedy rozbudzona wyobraźnia. Nabierał niebezpiecznej szybkości tok myślenia o zbliżającym się nieszczęściu i życiowej katastrofie. Wówczas wbrew logice, zdrowemu rozsądkowi oraz przykazaniu Bożemu nawiedzała myśl najczarniejsza.

Charaktery słabsze napięcia tego nie wytrzymały. Zdarzało się, że tracili zmysły. Niektórzy, ~~niekiedy~~ <sup>niekiedy</sup> aczkolwiek nieliczni, podlegając przemocy, podpisywali na siebie wyroki. Podpisując na sobie, pogrążali również innych. Nie pozostawało to bez skutku na ich późniejszym ~~stanie~~ <sup>stanie</sup> samopoczuciu, które przez długi czas nie dawało wewnętrznego spokoju.

Zabójcza jest sama rzeczywistość, zabójcze są ostatnie wspomnienia więzienne, ~~związane~~ <sup>związane</sup> z rękami, nogami i umysłem. Zaryglowane podwójnie drzwi celi i gruba krata na oknie pod sufitem. Pomocy z nikąd, a każdy krzyk rozpaczony zostanie zdławiony karcerem lub kaftanem bezpieczeństwa.

Na co się więc zdecydować?... Skończyć z sobą, podcinając sobie żyły...-ale czym? - Nie pozwolą ci tak łatwo uniknąć tego wszystkiego, co masz już zaplanowane. Oni pracują według ścisłego planu. Mają dyspozycje odgórne ilu trzeba rozstrzelać, a ilu wysłać za krąg polarny do łagrów. Żąda tego Stalin i partia. Rozstrzeliwanie i torturowanie ludzi nie należy do pracy łatwej, ale dodatkowe gwiazdki, łwansy i hojne premie podnoszą autorytet i stają się coraz bardziej pożądane.

Leżąc nocą na podłodze - szukasz wciąż jakiegoś rozwiązania.

Sto myśli przewala się przez głowę, a żadna z nich nie jest realna i do wykorzystania. I wtedy - staje się nagle rzecz przedziwna. Budzi się niespodziewanie śpiąca dotąd gdzieś na dnie serca iskierka mała nadziei. Świta wnet myśl, że nie wszystko jest jeszcze stracone, skoro człowiek jeszcze żyje. Matka stale mówiła, że człowiek strzela, ale Pan Bóg kule nosi. Warto więc przetrwać. Los może się jeszcze odmienić. Znow budzi się wiara w sprawiedliwość, w zwycięstwo dobra nad złem, że Zachód nie powinien nas - sojuszników swoich wiernych opuścić i pozostawić na pastwę sowieckiego K&B.

Już po upływie kilku tygodni ~~Winnę~~ mego pobytu w więzieniu, gdy wystąpiły pierwsze, znaczące ~~już~~ objawy osłabienia organizmu. Wstając z podłogi, doznawałem zaburzeń głowy i wzroku. Musiałem postać czas jakiś oparty o ścianę, aż płaszczyzna ustąpi, a sufit i podłoga przestaną się mieniać miejscami, a pod ciężką ołowiem czaszką uspokoi się rozbiegane na wszystkie strony mrowisko.

Umrzeć w celi nie pozwolą. Byłby to bowiem błąd "w sztuce" śledczego i służby więziennej, że np. zbitego do nieprzytomności człowieka nie zlali wiadrem zimnej wody, pozostawiając samego, który zadusił się spływającą do gardła własną krwią. Albo z braku chwilowej obserwacji pozwolili wdesperowanemu więźniowi przeciąć sobie kawałeczkiem zdobytego szczęśliwie szkła żyły, lub powiesić się na kracie, wykorzystując jako sznur plecione wstążki z porwanej koszuli.

Niema nic błędniejszego jak twierdzenie, że wszystkiemu winien jest Stalin. Stalin rezydował na Kremlu, i siedząc w miękkim, wygodnym fotelu, planował i wydawał tylko polecenia, gdy w tym samym czasie dwa miliony wyszkolonych specjalnie młodejczyków pełniło gorliwie swoją codzienną służbę, wykonując w tym czasie w tysiącach odległych od siebie miejscowościach Związku Sowieckiego tysiące wyroków śmierci. Wykonywane je przytym posłusznie, skrupulatnie i bez zastanowienia, że się morduje ludzi niewinnych. Mierzony z tyłu po azyjatycku strzał w ~~gatył~~ głowy wieńczył badyckie dzieło.

Nad stałym dopływem wyszkolonej "odpowiednie" kadry czuwała wydajnie i niezawodnie kuźnia zwyrodnialców, szkoła Abakumowa.

Jeżeli ~~zrozumiałym~~ w tym zbrodniczym procederze było aż tak wielu - powstaje tedy pytanie;:co ich do działania takiego zmuszało, pobudzało i czym się naprawdę kierowali?

Była to bezkrytyczna i bezmyślna wiara we wpajane od dzieciństwa zasady komunistycznej ideologii, przekonanie w jej zbawczą siłę, czy też zwykły tylko pragmatyzm lub zamykowanie wrodzone do sadyzmu?

"Urzędujący" na piętrze oficerowie śledczy, schodzili do piwnic, gdzie się znajdowały cele więzienne, rzadko. Działo się tak tylko w przypadkach wyjątkowych. Tu rządziła więc niepodzielnie służba więzienna - strażnicy, którzy wykonywali swoje obowiązki z zadziwiającą gorliwością. Rok bezpośredniej obserwacji ich pracy umożliwił mi szczegółowe zapoznanie się ze wszystkimi sekretami tego systemu zniewolenia człowieka.

Szpiclewskie oko strażnika wзира stale z "judasza". Każdy, najmniejszy nawet szmer w celi kwitowany jest natychmiast ostrą reprimendą strażnika. Jakże częste, pomimo wysłanych, tłumiących kroki strażnika chodników- ucho więźnia wykłapuje z panującej ogólnie śmiertelnej ciszy bardziej wyczuwalnie, aniżeli akustycznie, niż szmer skradającego się do drzwi celi strażnika.

Mógł wszak sobie bezkarnie pofolgować, nieco odpocząć. Nie- strażnik przez całe 8 godzin swojej służby był w ciągłym ruchu: to skradał się bezszelestnie do drzwi, zaskajując złowieszczo szeleszczącą zasłonką "judasza", to uprzedzał wszystkich po kolei, aby nie spać i głośno nie rozmawiać, to przypominał wciąż o zakazie podchodzenia do okna, strasząc za każdym razem karcerem. Był nieprzerwanie czujny, nad wyraz gorliwy, nadgorliwy do ~~hina~~ bólu.

Co go do tej obłądnej w swej profesjonalnej nadobowiązkowości zmuszało?- myślałem zawsze, ilekroć dotykało to mnie bezpośrednio.

Wierzył święcie w nasyconą po uszy od dzieciństwa ideologią komunizmu, czy może wcielony z poboru do wojsk NKWD i poddany ostremu rygorowi tego reżymu doszedł do wniosku, że stał się już kontrolowanym jego zakładnikiem, a każde zejście z tej linii zostanie ukarane w sposób bezwzględny i okrutny.

Dowody takiego rozprawiania się z przeciwnikami politycznymi miał codziennie, był nawet częściowo ich sprawcą. Wiedział też, że stając się jak oni - otrzymałby "zapłatę" podwójną. Musiał więc być stale ostrożny w obcowaniu z innymi na służbie i w życiu prywatnym, aby jednym częste nieprzemyślanym słowem nie wyrazić czegoś, co przekazane natychmiast "gdzie trzeba" nie spowodowało - czego obawiał się panicznie - uwięzienia i losu ludzi, których sam też ~~niejednokrotnie~~ <sup>codziennie</sup> torturował.

Uczucie strachu - tak powszechne wśród całego bez wyjątku społeczeństwa sowieckiego, nie było ~~obce~~ <sup>również i</sup> funkcjonariuszom NKWD. Rzecz zgoła paradoksalna: twórcy i realizatorzy totalitarnego reżymu ludobójstwa, ludzie, którzy decydowali dowolnie i bez ograniczeń o życiu lub śmierci każdego obywatela - sami obarczeni byli również ~~nie~~ psychozą odczuwanego podskórnie strachu.

Obcując na co dzień z ofiarami swego reżymu, oglądali jego wyniszczające skutki. Wychudzone twarze, osłabione do granic organizmy, złamane często i doprowadzone do poniżającej człowieka uległości charaktery. Ci, którzy próbowali zachować godność i podejmowali próbę nierównej walki, poddawani byli niekończącym się torturom i szykanom. Stosowany terror był siłą napędową systemu, który nie chronił nikogo.

Było czego się lękać i funkcjonariuszom NKWD. Feliks Dzierżyński, kąpiący się we krwi ludzkiej politruk, umiera na atak serca. Władysław R. Mienżyńskiego struż rzekomo Henryk Jagoda, obejmując po nim władzę nad Aparatem Bezpieki. Po dwóch latach sprawowania władzy ~~został~~ zwabiony podstępnie z urlopu w Ceszi do Moskwy został na rozkaz Stalina aresztowany i rozstrzelany, mając 44 lat.

Jego następcą Mikołaj Jeżow rozpoczął swoje urzędowanie od zwołania w Moskwie konferencji wszystkich dotychczasowych komisarzy NKWD i ich zastępców, do których w czasie obrad otwarto ogień z karabinów maszynowych. W ten sposób M. Jeżow rozliczył się z ludźmi swego poprzednika Jagody.

M. Jeżowa wykończono w roku 1938. Dwie wersje krążą o jego śmierci: że został otruty w grudniu 1938 roku we własnym domu, natomiast inna głosi, że utracił zaufanie i względy Stalina postradał zmysły. Umieszczony w zakładzie dla psychicznie chorych wkrótce tam zmarł.

Los kolejnego komisarza Spraw Wewnętrznych SRR mało się różni od jego poprzednika. Został zastrzelony lub uduszony 28 czerwca 1953 roku w Moskwie na zwołanym posiedzeniu KC KPZR przez gen. Moskalenko, marszałka Żukowa i w roli pomocnika Nikojana.

Wszyscy funkcjonariusze NKWD i NKGB znaleźli te życiorysy w najdrobniejszych szczegółach. Mieli czego się bać... ich nieograniczona niczym władza nie była dożywotną. W każdej chwili, gdy "wymagała" tego partia, stawali się również ofiarami swego systemu. Systemu, który był najlepszy w, systemu, który miał zbawić świat...

Mieli czego się bać i oni, bogowie zniewolonego społeczeństwa.

---

Zbliżał się szary, ponury jak codzienny wieczór. Zapadał stopniowo wileński zmrok. Przenikając przez pozbawione szyb okno do celi, pogrążał ją stopniowo w ponurych ciemnościach. Ściany celi zaczęły tracić powoli swoje kontury, oddalały się jakby gdzieś w przestroni, by już za chwilę zlać się w jedną otaczającą dookoła czerną.

Siedziałem pod ścianą na podłodze z pochyloną nad zgiętymi i opasanymi rękami kolanami głową. W zwykłej i przez cały niemal dzień stosowanej pozycji. Pogrążony w zadumie błąkałem się gdzieś po zakamarkach swojej niedawnej przeszłości.

Nagły, przeraźliwy krzyk męczyzny, dochodzący z głębi korytarza, wyrwał mnie ze stanu na wpół usypiających rozmyślań. Krzyk w więzieniu, gdy idzie się do karceru za głośną rozmowę - tym bardziej że niósł on z sobą tajemniczą trwogę - był czymś wyjątkowym, niezwykłym.





Napewno nie było to zachowanie się normalnego człowieka. Wgłąb korytarza biegło kilku mężczyzn. To strażnik - pomyślałem - ściągnął alarmowe posiłki. Napewno są wśród nich oficerowie śledczy.

Otwarte celę, zadudniły szybkie kroki wchodzących do celi. Chwila ciszy i wnet odgłos trudnej do określenia szamotaniny czy toczonej tam może walki. Jednego przeciwko 3-4-om, a może i 5-ciu.

Nikt się już nie dowie jaka rozegrała się tamwtedy scena. Z treści dochodzącej urywkami rozmowy oraz charakterystycznych odgłosów wnioskowałem, że stoczono tam walkę. Powaleniemu na podłogę więźniowi nałożono kaftan bezpieczeństwa. Ów ów więzień stał, mimo olbrzymiej przewagi czekistów, stawiał napastnikom zdecydowany opór. Dławiony brutalnie opór sygnalizował krzykiem. Gdy gwałtownie zamilkł - oznaczało że stracił przytomność, a akcja założenia kaftana bezpieczeństwa była zakończona.

Winieniem przy okazji komentarz, iż kaftan bezpieczeństwa stosowany był w karcerach. Uśmierzali w ten sposób hardych i niepokornych według ich zdania więźniów. W więzieniu wileńskim sięgnięto po niego, aby "uspokoić" człowieka, który postradał zmysły.

Zamknięto drzwi celi. Opuściła korytarz biorąca w tej akcji grupa behaterskich czekistów. W więzieniu znów zapanowała ciężka jak kamień cisza. Długo jeszcze do późnej nocy nie byłem w stanie powrócić do równowagi duchowej. Upiorne sceny i myśli majaczyły się po mojej głowie.

Dla czekistów wileńskiego więzienia przy ulicy Ofiarnej życie powróciło do normy.

Wydarzeń jak to - nie zapomina się do śmierci. Ucho i wyobraźnia więźnia funkcjonują na specyficznej zasadzie: będąc zamknięty w celi, więzień wszystko słyszy i widzi, co się dzieje na korytarzu i w całym więziennym podziemiu. Wiele jest więźniów w każdej celi, określając to po krakach wychodzących z celi rano na "uberkę". Słyszy kogo biorą na przesłuchanie. Słyszy porozumiewających się półgłosem strażników. A ilość zebranych w ten sposób informacji za-

leży już wyłącznie od skali posiadanej inteligencji oraz niezbędnej w tym wyobraźni.

Opisany wyżej przypadek nie był niestety wyjątkiem. Mury sowieckich więzień kryją wiele podobnych i jeszcze bardziej tragicznych tajemnic. Nieludzkie tortury doprowadziły wielu do obłądzenia jak tego, którego uśmierzano przy pomocy kaftana bezpieczeństwa.

Maltretowany w śledztwie miesiącami człowiek, przeróżnymi sposobami i naciskami zmuszany do podpisywania podszywanych mu przez śledczego protokółów ma do wyboru: podpisać wszystko bez operu i walki, mając w perspektywie "lekkie" śledztwo- albo nie podpisać nic, decydując się na walkę z aparatem śledczym do ostatniego i będąc przygotowany na wszystko, nawet na śmierć.

W obu przypadkach zdawał sobie sprawę, że kładąc swój podpis podpisuje na siebie wyrok, częste śmierci. Gdy dochodziło do jego ogłoszenia, co nazywane cynicznie "sowieckim sądem sprawiedliwości" - a zapadłe wyroki okazały się jednakowe - odmienne zgola napadały wtedy obu refleksje.

Ten pierwszy - oprócz poniżającej godność ludzką świadomości, że, łamiąc złożoną przysięgę, okazał się człowiekiem słabym, że się zeszmacił<sup>się</sup> i odtąd zamęczać się będzie wewnątrz, iż, zdradzając swoich współtowarzyszy walki, nie będzie śmiało spojrzeć im z czystym sumieniem w oczy. Dozna jeszcze uczucia zawodu, gdy na tzw. sądzie <sup>za czytają</sup> mu wyrok taki samy jak innym, którzy trudy śledztwa przeszli w sposób godny.

Ten więzień, który postradał zmysły, był w trakcie prowadzonego śledztwa. Należał do tych, którzy fałszowanych protokółów zapewne nie podpisywał. Nie wytrzymał jednak napięcia śledztwa. Będąc ambitny, bał się, że nie wytrzyma już dłużej męczarni, której był systematycznie poddawany.

Mogło też być inaczej. Maltretowany po raz setny uległ i podpisał. Dopiero, gdy znalazł się w swojej samotnej celi, zrozumiał w pełni, co zrobił i - przestraszył się naprawdę. Niema przesady w powiedzeniu, że strach ma wielkie oczy. A te oczy są tym większe oraz

bardziej przerażające im większe grożą i wynikają z tego następstwa. Utrata w takiej sytuacji zmysłów to tylko gra i skala posiadanej wyobraźni.

Mogło być też jeszcze inaczej. Zbity do nieprzytomności przez zgrają osiłków i wrzucony w stanie takim przez strażników do celi odzyskał po pewnym czasie przytomność. Gdy się ocknął - poczuł, że jest cały zmaltretowany. Że na całym jego ciele niema ani jednego miejsca, któreby go nie bolało. Każdy najmniejszy nawet ruch jakiegokolwiek częścią ciała, dotyk każdy tylko był bólem.

Z przyjściem świadomości przypomniał, gdzie był i skąd wrócił. Uwrażliwiona do maksimum wyobraźnia narysowała dokładny obraz pobytu u śledczego. Raz jeszcze zobaczył stojących tam za plecami czterech odkarmionych dobrze czekistów. Przypomniał, że ilekroć odmawiał podpisu-bili go pięściami w tył głowy. Pierwsze uderzenia znosił dobrze. Cierpiał nie mniej, gdy niebili, lecz oczekiwał momentu nowego uderzenia. To oczekiwanie na uderzenie kolejne było tym samym tylko wydłużonym w czasie bólem. Tylko tym razem przeżywanym również i w sferze psychicznej. Przypominało to stan ~~szkwa~~ zmaltretowanego doszczętnie człowieka, któremu dodatkowo przypiekano jeszcze piekącym płomieniem.

W przemieszczonych już być może zwojach mózgu zaświtała na moment jasna jak promień słońca myśl: Nie podpisałem!

W tym jednak momencie seria kolejnych ciosów zwała go z nóg. Nastąpiła ciemność i beczucie... A później już to bolesne przebudzenie w celi. I ta straszliwa, opętająca świadomość, że to jeszcze nie koniec śledztwa. Jak poprzez krwawą mgłę widział widział jeszcze wściekłą i wykrzywioną z gniewu twarz śledczego i zapamiętał jeszcze wypowiedziane wtedy przez niego charczące nienawiścią słowa: " Podpiszesz swe łecz! Na podłodze i w krwi, ale podpiszesz!"

Zaszeleścił nagle złowieszczo "judasz". Więzieln podniósł swolna obolałe i ciężkie okowiem powieki.

Uczucie strachu, zamętu i przerażenia przemieniły się w jeden, niekontrolowany już odruch samoobrony. Dźwignął się ciężko z podłogi, i stojąc na chwiejnych nogach, wyrzucił resztką płuc swój tragizm.

Był w szoku. Chwiał się na bezczułych nogach, i stojąc oparty o drzwi, uderzał w nie mocno pięściami, a może i głową... ponieważ uderzenia stawały się momentami bardziej tępe i głuche.

Był to człowiek nieświadomy już swoich czynów. Dpprowadzony do tego stopnia zaburzenia procesu funkcjonowania mózgu i tkanek nerwowych, w którym do głosu doszły niekontrolowane już odruchy samego organizmu, które były odruchami jakimi posługuje się wariat.

Zwariował tego wieczoru człowiek! Zwariował w sowieckim więzieniu Polak, Patriota, akowiec, który kochał Polskę i Wilno torturowany przez sowieckich czekistów. To też była CENA JAKĄ MŁODE POKOLENIE AKOWSKIE PŁACIŁO ZA ZRYW NIEPOBŁĘŚCICOWY!

Dziś na próżno dociekać szczegółów i okoliczności, które leżały u podstaw tego tragicznego w skutkach wydarzenia. Mury sowieckich więzień i akta śledcze skryły niezliczoną ilość takich i podobnych przestępstw. Tortury i stresy psychiczne przeżywał każdy będący pod śledztwem akowiec. Jedną bowiem dla wszystkich KGB stosowało metodę śledztwa i dwa tylko głównie ferowano w tym czasie wyroki: 20 i 25 lat katorgi w syberyjskich łagrach.

Zdarzały się również wyroki śmierci, które po pewnym czasie zamieniano łaskawie na 25 lat katorgi. Przyczyna tej łaski była prosta: Sowietom potrzebny był nie trup, którego należało jeszcze nocą gdzieś pokryjono zakopać. Potrzebny im był do darmowej pracy niewolnik, który wykorzystany do granic ludzkich możliwości i tak przeznaczony był do likwidacji. Jeżeli przeżył.

Pisząc o tych wydarzeniach dziś z perspektywy minionego pół wieku, uświadamiam sobie, że my wszyscy, zamknięci wówczas w celach wileńskiego więzienia akowcy - poddawani byliśmy temu

temu sanemu, że ów nieszczęśliwy młody człowiek, reżymowi śledztwa i tym samym torturom. Przeżywaliśmy też te same stany psychicznego załamania i nadziei, moralnych rozsterek i postanowienia twardego wytrwania w wierności złożonej przysięgi. Niejeden znów w chwilach najcięższych stawał na krawędzi, za którą była już tylko zdrada i deałów, zaprzeczenie postawy behaterskiej tchórzstwo i zeszmacenie nazwiska swego na zawsze.

Czekiści zdawali sobie dobrze sprawę z przeżywanych w chwilach takich przez więźnia depresji i momentów załamania. Dlatego poddawali go wtedy szczególnie obustronnej kontroli służby więziennej, aby wykluczyć możliwość popełnienia przez niego aktu samobójstwa.

W tym celu przeprowadzane są rewizje codzienne osobiste i w celi. Więzień jest pod stałą kontrolą strażnika przez "judasza". Zaaplikowane w tym czasie tortury i pełniona kontrola trwają tak długo aż osaczony ze wszystkich stron człowiek nie załamie się i stanie uległy śledczemu. Są to właśnie momenty, w których od obłąkania dzieli więźnia krok jeden tylko. Przeżywają to chyba wszyscy.

Powróćmy jednak do celi nr 38 w więzieniu przy ulicy Ofiarnej. Wsłuchiwałem się jeszcze czas, jakiś, czy nie usłyszę z głębi korytarza jakiegoś znaku życia, głosu z celi, w której przed chwilą rozegrała się tragedia człowieka. Napróżno. Tylko cmentarna cisza wypełzała znów z murów tego więzienia, wypełniła szczelnie korytarz i cele, przypominając każdemu z nas, że jeszcze dziś w nocy możemy być wezwani do śledczego na takie same z nim "rozmowy", po których Bóg jeden tylko raczy wiedzieć, co się z nami stanie.

Obok, w celi nr 39, przebywał arcybiskup Diecezji Wileńskiej Jego Ekscelencja ks. arcbp Romuald Jałbrzykowski. Żołnierz AK. Myślałem - jak odbierał i przeżywał to wydarzenie, którego rozegrało się tu przed chwilą.

Wiem, że był chory i po ciężkiej operacji żołądka sztucznie karmiony. Ciężkie warunki więzienne znosił dzielnie oraz z należą

Jego osobie pokorą i godnością. Z Jego udziałem i zgodą kilkudziesięciu księży Diecezji Wileńskiej brało udział czynny udział w pracy konspiracyjnej, pełniąc funkcje kapelanów w brygadach leśnych oraz w siatce miejskiej garnizonu. Aresztowany za przynależność do Armii Krajowej i wrogą w stosunku do ZSSR działalność wywrotową dzielił razem z nami trudy więzienia.

Gdy pierwsze emocje po wydarzeniu w niedalekiej celi opadły, myśli swoje przeniosłem do celi obok, w której przebywał ks. arcybiskup skup R. Jałbrzykowski. Ciekaw byłem niezmiernie jak wydarzenie to odbierał, przeżywał, jak na nie reagował?

Tak jak my wszyscy pozbawiony był możliwości przyjscia cierpiącemu człowiekowi z pomocą. Jako wierny przykazaniem Bożym Sługa i Kapłan nauki Chrystusa przeżywać to musiał w sposób szczególny. Dociekałem tego w domysłach.

Modlił się, klęcząc na twardej więziennej podłodze, prosząc Boga o zmiłowanie dla cierpień więźnia i przebaczenie jednocześnie jego katom?

Czy może modląc się do Najwyższego o zmiłowanie, przywoływał w pamięci historię swego Narodu i nasiąkłe krwią Polaków-Patriotów nie tak odległe jeszcze czasy rosyjskich carów??

A może prosił żarliwie Pana, aby rok 1944 nie zapisał znów w historii Narodu polskiego nowej Cytadeli Wileńskiej, choć tym razem rolę plutonów egzekucyjnych kata Nowosilcowa-"Wieszatiela" grało nie mniej okrutne NKWD.

W celi nr 38 siedzieliśmy wszyscy w milczeniu, skamieniali, pozornie nieczuli. Każdy z nas dramat naszego kolegi i współtowarzysza walki przeżywał głęboko w sobie i po swjemu. Siedząc na podłodze pod jedną ścianą, raz jeszcze trawiliśmy w wyobraźni odegraną przed chwilą scenę, nie znajdując do niej słów komentarza i oceny.

Był to bowiem los człowieka, który był jednym z nas, który składając tę ofiarę, pozostał wierny Sprawie-Polsce. Której pozostał wierny do końca.

Równocześnie jednak nawiedzały myśli wątpienia, skrywanego gdzieś na dnie serca niezdecydowania: czy ponoszone przez nasze pokolenie ofiary są tak ogromne ofiary są uzasadnione? Czy nie są one

zbyt duże?

Pytania te stawialiśmy sobie często będąc w więzieniu, gdy wszyscy inni korzystali i cieszyli się wolnością zakończonej wojny. Zada- waliśmy je rano, wracając po nocy spędzonej u śledczego. Siedząc w ciemnym i zimnym karcerze i codziennie, marząc jedynie o zjedzeniu choćby małego kawałka czarnego chleba. Myśleliśmy i sami sobie mu- sieliśmy na nie odpowiadać.

Nie było to łatwe. Nikt mnie do niczego nie zmuszał. Decydowałem sam. Udział w konspiracji był zaszczytem, wynikał z pobudek wewnętrz- nych, patriotycznych. Umiłowanie wolności, którą cieszyliśmy się lat 20, mieliśmy już we krwi. Odzyskanie jej stało się obowiązkiem każ- dego Polaka. Służba dla Narodu wydawała się dobrem naczelnym. Takim to było naprawdę to nasze całe dowojenne pokolenie.

Mogłem tego wszystkiego uniknąć. Czas okupacji ~~przekazywałem~~ <sup>Spokoju prze-</sup> handlować. Wkraczając do Wilna w lipcu 1944 Armię Czerwoną spotkać z kwiatami. Zgłosić się potem na apel tzw. "Komitetu Polskich Patrio- tów" do współpracy. Wstąpić do armii Berlinga. Do PPR również.

Ta druga postawa była alternatywą pierwszej. Była zdradą Polski i Narodu! Była drogą putramentów, jędrychowskich, borejszów, sztache- lskich, którzy czas wojny przesiedzieli w Moskwie na łaskawym chle- bie ulubienicy Stalina W. Wasilewskiej. Była drogą nielicznej wte- dy garstki naiwnych "myślicieli" albo zwykłych i do wszystkiego zde- lnych karierowiczów.

Odpowiedź na postawione pytanie nasuwała się sama. Mniej jak- by dokuczał z tą chwilą codzienny głód. Spokojniejszy szedłem na no- cne przesłuchania. Zbolały, ale hardy z nich powracałem. Odczuwałem szczerą satysfakcję ze spełnionego obywatelskiego i żołnierskiego względem Ojczyzny obowiązku. Wierzyłem, że Polska będzie wolna, a Naród szczęśliwy. Nigdy nie żałowałem swoich czynów i podjętych wte- dy decyzji. Nawet, gdy musiałem za to zapłacić dwoma więzieniami i dwunastoma latami pobytu w katorżańskich łagrach Warkuty.

Ofiary były ogromne, to prawda. Ale duch walki Armii Krajowej



pozostał w Naradzie sprzedany przez Zachód bolszewizmowi. Pozostał i przetrwał przez 45 lat komunistycznego zniewolenia, aby w roku 1981 wybuchnąć zwycięstwem "Solidarności". Poniesione ofiary nie były daremne.

Reżym więzienny ustalony był instrukcją odgórną i z pedantyczną dokładnością rygoru przestrzegany przez służbę więzienną. Reżym sowiecki obliczony był głównie na podważeniu i zabiciu u człowieka godności osobistej. Już od momentu aresztowania spotykałeś się z faktami, sposobem traktowania i językiem, które stawiały cię w roli przestępcy, bandyty, niebezpiecznego złoczyńcy.

Odrażający świat życia więziennego, który Polakom był zupełnie nieznanym, stanowił nieodłączny element sowieckiego systemu komunistycznego. Terror, gwałt, przemoc i najwulgarniejszy na świecie język mowy potocznej stanowiły odąd podstawę naszej codziennie dawkowanej nam nowej zupełnie "edukacji".

Korytarz więzienny zabezpieczony był na wlocie stalową kratą, strzeżoną przez jednego z dwóch dyżurujących na trzy zmiany strażników. Dzień więzienny rozpoczynał się o godzinie 6-ej pamiętną do dnia dzisiejszego pobudką. Odbywało się to w sposób następujący: idący korytarzem strażnik, uderzał jak młotem nogą w drzwi każdej celi, wydając każdorazowo głośną komendę "padion"!

Nagły i gwałtowny łomot w drzwi oraz nieludzko cgarczącym głosem wydana komenda sprawiały, że pogrążeni we śnie więźniowie zrywali się jak do pożaru ze swych barłogów. Gdy po chwili wracała świadomość, a łomot do kolejnych cel i odgłos kolejnych komend "padion" dochodziły z korytarza już stłumionym echem - wiedzieli, że to już ranek i nakazowy znak do wstawania.

Ta dzikość i gwałtowność budzenia ze snu szarpały nerwy wszystkim, a nie jednego uczyniły chorym na nerwicę już na całe życie. Miało to jednak swój ważny i zamierzony w założeniu cel: podporządkować, nastraszyć i rozstrzeić psychicznie. Więzień stanie się wów-

czas mniej odporny na stresy, naciski i tortury, bardziej bojaźliwy i uległy śledczemu w śledztwie.

Noc w więzieniu nie służy bynajmniej do wypoczynku, jeżeli o takim wogóle mówić można w więzieniu, które jest męczarnią ciągłą. Bowiem noc służy wyłącznie do prowadzenia przesłuchań. W dzień spać ci nie zezwolą, głowa w tym strażnika. A naruszenie tego zakazu to karcer.

Wieczorny sygnał do snu ogłaszany jest o godzinie 22-giej. Nadano mu nazwę "adboj", a jego przebieg zbliżony był do porannego. Tylko zamiast nogą strażnik uderzał w drzwi kilka razy pięścią i słowo ~~np~~ "atboj" wymawiał już nie tak przeraźliwie. Reakcja więźniów była już spokojniejsza, ponieważ nie spali.

W nocy dręczy i torturuje śledczy, we dnie nęka bez chwili jednej wytchnienia strażnik. Po jednym miesiącu jesteś już bez sił i wyczerpany. Ale śledztwo trwa zawsze znacznie dłużej. Moje pierwsze ciągnęło się prawie rok, drugie 6 miesięcy, ale jego natężenie oraz zastosowane środki nacisku sprawiły, że jedyną ucieczką przed grożącym rezstrzelaniem była myśl o samobójstwie, którego nie było możliwości dokonać.

Więzienie w piwnicach gmachu, w którym "urzęduje" Aparat śledczy to znaczy, że każdy więzień znajduje się w dyspozycji jego dyspozycji w każdej godzinie dnia i nocy bez zbędnych utrudnień z konwojowaniem. Więzienie przy ulicy Ofiarnej spełniało takie warunki śledcze.

Izolacja więźnia to warunek powodzenia śledczego, to możliwość manipulowania rzekomymi zeznaniami innych w rodzaju: "Nu czto<sup>sz</sup>, wasz kanandir mjr Kowalski<sup>sz</sup> uże przinałsa i wsie nam razkazał, a wy wsie jeszcze nie przinałoties". Albo inny wariant nacisku: "My wsie uże pro was znajem padrobnosti, a wy wsie wremia małczytie. My arestowali waszu żenu. Ana teże wsie potwierdiła. Jeśli dalsze budietie małczat, prijdietsa arestowat waszu mat" "

Chociaż nikt z nas nie dawał się na takie chwytły nabierać, to jednak wyrażane w pewnych momentach śledztwa pogróżki nie ~~były~~ <sup>mogły być</sup> ~~były~~

lekceważone. NKWD stać było na wszystko, na każdy kawet na najbar-  
dziej podły i okrutny, jeżeli było to w ich interesie i prowadziło  
do wyznaczonego celu.

Należało temu wszystkiemu stawiać czoła. Każde wyjście z celi,  
niezależnie<sup>od tego</sup> jakie ono miało charakter, było wykorzystywane w celu  
zasygnalizowania kolegom swojej tu obecności bądź przekazania wa-  
żnej dla prowadzonego śledztwa informacji. Będąc podczas tzw. "uborki"  
w ubikacji, zostawialiśmy na ścianach dyskretnie umieszczone krót-  
kie napisy, czasem gripсы. Przechodząc koło znanych cel w drodze  
na przesłuchanie, kaszlem lub słowem zdradzaliśmy swoją obecność,  
przekazując jednocześnie skrótową, ważną informację.

Trwała jeszcze wojna i nie wyjaśniona była kwestia granic Pol-  
ski. Sowieci w okupowanej części Polski rządili się jak u siebie w  
domu, a my Kresowiacы, wierni Jej obywatele znaleźliśmy się w sytu-  
acji wyrzucenych z gniazda podczas burzy piskląt. Piskląt - pozba-  
wionych swoich rodziców-Polski, skazanych na trudną walkę o byt po-  
wzedni.

Z prowadzonego śledztwa wynikało, że jesteśmy obywatelami sowie-  
ckimi, kontrrewolucjonistami i zdrajcami narodu, a z którym oprócz  
taczonych dotąd przez wieki całej wojen nie mieliśmy nic wspólnego.

Stan ten uważaliśmy za przejściowy. Liczyliśmy na lojalność Alia-  
ntów, szczęśliwe dla nas zakończenie wojny oraz sprawiedliwe, to zna-  
czy pomyślnie dla Polski postanowienia Komisji Międzynarodowej usta-  
lającej warunki pokojowe.

Mieliśmy uzasadnione powody, aby sądzić, że wierna do końca Alia-  
ntem Polska nie będzie pokrzywdzona. Narazie nagrodą za walkę były  
więzienia.

Nocą cele były oświetlone. Strażnik czuwał, zaglądając raz po  
raz przez "judasza" do celi. Gdzie w grę wchodziło zniewolenie czło-  
wieka-ekonomia szła w ką. Wisząca pod sufitem żarówka na zgiętym drucie  
żarówka kłuła nieprzyjemnie w oczy leżącym na podłodze więźniom.  
Leżącym bez pościeli i przykrycia. Wzięci z pola walki mieli na se-  
bie jedynie wojskowy mundur, aresztowani już w domu lub na ulicy -  
letnie cywilne ubranie.

Jednak jesień wileńska wieje już północnym chłodem. Listopad przynosi pierwsze mrozy, w grudniu i styczniu są "trzaskające", temperatura -40 stopni C nie jest zaskoczeniem.

A w więzieniu przy ulicy Ofiarnej okna świeciły bez szyb. NKWD się nie śpieszyło, a "swołoczy i izmienniki rodziny nie padchnut" Gdy skarżył się kto na panujące w celi zimno - zgodnie odpowiadali: "Tiurna eto nie kurort, wydzierzysz! "

Nie było wyjścia. Musieliśmy to przeżyć i "wytrzymać". Już sam pobyt tylko w takich warunkach klimatycznych w celi był swego rodzaju gehenną, próbą charakteru i organizmu, która od każdego więźnia wymagała ofiar największych.

Wszelki opór, bunt byłby krokiem co najmniej nieroztropnym, ba- krokiem samobójczym. "Buntowszczykow" rozstrzeliwano bowiem bez żadnego wyroku. Natychmiast. Komunizm jako mechanizm działa skutecznie. Mechanizm zaprogramowany wedle obowiązującej niepodważalnie ideologii, którą każdy obywatel sowiecki musiał realizować bez zastanowienia i chwili zahamowania. Każde powątpiewanie tylko jest już przestępstwem podlegającym karze. Powątpiewać w ideologię to przeciwstawić się nieśmiertelnemu Leninowi, to wreszcie sprzeniewierzyć się ojcu wszystkich narodów samemu wielkiemu Stalinowi. Takim "izmiennikiem" miejsce jedynie w katorżańskich łagrach, gdzie ciężką pracą tylko mogą "odkupić" swą winę. Że stamtąd prawie nikt nie wraca to już inna zupełnie sprawa i nikt się nad takim drobiazgiem nie zastanawia, ponieważ "u nas ludziej mnogo!"

Realizatorem tego systemu i strażnikiem jednocześnie było MSW, NKWD-KGB. Realizowało sprawnie, według odgórnie określonego w Moskwie planu, ściśle tajnie i z azjatyckim okrucieństwem. Jak przystało na prawdziwych komunistów.

Być sowietologiem, kompetentnym sowietologiem, może być ten tylko kto przeszedł przez sowieckie więzienia, sądy i łagry, katorżańskie koniecznie. Bez tej szkoły żaden normalny człowiek, choćby był i geniuszem- systemu tego nie zrozumie jak człowiek normalny

nie rozumie, bo nie jest w stanie zrozumieć człowieka niernormalnego. W Jałcie i Teheranie Czterej Wielcy tego świata uzgodnili, że przysiężka Polska ma być wolna, niepodległa, a nowy rząd zostanie wybrany w wolnych i demokratycznych wyborach.

Choć słów i pojęć wszyscy używali tych samych, to jednak uznane powszechnie i szanowane zasady demokracji ludzi wolnych Stalin rozumiał po swojemu. Według tych zasad dokonano mordy Katyńskiego i eksterminowano 200 tysięczną armię polską w roku 1939. Dla Stalina wolna i demokratyczna Polska to kolejna 17 republika sowiecka rządzona przez dobranych specjalnie przez siebie i podporządkowanych Moskwie komunistów po sfałszowanych oczywiście wyborach.

Podziwiany do obłędu przez Zachód największy w ZSSR reformator i "demokrata" M. Gorbaczow okazał się w końcu zwykłym komunistą, który wykorzystując zachodnie dolary i posługując się zachodnią frazeologią zamierzał jedynie uratować sowiecką gospodarkę, a wprowadzając kosmetyczne i pozorne jedynie zmiany ustrojowe przywrócić dawnemu imperium poprzednie znaczenie.

Usuwany go z politycznej sceny Jelcyn, wyniesiony przez naród za swe "prawdziwie" już "demokratyczne" poglądy i dążenia na szczyt władzy, nie wyrzekł się ani na jotę zapędów dawnej polityki imperialnej. Strasząc Żyrinowskim, realizuje właściwie jego politykę, oczekując tej samej zachodniej pomocy gospodarczej i dolarów.

Ostatnia afera szpiegowska obnaża do reszty cynizm polityki już rosyjskiej, ukazując wciąż naiwnemu światu Zachodniemu swe właściwe oblicze. Etyka sowieckiego komunizmu w kraju, gdzie człowiek wierzący traktowany był jak największy przestępca, odgrywa nadal w znacznej części narodu rosyjskiego wiedzącą rolę.

Los sprawił, że system ten poznałem dogłębnie. W instytucjach i środowiskach, gdzie "oficjale" chodzą bez maski, mówią to co myślą naprawdę i postępują zgodnie z opracowaną w NKGB albo Moskwie instrukcją. Jesteśmy wówczas <sup>świadkami</sup> koczowniczej rzeczywistości, w której

pozbawiona wszelkich cech ludzkich oligarchia rządzących, NKWD i armii, terroryzując własny naród, dąży do podporządkowania i zniewolenia także innych.

Czas pobytu w wileńskim więzieniu służył takim właśnie rozważaniom. Skracając czas rozważań nad własną niedolą, przybliżał bieg szykowanego nam losu. Do więzienia trafiłem w dwa miesiące później, a niżej moi aktualni Koledzy w celi. Sądząc po wyglądzie naszych twarzy, różniliśmy się znacznie. Patrząc na twarze "Sława", "Brankarta" czy "Siły", przypominały mi się gimnazjalne jeszcze lekcje historii profesora Jana Kapa, który z logiką godną wielkiego Arystotelesa ~~mn~~ wyjaśniał nam sekrety mumifikacji egipskich faraonów.

Stoż twarze moich Kolegów robiły na mnie wrażenie, że są z mianem wosku. Nawet sposób ich poruszania się po celi zmuszał mnie do refleksji. Chodzili wolno i ociężale jakby ważąc i szanując kręk każdy, który odbiera im część siły i energii. Za dwa miesiące - myślalem - będę wyglądał jak oni. Pobyt w więzieniu zmienia w człowieku wszystko: wygląd, usposobienie, sposób bycia, charakter.

Na korytarzu dał się słyszeć charakterystyczny odgłos przeta- czanego kuchennego wózka i stuk otwieranych w drzwiach okienek. ~~m-~~ To w czas obiadu strażnik rezwozi i wydaje więzienny posiłek. Zauważyłem, że wszyscy bez wyjątku w celi ~~mn~~ jakby się ożywili, stali barziej pogodni. Śród działa na wszystkich jednakowo, tylko nie wszyscy jednakowo to ujawniają. Jednych stać jeszcze na maskę, pod którą z najwyższym trudem skrywają jedyne nurtujące ich pragnienie: pierwszemu podejść do otwartego okienka i dostać miskę tej upragnionej "bałandy".

Zachowali w sobie jednak jeszcze szczyptę zwykłego ludzkiego wstydu, który te zwierzęce odruchy hamuje. Stać ich jeszcze na okazanie pererznego zewnętrzznego spokoju i nawet akcentowanej obojętności. Tłumią w sobie z najwyższym wysiłkiem poczucie głodu, nie chcą się zdradzić, że są głodni. Są jednak oficerami.

Ódpadko z hukiem otwarte przez strażnika okienko i jednocze-  
~~stawa~~  
~~stawa~~

~~stawa~~  
~~stawa~~  
~~stawa~~

śnie z odgłosem stawianej na nim miski padła komenda strażnika: "Poczętajcie abied!".

Podniósł się w tym momencie ktoś szybko spod ściany i dopadłszy ustawionej miski chwycił ją oburącz. Podniósł do ust, opróżniając jej zawartość zanim powrócił na swoje miejsce. Pozostali podnosili się ze swoich miejsc ociężale, i podchodząc do otwartego okienka zabierali wystawiane przez strażnika kolejne miski. Siedząc już w zgodnym szeregu pod ścianą "internowani" oficerowie w celi nr 38 spożywali więzienny "obiad".

W celi, gdy o przeżyciu do jutra decyduje każda kromka zjadanego czarnego chleba, konwenanse towarzyskie i tzw. bon ton przybierają innego, aniżeli w życiu normalnym, znaczenia i wymiaru. Maski i pozory idą precz, górę zaczyna brać instynkt samozachowawczy. Zanika gdzieś zwykłe poczucie taktu i ludzkiego wstydu. I trzeba elbrzymiego hartu woli i charakteru, aby uznawanemu tu prawu - "Ty padychaj siegodnia, a ja zawtra" - nie ulec.

Kpt. "Siła" opowiadał o pewnym incydencie, który miał miejsce we Włoszech, gdzie 70 tysięczna armia gen. Andersa przebywała na półrocznej rekonwalescencji po głodowym pobycie w ZSSR. Oficerowie czas wolny spędzali na grę w bridża. W pewnym momencie ktoś krzyknął, że gotujące się w tym czasie w kuchni jajka popękały. Oficerowie, porzucając grę, pobiegli szybko do kuchni, starając się aby nie być ostatniemu, któremu przypadną jajka te popękane, z "ubytkiem".

We Włoszech byli już dobrze odżywiani i zaopatrzeni. Mieli jednak utrwaloną w pamięci jeszcze świadomość przebytego niedawno głodu, która okazała się silniejsza od podstawowych zasad dobrego wychowania. Wychowania, którą tę właśnie grupę ludzi obowiązowała w sposób szczególny.

Powróceni jednak do celi nr 38. Normalny w więzieniu dzień. Pod ścianą skulone na podłodze postacie. Pograżeni w zadumie. Ogólne milczenie. Wolne, miarowe odliczane kroki spacerującego po celi. Z pod jednego wszyscy sztandaru, jedną związani ideologią i jednym tylko tym samym celem, a jednak każdy zamknięty w sobie i milczący. To - więzienie.

Mjr Franciszek Koprowski ps. "Konar" to postać barwna i ciekawa. Przewyższał nas wszystkich wiekiem, doświadczeniem życiowym, bogatą w wydarzenia różną autobiografią.

W latach trzydziestych należał do reprezentacyjnej ekipy jeździeckiej, która bogaciła Polskę w laury zwycięstw odniesionych na arenie międzynarodowej. Żołnierz Września. Przedostaje się konspiracyjnie do Anglii. Bierze udział w desncie pod Dunkierką. Znow w Anglii. W 1942 jako skoczek spadochronowy ląduje w okupowanej Polsce. W 1943 obejmuje dowództwo 6 brygady "Konara".

Latem tegoż roku, będąc służbowo w Wilnie, znalazł się niespodziewanie w strefie zorganizowanej przez gestapo ulicznej łapanki. Został aresztowany. W Komendzie Głównej Okr. AK konsternacja. Po kilku dniach pobytu w więzieniu przy ul. Ofiarnej "Konar" dokonuje brawurowej ucieczki, która pobudza środowisko akowskie do entuzjastycznej radości, ale i do zadumy. Uciekł z rąk Gestapo?!

Nie rozpoznany na pierwszym przesłuchaniu (udał półanalfabetę) trafił do celi roboczej. W ciepły, słoneczny dzień lipcowy wyprawiony został na podwórze do szczepiania drzewa. W pewnej odległości stał żołnierz niemiecki z automatem Epi w ręce.

"Konar" zabrał się wnet "ochoczo" do pracy. Słońce przypiekało. "Konar" pracował rzetelnie, stojący na straży żołnierz nie zdradzał objawów niepokoju. "Konar" wciąż pracował, ale kątem oka raz po raz obserwował zachowanie strażnika.

Praca drwala jest ciężka nawet dla tak wysportowanego człowieka jak "Konar". Na twarzy poczuł strugi spływającego potu. Otarł je rękawem koszuli. Znow zerknął na Niemca ukradkiem. Niemiec też człowiek. Deskwierający co raz bardziej upał odczuł na sobie widać także, ponieważ usiadł na najdalej oddalonym pniu drzewa.

Dobrze, "kotku", że usiadłeś - pomyślał w mig "Konar", też jesteś trochę znużony. Niemiec siedział, ale automat wciąż trzymał w pogotewiu.

"Konarowi" "chodził" po głowie w tej chwili nieprawdopodobny plan. Właściwie myślał o nim już od pierwszej chwili, gdy się zna-



laż tylko na podwórzu. Obecnie przyoblekał on tylko w realną postać. "Konar" spojrzął w stronę Niemca. Zauważył jak przymknął na chwilę powieki. Razi go słońce, czy może objaw znużenia - pomyślał "Konar" i zwałowej mu jakoś zaczęła śmigać w rękach siekiera.

Gdy Niemiec zamknął oczy po raz kolejny, plan akcji był już gotowy. Usłyszał przyspieszone bicie serca. Siekiera chodziła mu w rękach już odruchowo. Znowu spojrzął na Niemca. Oczy miał zamknięte.

Deskeczył go tygrysim skokiem. Uderzając go obuchem w głowę, powalił na ziemię, która z tą chwilą paliła mu się pod nogami. ~~Six kunkxxt~~ O jego życiu decydowały teraz sekundy. Z siekierą w ręce "Konar" rzucił się do ucieczki w stronę zamkniętej bramy wyjściowej strzeżonej przez stojącego na zewnątrz wartownika. Wyseka prawie na trzy metry brama była kolejną przed nim do sferśowania przeszkodą.

Już podczas biegu układał błyskawicznie plan czekającej go akcji. Nie wiedział tylko jak się ona otwiera i w jakim dokładnie miejscu stoi wartownik za nią wartownik.

Jeszcze tylko dwa kroki do bramy, łomot serca, a ta, ~~ktwixxtxxtxxt~~ otwiera się sama i ~~ktwixxtxxtxxt~~ widzę stojącego w jej przejściu wartownika z równie zapewne co ja zaszczerzonymi i wyrażającymi osłupienie oczami. Zanim jednak zdążył on cokolwiek pomyśleć otrzymał uderzenie w głowę. Droga ucieczki stała teraz otworem.

Wąska w tym miejscu ulica Ofiarna, wznosząca się po drugiej stronie poboczne Góry Bużałowej, a za nią już falisty i znany dobrze "Konarowi" teren i opiekuńczy las Zakretu. Wyspertowany Kawalerzysta, popędzany panicznym strachem spodziewanej lada chwila pegeni, pędził jak opętany, lecz świadomy, że w więzieniu ogłoszony został już alarm i wszczęto za nim pościg.

Otwarcie bramy było tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Wartujący przy niej żołnierz otwiera ją na dany z pewnej odległości sygnał przez zbliżający się więzienny samochód z więźniem lub aresztowanym. Bawiem wjeżdżający na podwórze bez zatrzymania samochód nie

stwarza aresztowanemu okazji do ucieczki.

Alarm wszczęty został natychmiast, lecz zorganizowanie niespodziewanego pościgu zajęło Niemcom kilku minut. Sportowcowi potrzebne są tylko 3 minuty na pokonanie kilometrowej drogi. Czas ten wystarczające długi, aby w zadrzewionym terenie, umożliwiającym użycie samochodu, zmylić skutecznie pościg.

Brawurowa "skompenowana" ucieczka z niemieckiego więzienia stała się osobistym sukcesem jej autora, o której przez kilka tygodni mówiło z dumą całe miasto. Cieszyło się z takiego obrotu sprawy również dowództwo Wil. Okr. AK, choć towarzyszące wydarzeniu temu okoliczności poddane być musiały rutynowemu zbadaniu przez Kontrwywiad AK. Sprawa była gzysta, a kroniki Wil. Okr. AK zanotowały jeszcze jeden chwalebny dla Armii Krajowej wyczyn.

Nadszedł chłodny, wileński listopad. Przez pozabawione szyb okno napływała do celi chłodne powietrze. ~~Okno, którego znaczenia nie docenialiśmy, będąc na wolności, tu stało się jedynym bezpośrednim łącznikiem z wolnym światem.~~ Okno, którego znaczenia nie docenialiśmy, będąc na wolności, tu stało się jedynym bezpośrednim łącznikiem z wolnym światem. ~~Przez to okno, przez które widać było świat, widać było świat, widać było świat.~~ Przez to okno, przez które widać było świat, widać było świat. ~~Te małe pod sufitem okienko było tym magicznym prostopokątem, w który wpatrywali się najczęściej mieszkańcy celi i każdy z nich widział w nim swój spuszczone dom, zawiedzione nadzieje i zapłakane, traskliwe oblicze matki, żony lub siostry.~~ Te małe pod sufitem okienko było tym magicznym prostopokątem, w który wpatrywali się najczęściej mieszkańcy celi i każdy z nich widział w nim swój spuszczone dom, zawiedzione nadzieje i zapłakane, traskliwe oblicze matki, żony lub siostry.

Czasami wyczulonych uszu dobiegał odgłos idących po chodniku kroków. Miarowe ich echo odmierzało czas śpieszącego gdzieś wolnego jeszcze człowieka. Ożywialiśmy się wtedy na moment jeden, a gdy ucichali - posąpnialiśmy jak ktoś, komu odebrano nagle to, co miał w życiu najdroższego.

Tylko więzienny strażnik, chodząc wzdłuż więziennego budynku jak zegarowe wahadło, odmierzał godziny swojej wartowniczej służby. Z dala dochodził przytłumiony gwar pulsującego życiem ekupacyjnego miasta.

Do snu układaliśmy się nocą zgodnie na jednym boku, przytuleni, przykrywając się swoim skromnym ubraniem. Zimna podłoga była posłaniem. Poduszką - trzewiki. Jak sjanscy bracia ogrzewaliśmy siebie wzajemnie własnym ciałem i oddechem. Zmiany pozycji dokonywaliśmy je-

dnocześnie, zakorzeniona w konspiracji dyscyplina wojskowa świadczyła i tu swoje cenne usługi. Sny nawiedzały jak dławiące widma. Były były nimi zastawione jadem wszelkim stoły, do których nie byłem w stanie się zbliżyć.

Głód był zmerą wszystkich. Częste były sceny, głodnych więźniów, którzy na przykuchennym śmietniku wygrzebywali resztki odpadów w postaci ziemiaczanych obierek i rybich głów, które potem gotowali i zjadali. Jednak skutki tych praktyk dla wielu kończyły się zgonem. Obraz wąsających się w obozie tzw. "dechadiag" nikogo nie dziwił i był wpisany w codzienny krajobraz łagrowego życia.

Odbiór porcji codziennej chleba był wydarzeniem dnia, pewnym rytuałem, chwilą przeżywaną radości, nieukrywanego szczęścia. Bowiem ta kromka czarnego chleba była główną i podstawową dawką energetyczną, podtrzymującą słabnący stopniowo organizm. W tym bezbożnym kraju chleb był tu czczony jak świętość nawet przez w ateizmie wychowanych obywateli sowieckich. Brano go do ręki ze czcią szczególną i namaszczeniem. Było pragnieniem największym każdego, aby "jego pajka" koniecznie była z "dowieską". "dowieska" to dodatkowy kawałek chleba dopięty do porcji przy pomocy zapalki. Było to wizualnym dowodem, że tym razem waga jest pełna.

Chleb więzienny to temat nie wyczerpany. Raz był suchy jak trociny, innym razem przypominał gumę gliny, której na wolności żaden człowiek nie wzięby w usta, a tu zjadał łapczywie, czując się jeszcze do tego szczęśliwy. Pozostałe "potrawy" miały znaczenie jedynie uzupełniającego dodatku w postaci rozgotowanej na rybie rzepy bydłowej "turnepsu" lub kaszy. Gdy wydzielone już produkty ułatwiały się gdzieś po drodze, powstałe braki uzupełniano wodą, aby pojemność się zgadzała.

Że bieda jest matką wynalazków - prawda to oczywista. Dokuczliwy głód szukał nieustannie sposobów jego zaspokojenia. Przynajmniej częściowo. Jedyłą możliwością okazał się sposób jego spożywania.

Tych sposobów było kilka. Pierwszy z nich polegał na tym, że całą porcję dzienną zjadano rano na śniadanie. Korzyść z tego była rzekomo podwójna: miało się chwilowe poczucie zapełnienia żołądka, będąc stuprocentowo pewnym, że go już nikt nie ukradnie.

Ludzie bardziej myślący, na wyższym intelektualnie poziomie i z wyobraźnią, która w warunkach obozowych pracuje na parametrach maksymalnego wyczerania, wciąż poszukują rozwiązań najkorzystniejszych. Otrzymaną "pajkę" dzielą na 3 części równe, zjadając je rano, na obiad i wieczorem. Świadomością, że chleb mają przez cały dzień, umacniają siebie psychicznie. Przeżywają jednak obawę, aby nie padł on łupem kradzierzy.

Inni jeszcze doświadczyli przekonania, że uczucie głodu zmniejsza się znacznie przez wyłączenie samego procesu jedzenia. Spożywając go małymi kawałeczkami, najpierw długo trzymali go nieruchomo w ustach, a gdy zmieniał się w substancję płynną - połykali, dylektując się jak przy zjadaniu najznakomitszego smakołyku. Przekonywali też innych, że "dłużej" jedząc, człowiek "więcej" spożywa.

Nastrój w celi nr 38 stawał się z każdym dniem coraz to bardziej ponury i ciężki do zniesienia. Upływając przeważnie w milczeniu, przytłaczał i denerwował. Zaczynało brakować nam zwykłej ludzkiej-cierpliwości. Patrząc na swoje szare, kwazę wychudzone twarze oraz smutne spojrzenia, uświadamialiśmy sobie gdzie jesteśmy.

Choć jedna łączyła nas wszystkich sprawa- myślami każdy z nas był gdzie indziej: we własnym domu, przy najbliższych, rodzinie, z przyjaciółmi. Kiedyś było to treścią naszego codziennego życia, w celi więziennej przybrała formę nieosiągalnych marzeń.

Ucieczką od tych rozstrajających psychikę nastrojów stały się w tym czasie ~~my~~ relacje kpt. "Fortuny" o przebiegu twerzenia polskiej armii gen. W. Andersa w Związku Sowieckim. Jako bezpośredni uczestnik tego historycznego już dziś wydarzenia znał problem ten w szczególach, był <sup>bawien</sup> jedynym z tych, ~~który~~ <sup>który</sup> do armii tej wstąpił, dzieląc z nią wspólne losy.

Skracając czas więziennych rozmyślań, wzbogacaliśmy siebie ważnymi historycznie i z pierwszej ręki otrzymanyymi informacjami.

Tworzenie polskiej armii poprzedziło zawarcie polsko-sowieckiej umowy wojskowej 14 sierpnia 1941 roku. Miejsce postoju Sztabu Armii ustalone w Buzukuku, organizację 5-tej armii dywizji w Datiszczowie oraz 6-tej dywizji w Toskoje. Na czele armii gen. Wł. Sikorski przewidywał gen. Stanisława Hallera znajdujące się w jednym z obozów na terenie Związku Sowieckiego.

Niestety, pomimo usilnych starań nie udało się ustalić miejsca jego pobytu, a może i śmierci. Wobec tego na dowódcę wyznaczony został przebywający w tym czasie w więzieniu na Łubiance gen. Władysław Anders.

Gen. Stanisław Haller był postacią historyczną, owiany zasłużoną w bojach legendą bohatera narodowego. Internowany do Rosji we wrześniu 1939 roku zaginął bez śladu jak miliony innych. Jest rzeczą haniebną, że pamięć narodu o najwspanialszych swych Synach jest jak w tym przypadku krótka i niewdzięczna.

Słuchając wtedy relacji kpt. "Siły", nie uważaliśmy siebie za bohaterów. Byliśmy tylko żołnierzami II RP! I ten fakt tylko sytuację naszą upodabniał do wspomnianej wyżej sytuacji gen. St. Hallera. Również mogliśmy "zaginąć" jak ci przed nami.

Pełnomocnikiem rządu sowieckiego do spraw polskich mianowany został przez Stalina gen. Żukow (nie ten późniejszy marszałek). Armia polska miała stanowić część sił zbrojnych suwerennej II RP, dowiedziona przez polskich oficerów i uczestniczyć w walkach po stronie Aliantów. Po zakończeniu wojny miała powrócić do kraju. Tak głośno zawarta polsko-sowiecka umowa wojskowa.

Na szefa sztabu gen. W. Anders powołał gen. Leopolda Okulickiego. Wkrótce zaczęli przybywać pierwsi ochotnicy z więzień oraz z odległych obozów przymusowej pracy. Przyjeżdżali koleją, niekiedy z odległości 100 i więcej kilometrów szli pieszo. Wynędziali i osłabieni fizycznie. Często powątpiewający do ostatniej chwili,

że idą do polskiej armii. W zniszczonym ubraniu, w podartych butach, niekiedy z obtartymi i owiniętymi szmatami nogami. Mieli jednak w sobie żołnierskiego ducha. Zaciągając się do polskiej armii, uciekali od nędzy, wierząc jednocześnie gorąco, że szli do Polski, której chcieli służyć.

Sytuacja z oficerami stawała się alarmująca. z wywiezionych do Rosji kilkunastu tysięcy zgłosiło się tylko ok. 1000 z więzieni oraz z obozu w Briażowcu. W więzieniach znaleźli się ci, którzy przechodzili ostatnią "weryfikację" przydatności, a mord w Katyniu zastał ich w "dredze". W tym 600 oficerów to byli starsi rezerwiści, wywiezieni z obozów internowanych na Litwie.

Z 200 tysięcy wywiezionych 1939 roku polskich żołnierzy do punktów zbierczych dotarło tylko ok. 70 tysięcy wyniszczonych fizycznie nędzarzy. Treską naczelną polskiego dowództwa nowego było doprowadzenie ich do możliwej względnie kondycji, podnieść morale i po tych dopiero zabiegach przystąpić do pracy, aby uczynić z nich sprawnych do walki żołnierzy.

Władze sowieckie zachowywały się dziwnie. Pomimo obowiązującej umowy czyniły wszystko, aby realizowaną już rekrutację do armii utrudnić maksymalnie, czyniąc ją jak najmniej skuteczną. Przyczyną takiej postawy Sowietów poznamy już wkrótce po wyjściu polskiej armii z Rosji do Bahmann Iranu.

Pojawiła się wtedy postać ppłk. Zygmunta Berlinga, który przebrnąwszy pomysłnie weryfikację NKWD w okresie Katyńskim został zwolniony z więzienia, zgłaszając się też do powstającej polskiej armii. Gen.W.Anders mianował go nawet szefem sztabu.

Jednak ppłk Z.Berling, wraz z gronem kilku swoich przyjaciół, zaczął przejawiać aktywność w pozyskaniu zwolenników bliskiej współpracy z Sowietami. W międzyczasie stwierdzono, że z kilkoma innymi zabiegał już o wstąpienie do Armii Czerwonej nawet w stopniu szeregowego krasnoarmiejca. Tak szczerą chciął przez to wyrazić wolę walki z wrogiem i to pod czerwonym sztandarem ZSSR.

W lipcu 1942 gen. W.Anders, na wniosek gen. Boruty Spiechowicza, zdjął ppłk. Z.Bernga z zajmowanej <sup>funkcji</sup> ~~stanowiska~~, przenosząc go na stanowisko dowódcy bazy w Krasnowodzku, skąd miesiąc później zdezerterował, wykradając powierzone mu wojskowe dokumenty i papiery.

W roku 1944 Stali mianował ppłk.Z.Berlinga na generała. W ten sposób wysuwane wcześniej pod jego adresem podejrzenia o bliski kontakt i współpracę z KGB znalazły pełne potwierdzenie.

Armia polska rosła stopniowo liczebnie, a 11 listopada odbyło się pierwsze nabożeństwo celebrowane przez Biskupa Polowego Sawlińską. Jednak warunki bytowe polskiej armii były ciężkie. Przydzielane przez Sowietów porcje żywnościowe zapewniały jedynie roślinność. Nie zapewniono również warunków szkoleniowych. Nie przeszkadzało to jednak, Stalinowi nalegać, aby obie polskie jednostki wojskowe skierować już na front.

Gen.Anders widział w tym złą wolę Stalina oraz jako chęć wysłania nie przygotowanej jeszcze do walki polskiej armii na niechylną zagładę. Sprzeciwił się temu zdecydowanie. Prowadzone na ten temat przez gen.W.Sikerskiego pertraktacje ze Stalinem nie wniosły niczego nowego. ~~Wpadał na umysł~~ Zapadła decyzja wyprowadzenia polskiej armii do Iranu.

Nastąpiło to w lipcu 1942 roku. O stanie kondycji polskiej armii świadczy fakt, iż w przeciągu kilku zaledwie tygodni po przybyciu do Iranu zmarło ok. 1000 Polaków. Cmentarz w Teheranie był kresem Ich drogi do Polski, o którą walczyli. Byli również wśród nich: adiutant gen.W.Andersa por. Kozakiewicz oraz legendarna już dziś polska aktorka Hanka Ordonówna.

Kolejnym etapem marszu polskiej armii był Irak. Dała się tu mocno we znaki zapoczątkowana w Rosji jeszcze malaria. Walka z szerzącą się epidemią była trudna i wymagała czasu.

15 kwietnia 1943 roku rozgłoszenie niemieckie ogłosiły światu odkrycie grobów Katyńskich pod Kozimi Górami koło Katynia. Zaledwie w dwa dni później komunikat sowiecki oskarżył o te mord na Polakach Niemców, a 25 kwietnia Rząd Polski o współudział z Niemcami

ni w kampanii antysowieckiej.

Wkrótce po opuszczeniu Rosji przez polską armię Berling przystąpił do tworzenia nowej "polwkiej" armii już z inicjatywy i na modłę sowiecką oraz przyszły użytek komunistów polskich. Stały się zrozumiałe stawiane przedtem gen. W. Andersowi przeszkody.

Armia Berlinga to kolejny krok na drodze stalinowskiego zniewolenia Polski przy współudziale polskich komunistów. Wykorzystując straszliwą sytuację znajdujących się w obozach sowieckich polskich, internowanych w 1939 roku żołnierzy, Moskwa, posługując się kilkoma z Berlingiem na czele polskimi zdrajcami, przygotowywała militarny przyczółek innemu polskiemu komuniście, zdrajcy i szpiegowi w jednej osobie Bierutowi do zawładnięcia sterem Polski.

Ta więzienna prelekcja kpt. "Siły" dała nam bardzo wiele, odkrywając nie znane nam wtedy jeszcze hekatonby polskich cierpień, trudów, wyrzeczeń i upokorzeń, które w niedalekim czasie stały się również i naszym udziałem. Jak wiszące nad grecką starożytną tragedią złowieszcze fatum - ciążył i nadal na losach polskich współczesny knut cara i wciąż te same syberyjskie ~~kibitki~~ bardziej tylko pojemne kibitki.

Odgłos prowadzonej przez strażnika wieczornej "uberki" był sygnałem, że jeszcze jeden dzień pobytu w więzieniu zbliża się ku końcowi. Wizję brnącej po śniegu kolumny bosych żebraków zastąpił obraz popędzanych przez strażnika niesących do ubikacji "paraszę" niewolników. Siedzieliśmy wszyscy jeszcze czas jakiś na swoich miejscach jak przywiązani do jednej podłogi, choć myślami każdy był już gdzie indziej...

Na korytarzupnna wzmagał się ruch kursujących między celą i ubikacją. Czekaliśmy swej kolejki, by dokonując rzeczy niezbędnych przy okazji zaczerpnąć trochę świeżego powietrza i rozprostować zeszywniałe już z braku ruchu kości. Była to też okazja, aby pozostawić po sobie ukryty gdzieś na ścianie w kącie napis, znak obecności i życia, który okazać się może cenną informacją dla najbliż-



szego czasem przyjaciela lub współtowarzysza jednej sprawy. Napisy pozostawiano różne: "Halny" - nie znam, co oznaczało - nie przyznaję się do znajomości. Albo: "Lech"-20 ktr, znaczyło - otrzymałem wyrok 20 lat katorgi. Inny znów: "Jerzy"-15.09.44, co oznaczało - "Jerzy" aresztowany, data.

Strażnicy napisy te ścierali, nie zapobiegano jednak przekazywaniu informacji. Szukano bowiem miejsc ukrytych, a badający w ubikacji "zaglądali" dosłownie wszędzie. Bywało, że przekazywano tą drogą nawet grypsy. Był to już wyczyn nielada.

Do tematu katyńskiego wróciliśmy chyba po tygodniu upływie tygodnia czasu. Intrygowała nas bowiem informacja, że z grona ok. 22 tysięcy internowanych oficerów i wyższych urzędników ok. 400 uratowało się od niechybnej śmierci. Jak to się stało, że nie zgładzone wszystkich? Co zdecydowało, że KGB niektórych pozostawiło przy życiu?

Były to pytania, które zadawaliśmy sobie wszyscy. Dociekaliśmy źródła zagadkowej i zbrodniczej operacji. Jednak zagadką było to w roku 1941, gdy w tworzonych przez gen. W. Andersa armii oczekiwano wciąż na polskich oficerów, którzy dlaczego to nie przybywali, a wszystkie czynione zabiegi poszukiwawcze okazywały się bezowocnymi. Posiadane informacje o szczepieniach ochronnych, którym poddano na wiosnę 1941 roku wszystkich internowanych, kazały przypuszczać, że był to zabieg przed nie znanym bliżej etapem dłuższym etapem. Dziś, gdy zbrodnia katyńska stała się faktem ujawnionym, przestała być zagadką, a wszystkie dokonywane wtedy przez KGB "zabiegi" przeróżne "zabiegi" nabrały innego, prawdziwego już znaczenia.

We wszystkich trzech obozach: w Kozielsku, Starobielsku i Gria-zowcu, w których przetrzymywano naszych oficerów, prowadzone były dokładne przesłuchania wszystkich bez wyjątku internowanych. W Kozielsku na przykład badania przeprowadził wyznaczony w tym celu specjalnie oficer KGB w stopniu pułkownika. Miał też wydzielony do tego swój pokój. Prowadzone przez siebie przesłuchania trak-

tował jako "pojedyncze, prywatne i poufne" rozmowy. Był nadzwyczaj uprzejmy, grzeczny, dobrze ułożony, kurtuazyjny. Częstował luksusowymi papierosami, zachowując wersalskie niemal maniery bycia.

Tylko w "zaufaniu" wyjątkowym zwierzał się, że był oficerem ~~ma-  
niana~~ z carskiej armii i dlatego rozumie bardzo dobrze aktualną Po-  
laków sytuację. Dawał dyskretnie do zrozumienia, że gotów jest ~~nie  
nie~~ <sup>poić</sup> na rękę, udzielając ewentualnej pomocy. Żywiącą do Polaków sympa-  
tją nie narzucał się, lecz wyrażał ją w sposób tak naturalny i jak-  
by tylko "okazyjnie", że zyskał wkrótce u wszystkich "badanych" o-  
pinię "przyjaciela" Polaków.

czynił to jednak w sposób taktowny i  
Starzał się i zabiegał o taką właśnie opinię <sup>na</sup> należy przyznać  
jednak, że nie było to zadanie trudne. Bowiem na tle pozostałych o-  
cerów KGB nadzorujących życie w obozach, którzy z natury swojej prze-  
jawiali wszystkie, właściwe dla tej kategorii ludzicechy dzikiego  
Wschodu, "carski" pułkownik sprawiał wrażenie człowieka z innego zu-  
pełnie świata i odrębnej epoki.

W długich i "familijnych" niemal pogawędkach z naszymi oficerami  
cerami dystyngowany pułkownik, z właściwym sobie taktem wypytywał  
właściwie o wszystko: gdzie się kto urodził, jaką ukończył szkołę,  
kim byli rodzice, ich stan majątkowy, do jakich należał organiza-  
cji, czy jest wierzący, jak ocenia ustrój dawnej Polski, swoich po-  
średnich i bezpośrednich dowódców. Ożywiał się, przejawiając szcze-  
gólną troskę, gdy wypytywał o stan rodzinny, kogo z najbliższych zo-  
stawił w domu, no i oczywiście-czy chce wrócić do domu.

Już na zakończenie tej prowadzonej w tak przyjemnej atmosferze  
rozmowy stawiał pytanie jakby najmniej ważne i istotne: jaki jest  
stosunek do socjalizmu oraz się zapatruje na ewentualną przyszłą  
współpracę Polski ze Związkiem Radzieckim.

Każdy z badanych odpowiadał na to zwykle na pozór życiowe py-  
tania szczerze i bez właściwej Polakom podejrzliwości. Czynie to

tym łatwiej, że pytającym był "sympatyczny" i "przychylnie" do Polaków ustosunkowany pułkownik. Była to jednak najprostrza i najczęściej stosowana przez KGB pułapka. Pozornym gestem, obłudną maską i z wyraźnym podstępem starano się pozyskać przychylność ludzi i zmniejszając czujność, uczynić ich bardziej otwartymi.

Polscy oficerowie nie byli ludźmi naiwnymi, których łatwo było nabrać i byle czym oszukać. Przyjmując znane powiedzenie: "tenący chwytta się nawet brzytwy" za fakt oczywisty - mieli ludzkie prawo, aby powątpiewaną nawet "przychylność" pułkownika traktować jako jedyną w tej tragicznej sytuacji nadzieję. Mieli takie prawo i tak ją, sądząc, oceniali.

Lecz podając się za carskiego arystokratę stalinowski siepacz, prowadząc powyższe rozmowy, segregował wstępnie badanych według dwóch tylko kryteriów:

pierwszy - stanowi zagrożenie dla Związku Radzieckiego, nie rokuje nadziei, pozostawić w obozie.

drugi - żywi nadzieję, może okazać się przydatny Związkowi Radzieckiemu, wysłać do Moskwy na dodatkowe badania.

Przez tak właśnie zastawione podstępnie sidła, będące pierwszą, wstępną selekcją, przefiltrowano wszystkich znajdujących się wtedy w trzech wymienionych już obozach jenieckich polskich oficerów.

Napracował się przy tym carski pułkownik solidnie. Na rachunek KGB wyczęstował kilkadziesiąt tysięcy luksusowych na warunki sowieckie papierosów. Stalinowski bandyta wiedział dobrze już wtedy czemu służy dokonywana przez niego selekcja i jaki los czeka tych, których on zaliczy do grupy pierwszej, określonych krótkim tylko zdaniem: "Stanowi zagrożenie dla Związku Radzieckiego"!

Z serdecznym uśmiechem na twarzy, i stawiając pytanie: "Czy chcecie wrócić do domu?" - wydawał jednoosobowe wiążące wstępnie wyroki śmierci. I czynił to z przewrotną premedytacją i diabelską świadomością przygotowywanego z zimną krwią mordu stulecia!

Nie jeden zadaje dziś frapujące wszystkich pytanie:

Czy ci szczerzy przez swą chrześcijańską uczciwość, twardzi i nieugięci w patriotyzmie polscy oficerowie, znając jego zbrodnicze zamiary - rozmawialiby z nim inaczej, kłamiąc i zapierając się swoich poglądów i korzeni??!!

Przeszedłem wiele przesłuchań podobnych i stokrąg gorszych i przyznam szczerze, że nie potrafię zdefiniować siebie w roli tych w Katyniu. Uratowałem się z pociągu katyńskiego 2-go października 1939 roku dlatego tylko, że żądanie NKWD sporządzenie wykazu oficerów wzbudziło we mnie podejrzenie, w którego rezultacie znalazłem się w pociągu z żołnierzami.

Jak przyjęli żądanie to inni oficerowie - nie wiem. Oni tylko mogliby odpowiedzieć na to pytanie, ale już nie odpowiedzą. I w tym również zawarty jest tragizm tego wydarzenia. Dziś przekazuje te wydarzenia historia i ci jeszcze, nieliczni, którzy piekło katyńskie uniknęli cudem.

Uratowało się ok. 400 oficerów. Tylko 400. Wśród nich także ppłk Zygmunt Berling, późniejszy dezerterski generał i nagrodzony wnet za to awansem na generała przez samego Stalina. Zaszczyt to jak dla Polaka szczególny. Jednak w oczach i ocenie największego ludobójcy wszechczasów solidnie musiał na to zasłużyć. Jest to niezrozumiałe dla przeciętnego Polaka tym bardziej, że Berling oglądał straszliwą gehennę losu deportowanych deportowanych w głąb Rosji polskich żołnierzy własnymi oczyma. To jednak szala z 40-tona srebrnikami haniebnej wszak sławy mołojceckiej przeżyła.

W cztery zaledwie lata później po tragedii katyńskiej oficerowie Wileńskiego Okręgu Armii Krajowej głównie w więzieniu wileńskim przy ulicy Ofiarnej-Mickiewicza, w obozie w Riazaniu, a żołnierze w obozie w Kałudze przechodzili jak Tamci w 1939-1940 są lekcję i weryfikację. ~~Winnonnanznkanyńknnnsknńknnn~~ I choć tym razem czas naglił z innego względu, "ucieczka ofiar do Chin" nie wchodzi-

ła w rachubę - to jednak los wielu był powtórką katyńskiego.

W zmienionych warunkach musiano też odmienną zastosować scenę. Zamiast jednego bezimiennego "carskiego" pułkownika zaprzęgnięto do pracy całą kohortę doświadczonych w tym samym zawedzie politruków.

Ofiary miały tym razem już swoje wojskowe i ideowe życiorysy oraz były częściowo zdekonspirowane. Ocena była łatwa i jedna: "zdrajcy narodu i ojczyzny" to znaczy Związku Radzieckiego.

Prawda historyczna nie toleruje przemilczeń i niedomówień. Z gnu 15,500 tysięcy żołnierzy Wil. Okr. AK dwie postacie zaliczone zostały do grupy drugiej dokonanej przez KGB weryfikacji. Jedna z nich związana <sup>była z</sup> wkrótce z ruchem społecznym, druga z wykładami w akademii wojskowej. Nie tu jednak miejsce oceny tych postaw.

Mijały kolejne dni pełne ciężkich przeżyć i psychicznego napięcia. Dni dekuczliwego zniecierpliwienia i tajnego na dnie serca żalu do świata i ludzi, że walcząc o lepsze Jutro dla wszystkich, zostaliśmy jakby zapomniani i nikomu nie potrzebni pozostawieni na pastwę dzikiego barbarzyńcy.

Życie siedmiu ludzi, świat cały ich myśli, lata heroicznej walki, dalekosiężnych planów i młodej wyobraźni zamknięte nagle w czterech ścianach ciasnej celi obcego, sowieckiego więzienia. Obcego - na własnej, ojczystej ziemi!

Zastanawiałem się często nad tym jak długo organizm normalnego człowieka zdolny jest bez trwałego na zdrowiu fizycznym i psychicznym uszczerbku to wytrzymać? Potrzebna była jakaś balsamiczna odtrutka, która by narastającą wciąż depresję powstrzymywała, nie pozwalając jej zaowocować zgubną dla samopoczucia ogólnego rezygnacją. Rezygnacją, która opanowując świadomość, paraliżuje siłę woli i chęć wszelką na przetrwanie, staczając jednocześnie człowieka po pochyłej, skąd już tylko krok jeden do utraty ludzkiego oblicza.

Nawiedzały niekiedy stany, w których człowiek chcąc wstać, czuł iż ma spętane nienocą nogi. Chcąc wypowiedzieć słowo, miał w

ustach wciśnięty przemocą knebel. Nocą - zamiast krzepiącego odrobiny snu - wyniszczające organizm przesłuchanie. W dzień - jeżeli w pozycji skulonej na podłodze - to tylko z otwartymi oczyma. Gdy zabierano cię z celi to nie wiedziałeś nigdy do kogo i po co tym razem prowadzą, o co będą cię pytać i czym się ta dzisiejsza wizyta zakończy. A kończyć się mogła różnie: poczęstowaniem Kazbeka, groźbą aresztowania osoby najbliższej albo - wrzuceniem pobitego do nieprzytomności do celi.

Musimy - powiedział ktoś pewnego dnia w celi - podjąć próbę ucieczki. Przytaknęli wszyscy jak na komendę. Jednocześnie też wybrano na dowódcę mjr. "Konara", doświadczonego już ucieczką z tegoż więzienia w czasie okupacji niemieckiej. Zgodnym kołem zasiadliśmy wszyscy do opracowania planu ucieczki. Oparliśmy go o rezeź panujących w więzieniu warunków oraz obserwacji zachowań dyżurujących tu na zmianach strażników.

Dwie główne stały na drodze do wolności przeszkody: strażnicy na korytarzu oraz pilnujący na zewnątrz obiektu wartownicy. Dwie również były drogi ucieczki: pierwsza - po wyłamaniu kraty przez okno, druga - po unieszkodliwieniu strażników wewnątrz przez podwórze więzienne. W obu wariantach należało brać jeszcze pod uwagę wartowników strzegących obiekt więzienia na zewnątrz.

Wariant pierwszy wymagał od wykonawców znacznej cierpliwości, rozwagi i sprytu. Drugi był gangstersko-siłowym, wymagał przede wszystkim dużej odwagi, błyskawicznego i sprawnego działania i gotowości do akcji nawet ekstermalnych.

Wariant "przez okno" potrzebował okresu przygotowawczego na wykruszenie betonu wokół pręta kraty okiennej. Pracę tę podjęliśmy natychmiast, po podjęciu decyzji ucieczki. Wykonywano ją wyłącznie w nocy, korzystając z braku oświetlenia, którego po ostatnich bombardowaniach Wilna nie naprawiono dotąd. Beton kruszono znalezionym

szczęśliwie w umywalni-ubikacji gwoździem. Kończąc każdorazowo pracę przy oknie, wydrążony otwór zasypywano powstałym kruszywem. Pozbawiony miedzy innymi betonu pręt należało już tylko odgiąć i droga wyjścia z celi była przygotowana. Wybór odpowiedniej chwili do rozpoczęcia akcji decydował o jej powodzeniu. Bowiem budynek więzienny strzeżony był z tej strony przez strażnika na odcinku około 50 metrów. Powodzeniu ucieczki sprzyjała ciemna noc oraz moment, gdy wartownik znajdował się na rogu tego budynku, przy zbiegu ulicy Ofiarnej z ulicą A. Mickiewicza.

Trochę zwykłej odwagi, odrobinę do tego sprytu i szczęścia oraz rączce nogi były warunkiem powodzenia i spełnienia śnionego od wielu już tygodni marzenia.

Nie było to jednak przedsięwzięcie tak proste i łatwe do wykonania jakby się na pozór mogło zdawać. W tym najskroś totalitarnym systemie, w którym każdy wolny nawet człowiek znajduje się pod stałą i ścisłą kontrolą, ucieczka z więzienia jest wyczynem niezwykłym, a winni "niedopilnowania" odpowiadają za to swoją głową. Bowiem to oni, źli wykonawcy zawiedli, a nie system sowiecki, który jest doskonały.

Wariant drugi był przedsięwzięciem skomplikowanym, wymagającym dużej sprawności fizycznej, wręcz niebezpiecznym. Bowiem w przeciwieństwie do pierwszego tu wolność zdobyć można było tylko przez walkę ze strażnikami. W grę wchodziła tylko jedna zmiana, na której z "Wąsalem" służbę pełniła jedyna kobieta, którą nazwaliśmy "Żydówką".

Pracę i sposób zachowywania się strażników na zmianie obserwowaliśmy już od dawna. Z chwilą podjęcia decyzji o ucieczce śledzenie ich stało się naszym obowiązkiem. Stwierdziliśmy ponad wszelką wątpliwość, że w czasie porannej i wieczornej "uberki" ustawienie strażników było zawsze to samo: otwierający celę zostawał przy niej, aż więźniowie, wychodząc z "paraszą", spełnią w umywalni-ubikacji należną powinność i powrócą do celi, którą strażnik natychmiast zamyka, drugi, przez ten czas stoi u wylotu zamkniętego korytarza stalową korytarza z pękiem kluczy w ręce. Na nas interesującej zmianie strażnikiem tym była "Żydówka".

Opracowany w szczegółach plan akcji wyglądał następująco: Jest ózas wieczornej "uborki". "Wąsal" otwiera naszą celę. Wychodzący z celi "Siła", "Brankart" i "Konar" wciągają byskawicznie do celi "Wąsala" i obezwładniają go. Równocześnie "Jerzy" (jako najszybszy) dobiega do kraty (ok. 10-12 m.) i wspomagany przez "Zabija" kneblują stojącą tam "Żydówkę", wciągając ją również do celi. "Sław" ~~brakuje~~ i "Podsędek" spełniają rolę pomocników przy obezwładnianiu obojga strażników w celi.

Zakładając, że przebieg pierwszej części akcji przebiega bez zakłóceń i alarmu - "Podsędek" otwiera kilka sąsiednich na z naszą cel. Otwarcie wszystkich pozostałych cel pozostawiamy w gestii więźniów już zwolnionych.

zachowując absolutny  
Przez otwartą kratę, ~~wyglądającą jak zwykła~~ spokój i ciszę, wydostajemy się wszyscy na więzienne podwórze. Od strony zachodniej mamy wysoki płot i strzeżoną na zewnątrz przez wartownika bramę wjazdową. Od południa zamyka drogę takiż płot tylko nie strzeżony. On jest naszą ostatnią do sforsowania przeszkodą. Już za nim każdy udaje się własną samodzielną drogą. Punktu zbornego, kontaktowego nie ustalamy. Ryzyko zbyt wielkie.

Podział ról i zadań został dokonany. Każdy z nas musiał się do tego przygotować psychicznie i fizycznie. Ta druga strona wymagała wzmocnienia siebie fizycznie poprzez codzienną gimnastykę. Duch walki i oporu zawsze działał budująco na usposobienie i wolę realizacji postawionego przed sobą celu. Lżej znosiliśmy odtąd dolegliwości codziennego reżymu i więziennego życia. Szybciej jakby upływał czas. W ogólnie odczuwanej szarudze i beznadziei pojawiły się nagle nowe, jaśniejsze w odczuciach horyzenty. Decyzja podjęcia próby ucieczki była zrozumiałą reakcją na akt doznanej przemocy.

Tuż pod sufitem, w prześwicie małego okna ukazały się nogi chodzącego wzdłuż budynku wartownika. Zakołysały się szare poły postrzępionej szyneli. Uciekły nagle spłoszone tym widokiem snute przed chwilą marzenia. Powróciła gorzka jak piełun rzeczywistość.



Znów byłem w celi sowieckiego więzienia.

Praca przy kruszeniu betonu posuwała się wolno i z trudem. Choć wykonywane ją pod osłoną nocy, to jednak strażnicy czuwali, zaglądając nawet do ciemnej celi. Należało uważać, bowiem ryzyko było wielkie. W rozgardiaszu narastających z każdym dniem emocji pogubiliśmy rachubę dni. Żyliśmy już wyłącznie godziną X, która miała być godziną naszej wolności. Były to oczywiście tylko marzenia, ale w więzieniu one jedynie są dostępne i realne.

Dzisiejszy "padem", który dotąd budził nas jak z ciężkiego letargu, wydał się jakby trochę łagodniejszy. Małas otwieranych cel i mytych w ubikacji "paraszy" rozchodził się echem po korytarzu, zbliżając się szybko do naszej celi.

Siedząc jak zwykle skuleni pod ścianą, oczekiwaliśmy zgrzytu otwieranych drzwi i krótkiej, szorstkiej komendy strażnika: "Wynasi pana paraszu"! Podrywaliśmy się wówczas szybko z podłogi, by z kubłem obfiteści więziennej pójść do umywalni-ubikacji, spełniając swą codzienną, rygiorem regulaminu przewidzianą powinność.

Rozległ się już zgrzyt otwieranej celi pobliskiej, lecz zamiast kraków wychodzących z niej pośpiesznie ludzi - nastąpiła niezrozumiała cisza. Wkrótce echo kraków wchodzącego do celi strażnika, który wybiegł z niej już pośpiesznie <sup>nie zamykając celi</sup> ~~by~~ <sup>nie zamykając celi</sup> korytarzem do wyjścia.

Stało się coś niezwykłego! - krzyknęliśmy wszyscy niemal ~~razem~~ <sup>jednocześnie</sup>. Już po upływie kilku minut do otwartej celi biegło czterech-pięciu ludzi. Wbiegli wszyscy do celi. Krótka wymiana pojedynczych słów. Wyszli z celi, i udając się na koniec korytarzu rozpoczęli kontrolę cel: wchodzili wszyscy do środka, jeden z nich podchodził do okna i wychodzili.

Zaczynaliśmy się domyślać. Wszystko zaczęło się od chwili, gdy strażnik stwierdził pustą celę... Uciekli?... Teraz sprawdzają obecność wszystkich?...

Zaczekajmy. Już są obok. Za chwilę otwierają się z łoskotem drzwi i cała czereda czekistów ze złotymi pagonami wbiega niemal

do naszej celi. Strażnik pozostał przy drzwiach. Jeden z oficerów podszedł do okna, wspiął się i uchwyciwszy rękami za kratę, szarpnął nią. Stała nieruchomo. Spojrzenia czterech zbirów świdrowały nas wszystkich po kolei. Bez jednego słowa opuścili celę. Za chwilę byli już w następnej.

Roześmianymi oczyma spojrzeliśmy na siebie. Nie mieliśmy już żadnych wątpliwości: tej nocy z sąsiedniej celi dokonano udanej ucieczki przez okno. Dlatego po jej stwierdzeniu sprawdzali stan krat we wszystkich celach. Pręt naszej kraty nie był jeszcze luzny, a wyłobiony już otwór był zamaskowany. Przestępstwa nie stwierdzono, ale dalszą pracę przy kracie musieliśmy przerwać, bowiem odtąd wszystkie kraty sprawdzane były przez strażnika codziennie. Wariant pierwszy planowanej przez nas ucieczki stał się nieaktualny.

Nie znanymi nam imiennie uciekinierami byli czterej akowcy. Okno ich celi wychodziło nienaprawdę w stronę podwórza więziennego, mieli więc ułatwione zadanie po wyjściu z celi: ta strona budynku nie była strzeżona przez wartownika.

Pracę przy kracie też prowadzili w nocy. Gdy ją zakończyli - czekali tylko ciemnej i mglistej nocy. Najlepiej deszczowej. Jednak zwykły los zrzucił inaczej. Późnym wieczorem, gdy czwórka akowców ułożyła się już do snu, strażnik wpuszczał do celi nie znanego im przybysza. Udali, że śpią. Przybysz był najwyraźniej znużony, ponieważ ułożył się tuż przy drzwiach na podłodze i natychmiast zasnął.

Zbyt długo akowcy przygotowywali się do tej ucieczki, aby teraz wtajemniczać w to nieznanego zupełnie człowieka, stawiając całą akcję pod wielkim znakiem zapytania. Decyzję podjęli jednogłośnie: Uciekamy teraz!

Wygięcie pręta poszło szybko. Powstały otwór w kracie był dostatecznie szeroki, aby się przez niego przecisnąć bokiem. W największej ciszy opuścili wszyscy celę po kolei. Graniczący z sąsiednią parcelą wysoki, ale nie strzeżony parkan sforsowali z łatwością. W

W dalszą drogę udali się zapewne już pojedynczo, ponieważ naka-  
zywała tak elementarna ostrożność, konspiracyjna wiedza i akowskie  
doświadczenie.

Wykonujący poranną "uborkę" strażnik, ujrzawszy po otwarciu ce-  
li jednego tylko zamiast pięciu więźniów - mógł z wrażenia nie ty-  
lko się przerazić, ale i posiwieć. To on właśnie jeszcze tej nocy  
wpuścił nowoprzybyłego i za ich pięciu odpowiadał swoją głową.

Zrozumiałby więc ten pierwszy doznany przez niego szok i  
wszczęty komisyjny już alarm. Ostatecznie wypadki takie w prakty-  
ce NKWD zdarzają się raz na dziesięć lat, a być może i jeszcze rza-  
dziej. Już po paru godzinach życie w więzieniu przy ulicy Ofiar-  
nej toczyło się "normalnie" jakgdyby nic tu tej nocy się nie stało.

Było to jednak wrażenie pozorne. O udanej i brawurowej uciecz-  
ce akowców wiedzieli już wszyscy znajdujący się w tym więzieniu  
więźniowie, rozprawiając o tym przez wiele jeszcze tygodni. Nie  
w jednej też jeszcze celi szykowano się do podobnego wyczynu, któ-  
ry teraz musiano zaniechać.

Toczyły się też zapewne ożywione dyskusje w gabinetach śled-  
czych na piętrze, którzy wystrychnięci na dudka nie mogli sobie  
darewać, że sprytni i odważni nham "Polaczki" zdołali przechyt-  
rzeć zadufanych w swoim systemie czekistów.

Kraty w oknach sprawdzano sprawdzano od tego dnia we wszystkich  
celach rano i wieczorem. Straciliśmy sami jedną szansę, cieszyliś-  
my się jednak z udanej ucieczki naszych współkolegów.

Oprócz kontroli krat wprowadzono jeszcze zmianę w dotychczas-  
wej pracy strażników: wycofano z dyżurów na korytarzu jedyną pracu-  
jącą tu kobietę - "Żydówkę". Był to kolejny cios w planowany przez  
nas wariant drugi ucieczki. Dwóch strażników to o jednego za dużo.

Nadszedł chłodny grudzień. Za oknem padał śnieg. Nieomylny zwi-  
stun nadchodzącej już zimy. Zimy, która w grudniu i styczniu przy-  
nosi z sobą mrozy do 40-45 stopni Celsjusza.

### Przeprowadzka.

Zazgrzytały zamek i zasuwa otwieranych drzwi i na progu celi wyrosła wysoka postać "Wąsala" z kartką w ręce. Wchodząc do celi rzekł: "Na bukwu SSSSSS!"

Pawieł Rudolfowicz Swietlikowski - odpowiedziałem, wiedząc, że to po mnie przyszli.

"Sobierajties z wieszczami"- zakomenderował "Wąsal", wychodząc z celi. Wyszedłem na korytarz. Strażnik zamknął celę. Pokazując ręką kierunek- dodał: "Paszli"!

Może na wolność - pomyślałem naiwnie jakbym zapomniał w czyich jestem rękach. Szedłem pierwszy. "Wąsal" poganiał raz po raz. Rutynowo, automat wyuczonej instrukcji. Na szyi czułem wciąż jego oddech. W więzieniu, gdzie nigdy nie mówią : dokąd, dlaczego i po co, człowiek głowi się sam. Zastanawia się, rozmyśla, zgaduje, niekoi się, ale zawsze, w sytuacjach nawet najgorszych ludzi się myśla - a może na wolność?!

Na wolność nie wyszedłem. Nagłe: "Stoj!"- strażnika przerwało tok moich zgadywanek. Staliśmy przed celą nr 18. Otwierając ją "Wąsal" burknął: "Zachaditie!"

Wszedłem do pustej celi jak do trumny. Zostałem izolowany. Rozpocząłem kolejny etap w swoim życiu więziennym. Miałem prawo dokonać rachunku z trzymiesięcznego już pobytu w tym obiekcie. Zdażyłem już zapoznać się szczegółowo ze stosowanym w nim reżymem. Najgorsze było <sup>jednak</sup> jeszcze przede mną, należało do tego się przygotować. Więc jednak śledztwo, a były chwile złudnej nadziei, że może mnie te ominie.

~~WakxnxhvwzkwkxixxRP~~ Skąd te naiwne skąd inąd myśli? Poraz drugi już od 1939 Wilno znalazło się pod okupacją sowiecką. Własnymi oczyma oglądałem przeprowadzane przez NKWD "czystki" wśród polskiego społeczeństwa. Sam czułem na sobie ten groźny pręgierz zagrożenia i tylko praca na ważnym dla okupanta nawet odcinku strategicznym jakim jest kolej ratowała mnie okresowo przed aresztowaniem, Liczyli napewno, że im nie ucieknę.

Że jako polski obywatel i oficer walczyłem z Niemcami o wolność Polski w szeregach polskiej, sojuszniczej wszak Armii Krajowej to nie przestępstwo wobec Rosji, a obowiązek żołnierski względem Oj-

czyzny-Polski. Takie były fakty wynikające z prawa międzynarodowego, lecz imperializm sowiecki kierował się swoimi prawami, i wykorzystując bierność Aliantów realizował bezprawnie swój plan podboju.

Przebieg wydarzeń wojennych nas-Polaków ustawił między młotem i kowadłem, a właściwie to między młotem i sierpem. Uczynił zakładnikami międzynarodowej polityki, która interes własny przekładała ponad takie wartości jak wierność i lojalność.

A Rosjanie robili swoje. W lipcu 1944 ogłosili mobilizację ~~RM~~ mężczyzn roczników 1925-1908. Na okupowanym terytorium, obywateli 2 RP. Unikając przymusowej branki ~~zobowiązania~~ wymiennikiem dowód osobisty, zmieniając datę urodzenia na 1907 r. Było to moje drugie "przestępstwo" wobec Króju Rad. 17 lipca popełniłem pierwsze, uciekając czekistom w drodze do obozu w Miednikach. Te dwa fakty obciążały moje antykomunistyczne sumienie. Byłem przygotowany do oczekującego mnie śledztwa.

Był późny już wieczór. Leżąc na podłodze zamknąłem oczy z postanowieniem szybkiego zaśnięcia. Może dziś, po dniu sporych przeżyć - myślałem - w głębokim śnie znajdę odrobinę zapomnienia, wynosząc z niego nieco nowych, ożywczych sił przed nieznanym jutro.

Zapadałem już w pierwszą drzemkę, gdy zachrobotał przekręcający w zamku klucz i wysoki, na rozstawionych, ~~jak pałak~~ jak pałak tynh nogach wszedł do celi strażnik. Stojąc w poświacie oświetlonych z korytarza drzwi-wydawał się jeszcze wyższy, a jego wygięte nogi sterczały sztywne jak dwie białe w ziemię długie szable. Szaglądając w trzymaną w ręce kartkę- wykrztusił przez zęby: "Na bukwa SSSS!

Obznaczony już z tym sposobem wywoływania z celi - odpowiedziałem! Paweł Rudolfowicz Świetlikowski.

W celi byłem tylko ja i nikt inny na "bukwu SSS" nie mógł się za mnie zgłosić, lecz instrukcja jak widać jest instrukcją i obowiązuje ślepo aż do absurdu. Jeszcze komenda: "Paszli!"- i już za chwilę byłem w drodze na przesłuchanie. Wspięliśmy się wkrótce po schodach na piętro, gdzie rozlokowane były pokoje śledczych.

Wprowadzony zostałem do jednego z nich. Za stołem siedział ofi-

cer KGB w stopniu kapitana. Podpisał podaną mu przez strażnika kartkę, kwitując w ten sposób "odbiór" więźnia, za którego on brał od tej chwili odpowiedzialność.

Wskazując ręką na stojący w pewnej odległości od stołu taboret, kapitan rzekł: "Идутминистр "Садитесь Павелъ Rudolfowicz - буду вести ваше следствие. Мaja familia Smirnow"

Ten zaskakująco kulturalny jak na panną rozmowę z "przestępcą" początek oraz grzecznościowa forma zwrotu mogły pozornie wnioskować, że siedzący za tym stołem kpt. KGB zaprosił z celi więziennej przypadkowo tylko zatrzymanego człowieka, z którym prowadzić będzie towarzyską i w kurtuazyjnej utrzymaną atmosferze pogawędkę.

Znałem się już jednak na tych "uprzejmościach" i wiedziałem, że nie z jednym już jak ja Polakiem towarzysz kapitan zaczynał i prowadził podobną rozmowę. Znał dobrze swój fach, znał również postawione mu do wykonania zadanie i wiedział w jaki to ma zrealizować sposób. Skinąłem tylko potakujące głową na dowód, iż zrozumiałem, co mi powiedział.

Kapitan stanowił typ powszechnie spotykanego Rosjanina: krótko postrzyżone blond włosy opadały bezładnie na niskie czoło, z pod którego jak dwiema ostrymi szpilkami świdrował mnie swoimi małymi, przymrużonymi lekkie oczkami.

Upewniwszy się raz jeszcze, że go dobrze zrozumiałem - pochylił lekko głowę nad leżącym przed nim plikiem papierów i rozpoczął czytanie: "Zgodnie z paragrafem 58-1a-11 kodeksu karnego ZSSR oskarżeni jesteście o przynależność i aktywną działalność w przestępczej, tajnej, wojskowej organizacji Armii Krajowej, kontrrewolucję, zdradę ojczyzny oraz chęć zagarnięcia zbrojnego Wileńszczyzny od Związku Radzieckiego".

Gdy skończył - podniósł z nad stołu swą głowę, i obdarzając mnie łagodnym już spojrzeniem - spytał:

"Czy zrozumieliście dobrze przedstawiony wam akt oskarżenia? Nie. Nie zrozumiałem go zupełnie. Odpowiedziałem spokojnie, ale zdecydowanie. Nie rozumiem go dlatego, że po pierwsze - będąc od

urodzenia obywatelem Polski, nie mogę być oskarżony o zdradę Związku Radzieckiego, którego nie byłem nigdy obywatelem.

Po drugie- walcząc w szeregach Armii Krajowej na polskiej ziemi o niepodległość mojej Ojczyzny-Polski, spełniałem jedynie swój podstawowy względem Niej obywatelski i żołnierski obowiązek. I nie była to także armia przestępcza, lecz uznana przez Aliantów jako armia "Sojusznicza".

Po trzecie- w mojej Ojczyźnie-Polsce nie było nigdy rewolucji, nie mogę zatem być oskarżony o kontrrewolucję.

Dlatego fakt aresztowania mnie i przedstawienia powyższego aktu oskarżenia jest pogwałceniem prawa międzynarodowego. Stosowane aktualnie przez Was w stosunku do obywateli polskich represje są gwałtem i bezprawiem.

Choć starałem się być opanowany, wypowiedziałem to wszystko niemal jednym tchem, bowiem treść oskarżenia nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do ostatecznych zamiarów oskarżycieli.

Zdawałem jednocześnie sobie sprawę, że w konkretnym przypadku retoryka argumentów i prawa nie ma żadnego znaczenia, a podważania aktu oskarżenia od strony prawnej to próba udowodnienia, że nie jestem wielbłądem.

Kpt. Smirnow był widać przygotowany na moją tego rodzaju odpowiedź i przytoczone argumenty. Wielu przesłuchiwał już przedemną Polaków, żołnierzy Armii Krajowej. Wszyscy oni mówili zapewne tak samo lub podobnie. Nie wyraził więc ani zdziwienia, ani niezadowolenia. Wstał tylko z miejsca, podszedł do okna, i patrząc w ciemną noc zastanawiał się zapewne nad dalszym tokiem postępowania.

W pewnym momencie powrócił na swoje miejsce za stołem, oparł na nim szeroko swe łokcie, i patrząc na mnie mówił z perswazją w głąb głębie: "

" Nu czte wy, Pawieł Rudolfowicz, duraka walajecie. Izmiena rodiny eto značit Sowieckeho Sojuza, a nie Pelszy"- recytował jak z wyuczonej na pamięć książki. Po chwili zastanowienia mówił dalej:

"Každy dobry Polak należał do Armii Krajowej- znaczy walczył przeciwko Zw.Radzieckemu- to znaczy, że go zdradził. Jeżeli nie nale-

żał do Armii Krajowej to znaczy, że kolaborował z Niemcami. A kolaboracja z Niemcami jest zdradą Związku Radzieckiego. Ponieważ Armia Krajowa walczyła z ustrojem socjalistycznym - dlatego była organizacją przestępczą i kontrrewolucyjną. Za to właśnie zostaliście aresztowani. Wet i wsie!"

Bandyta, który dopuszcza się najpierw kradzieży, a później mordu. kieruje się własnymi zasadami, które są zasadami złodzieja i bandyty, natomiast racje prawne i moralne ofżary nie mają tu żadnego znaczenia.

Patrząc już wieloznacząco na mnie, kpt. Smirnow powiedział: "Padunajtie ab eton, Pawieł Rudelfowicz, w kamere!"- Sięgnąwszy po telefon przywołał strażnika, który kwitując kapitanowi odbiór więźnia, wyprowadził mnie z pokoju.

Zbliżając się do zakamania korytarza, strażnik zakomenderował: "Stanowis k stienkie!"

Zatrzymałem się, stając twarzą do ściany. Usłyszałem kroki idących naprzeciw. Komendę strażnika poprzedził gwizd z głębi korytarza, na który strażnik odpowiedział podobnym. Uprzedzali siebie wzajemnie, że idą z więźniami, którzy nie powinni się spotkać.

Stojąc tuż przy ścianie, usłyszałem wrótce kroki przechodzących ludzi. Przeczekałem chwilę i rzuciłem w ich stronę dyskretnego zezą. Rozpoznałem ppor. "Halnego". Pierwszym odruchem była radość, że się zobaczyło bliskiego przyjaciela. A za nią myśl inna: On także nie uniknął tego losu.

Już w celi wróciłem do wypowiedzianych przed chwilą słów kpt. Smirnowa: "Padunajtie ab eton w kamere!"

Rzeczywiście miałem o czym myśleć. Nawet w sytuacji tak paradoksalnej jak moja, w której oskarżono człowieka, iż jest wielbłądem. Czy mogłem o całej swojej aktualnej sprawie myśleć poważnie!?

Noc chyliła się już ku końcowi, a ja leżałem wciąż skulony na podłodze, nie mogąc zasnąć. Pokoleniowy zryw niepodległościowy, i wizja przyszłej wolnej Polski sprowadzone zostały do lochów sowieckiego więzienia. Nie była to noc do snu.



Do celi wkradał się powoli chłodny, grudniowy świt. Ulatniał się gdzieś stopniowo otaczający jeszcze dośkoła mrok nocy. Zbliżał się ukradkiem kolejny dzień zniewolenia i upokorzenia. Wraz z nim budziła się świadomość narastającej w sercu goryczy.

Najbliższymi i bezpośrednimi adresatami naszego więziennego nieszczęścia byli strażnicy, którzy ustalone w instrukcji swoje obowiązki wykonywali z niebywałą nadgorliwością. Niejednokrotnie kojarzyło się to z psychicznym wynaturzeniem, wręcz z wyrodnieniem.

Zastanawiałem się wielokrotnie - czym się oni kierują w swoim życiu prywatnym? - W co wierzą i poco żyją?

Mieli wszak swoje rodziny, żony i dzieci. O czym rozmawiali z nimi w domu po przyjściu z dyżuru, podczas którego znęcali się nad zamkniętymi w celach ludźmi, zamykali do zalanych wodą karcerów, odstawiali, gdy proszono ich o podanie kubka wody. Jak te sadystyczne nawyki godzili z rolą kochającego żonę męża i troskliwego o swe dzieci ojca?

Trudno to sobie uzmysłowić i wyobrazić kogoś, kto przez cały dzień znęca się nad nie znanymi wszak ludźmi, by wieczorem przulepieścić i całować siedzące na kolanach dziecko.

Do służby w wojsku NKWD powoływano po specjalnej selekcji. Już w wojsku poddawano ideologicznej "obróbce" i indoktrynacji specjalistyczno-zawodowej. Była to już droga bez wyjścia. O wycofaniu się z niej nie było już mowy, a każde nawet "zawahanie" się było zdradą, za którą były już tylko więzienia i łagry. Nie rzadko strzał w tył głowy. Nie jeden z nich był jego wykonawcą. Znali system ten dobrze, byle jego ważną częścią.

W więzieniu czas nieraz zamiera, staje jakby w miejscu. Minuty zamieniają się w nieskończoność. Napływające nawałą we same wciąż myśli odbierają resztki nadziei, bez której pozostaje już tylko całkowita rezygnacja i oczekiwanie kończącego życie normalne wyroku.

Sledztwo toczyło się w odgórnie ustalonym kierunku. W atmosferze grubiańskiego nacisku, wyzwisk i krzyku. Pogróżki o rozstrze-

laniu przeplatano nierzadko rękoczynami, po których kubeł zimnej wody przywracał przytomność umysłu.

Zadanie śledczego Smirnowa było proste: zdekonspirowaną działalność Armii Krajowej skierowaną wyłącznie na walkę z Niemcami przedstawić jako wroga ~~Żwan~~ i skierowaną przeciw Zw. Radzieckiemu. Nie musiał w zasadzie niczego wymyślać i fabrykować. Wystarczyło, ~~aby~~ aby zamiast Niemcy napisać Związek Radziecki. W takim ujęciu zryw niepodległościowy pokolenia dowojennego 2 RP stawał się antykomunistyczny, ~~ant~~ rewolucyjny i antyradziecki. Fałszując obywatelstwo, Polacy stawali się zdrajcami "swojej ojczyzny" to znaczy Zw. Radzieckiego.

Miał kpt. Smirnow w stosunku do mnie jeszcze dwa punkty zaczepienia: 17 lipca uciekłem z prowadzonej do obozu w Miednikach kolumny, a w kilka dni później, broniąc się przed ogłoszoną mobilizacją do Armii Czerwonej, "wymieniłem" dowód osobisty.

Przez dwa kolejne tygodnie zamęczano mnie jednym tylko wątkiem śledztwa: "Gdzie ukrywajutśa wasze ludzi"? i "Cie nachodiatsa magazyny arużija"?

Okazało się, że z obozu w Miednikach zdołało zbiec ok. 4000 akowców. W tym kilkunastu oficerów. Nimi to NKWD zaprzętało teraz sobie głowy i szukali nowego sposobu ich wyłapania.

Moje tłumaczenie, że działałem sam i ~~annnnnnnnnnnnnnnn~~ nie mam nic wspólnego z ucieczką innych - uważano za zwykły wykręt. Sięgało do najprostrzych wręcz gróźb: "Jeśli nam nie skażysz- razstrelajem was!"; "Łutsze wan budiet- jeśli nam wsie rozkażytie".

Ponieważ nie wiedziałem nic naprawdę- nie mogłem niczego "rozkazywać". Całonocne przesłuchania kończyły się jedynie na połajankach i rękoczynach. Wracalem do celi nad ranem wyczerpany psychicznie i zmaltretowany fizycznie.

Był chyba listopad 1944, gdy w więzieniu puszczone pogłoskę, (kto jak ~~KGB~~ nie KGB je rozprowadza), że władza sowiecka nie pociągnie do odpowiedzialności karnej akowców, którzy wychodząc sa-

mi z lasu, zaprzestaną walki i złożą broń. Kolejnym w tym kierunku krekiem było zwolnienie z więzienia przy ulicy Ofiarnej dwóch przebywających na warunkach "internowanych" oficerów AK: mjr. "Jaremy"- inż. Czesława Dębickiego oraz ppor. "Brankarta"- Eryka Budzyńskiego, którzy ofertę powyższą przekazać mieli znajdującym się jeszcze w lesie akowcom.

Nie znam przebiegu tej akcji oraz dalszego po zwolnieniu losu obu tych prawych oficerów. Była to jednak jeszcze jedna zaplanowana przez KGB oszukańcza pułapka, która najmniejszym z ich strony nakładem sił i środków zlikwidować miała ostatecznie, pojedynczo już działające gniazda akowskiego operu.

Tymczasem moje śledztwo nabierało tempa i rozmachu. Wyczuwało się, że grupa oskarżonych została już skompletowana, a materiał "dowodowy" zebrany w stopniu "wystarczającym". Zastanawiała mnie tylko rzecz jedna: dotąd nie pojawiło się w śledztwie nazwisko mego bezpośredniego dowódcy, mjr. "Rojana"- Władysława Zarzyckiego.

Przyznam, że łudziłem się nawet nadzieją, iż uniknął on szczęśliwie naszego losu, przedostając się do polski. Byłem jednak w błędzie. Mjr "Rojan" przeszedł również ciężkie śledztwo i skazany został na 20 lat katorgi, przebywając 12 z nich w łagrach workuty. Tę akowską genennę przeszedł godnie, a powróciwszy w 1956 do kraju zmarł w kilka lat później w Grójcu pod Warszawą.

Nie ujawniło się też nazwisko d-cy jednej z moich kompanii ppor. "Włodzimierza"- inż. Antoniego Swietlikowskiego, który przedostając się przez zieloną granicę do Polski, uniknął szczęśliwie aresztowania i zesłańczego losu. W rezultacie uniknęli więzienia podlegli mu oficerowie jak: ppor. "Bury"-Burzyński, ppor. "Pietr"- Piotr Bujwid, dr. Antoni Urbanowicz- "Telek", pchr. "Żuk"- Tadeusz Kowzan oraz ppor. "Strzelec"- Edward Strzelecki.

Takich szczęśliwców, niestety, było niedużo. W okresie prowadzonych przez NKWD intensywnych aresztowań zmieniali wciąż miejsce pe-

bytu, dokumenty, przedzierając się przeważnie indywidualnie do Polski przeróżnymi sposobami i drogami.

Cała kadra oficerska Dzielnicy B Wilno-Sródmieście, najliczniejszej liczbowo jednostki Garnizonu znalazła się w rękach NKWD. Jedynym wyjątkiem okazał się mjr "Róg"- Antoni S<sup>k</sup>orko - d-ca 3 batalionu. On jeden uniknął aresztowania i przedostał się do Polski na fikcyjnych dokumentach.

Nasuwa się przy tym podstawowe pytanie: czy te masowe aresztowania były do uniknięcia?

Odpowiadając na nie generalnie, a pobyt w więzieniu wiedzę tę jeszcze ugruntował - wyjścia alternatywnego nie było. Nawiązanie współpracy z Armią Czerwoną było koniecznością wojskową, natomiast "Akcja W<sup>o</sup>lnańska Ostra Brama" była świadectwem polskości tych ziem i bitwą o Tę samą Polskę, o którą walczyli Powstańcy Warszawy.

Całkowita dekonspiracja Armii Krajowej, pozbawionej podwójnie naczelnego i szerokiego dowództwa, wobec biernej postawy Aliantów, postawiła ją w sytuacji bez wyjścia, skazała na zniszczenie.

Podczas prowadzonego już w więzieniu śledztwa oglądaliśmy leżące na stołach ~~niektóre~~ prowadzących schematy organizacyjne AK wraz z obsadą funkcji oficerskich. Tych, którzy ominęli w różny sposób zastawionej pułapki w dniu 17 lipca, wyłapywano już planowo i imiennie.

Prowadzone wspólnie walki o Wilno były teraz dowodem naszej chęci "oderwania" Wileńszczyzny od ZSSR. Były zaradą narodu i ojczyzny. Śledztwo posuwało się wciąż do przodu. Całe noce spędzałem na taborecie u śledczego. Przewód dowodowy osiągał swój punkt kulminacyjny. Zarysowała się już w sposób widoczny jego docelowa konstrukcja prawna. Zwiększono częstotliwość przesłuchań. Zaostrzyły się gwałtownie formy nacisku. Najkrótszą drogą zmierzano do celu.

Po ciężkich nocach spędzonych u śledczego - ~~przez~~ przez dzień śledzony byłem pilnie przez strażnika, abym , bron może, nie zasnął. ~~Zaglądałem~~ Zaglądając raz po raz przez "judasza", pokrzykiwał, uprzedzał

straszył karcerem. Zasypiałem więc momentami stojąc oparty o ścianę, siadając zmęczony na podłogę, gdy podnosiłem się z miejsca lub siadałem na "kibel", pozorując potrzebę ze skrzyśtania z tego dobrodziejstwa.

Był to stan, w którym walka ze snem była torturą. Pod okowianymi powiekami czułem ziarna kłującego jak szpilki piasku. Słowa ciążyła ku dołowi, a w skroniach pulsował szum, rozsadzając głowę od wewnątrz.

Z korytarza doszło gromkie "adbej"! To strażnik informował wszystkich o nastaniu pory nocnej. Osunąłem się natychmiast na podłogę, zasypiając zanim zoczyłem się ułożyć.

Ranny "padem" budził wszy stkich jak z ciężkiego letargu. Hałas otwieranych i zamykanych kolejno cel, przyśpieszony tupot poganianych z "paraszą" więźniów to nieodzowny element codziennego programu dnia.

W tym rutynowym tyglu sowieckiego więzienia "spacer z paraszą" do ubikacji był swego rodzaju atrakcyjnym urozmaiceniem, oczekiwanym nawet przerywnikiem szarej monotoności. Kilkanaście metrów drogi pustym korytarzem, ukradkie spojrzenia na numery mijanych cel i porządkowy posyt w piwnicznej ubikacji były przedmiotem "owej" właśnie "atrakcji" i poczuciem krótkiej, "złudnej" chwili wolności.

Mijał już dziewiąty miesiąc śledztwa, w którym nie brakowało wciąż nowych i przykrych zawsze niespodzianek. Mimo zaistniałej dekonspiracji jednak spora ilość członków AK znalazło się poza świadomością i wiedzą NKWD. Dlatego każde nowe pojawiające się w śledztwie nazwisko przyjmowałem na z uczuciem zrozumiałego zawodu. Poszerzało to treść mojej konspiracyjnej działalności, pęczniały "dowody" przestępczości dowódcy batalionu.

Możliwości obrony były żadne. ~~Właściwie~~ Nie było żadnego naruszenia prawa. Musiałem jednak być osądzony jak każdy aresztowany Polak, tym bardziej akowiec. Wszelka retoryka prawna nie miała żadnego znaczenia i nie miała celu. Jediną reakcją obronną na jaką mogłem w tych warunkach pozwolić była odmowa podpisu pod tymi pro-

tekstami zeznań, w których śledczy patriotyczną działalność akowską sformułował jak wrogo nastawioną przeciwko ZSSR, a więc przestępczą. Określona jeszcze jako "zdradę narodu i ojczyzny" w rozumieniu ZSSR.!

Przez rok trwającego śledztwa takich nocnych przesłuchań były setki. Oto jedno z nich: Kpt. Smirnow położył na stole kilka spisanych już protokołów, i zwracając się do mnie-rzekł: "Podpiszcie, Paweł Rudolfowicz!"

Ta wyjątkowo grzeczna forma to zaczęta do złożenia podpisu. Wziąłem do ręki jeden z protokołów. Spojrzałem na zapisany arkusz papieru, mówię:

Nie znam języka rosyjskiego, jego pisowni, nie wiem co tu jest napisane.

"Przeczytam wam, Paweł Rudolfowicz"- dodaje wkrótce kpt. Smirnow. Czyta: "Paweł Rudolfowicz Swietlikowski należał do tajnej, wojskowej, bandyckiej organizacji zwanej Armia Krajowa. W stopniu porucznika, ps. "Jerzy" pełnił funkcję dowódcy 2 batalionu Dziecinicy B Wilno Śródmieście. Brał udział w walce przeciwko władzy radzieckiej z zamiarem oderwania Wileńszczyzny od Związku Radzieckiego. Wykonywał polecenia burżuazyjnej klikki w Łodynie, mianującej siebie rządem Polski".....itd. itp..... i dalej:

Przerwałem w tym momencie czytanie protokołu, mówiąc:

"Zgodnie z paragr. 58-1a-11 kodeksu karnego ZSSR działalność ta kwalifikuje się jako zdrada ojczyzny, kontrrewolucja i oderwanie Wileńszczyzny przy pomocy walki zbrojnej".

Przerwałem w tym momencie czytanie protokołu, mówiąc: Ja tego protokołu nie podpiszę, ponieważ odbiega on od prawdy. Walcząc o niepodległość Polski nie zdradziłem swojej Ojczyzny. Nie jestem żadnym kontrrewolucjonistą, ponieważ w Polsce nie było rewolucji. Nie zamierzam też oddzielać Wileńszczyzny od ZSSR, ponieważ Ziemia ta była uznana prawnie częścią składową II Rzeczypospolitej.

Szara dotąd i bez wyrazu twarz kpt. Smirnowa nagle sponsowiała. Nie byłem napewno pierwszym Polakiem, obywatelem Polski, któremu czytał on analogiczny akt oskarżenia i nie ja pierwszy odmó-

wiłem mu jego podpisania. Obrzucił mnie z miejsca swoim nienawistnym spojrzeniem. W tej chwili, wyrażając swój sprzeciw, byłem dla niego już niekwestionowanym bandytą, przestępcą i zdrajcą narodu. Oczywiście sowieckiego, komunistycznego narodu.

Kpt. Smirnow podniósł słuchawkę telefonu, mówiąc: "Wejdźcie!" Do pokoju weszło natychmiast trzech odkarmionych mołojców, ustawiając się tuż za moimi plecami.

Smirnow nie spuszczał w tym czasie wzroku z mojej twarzy, śledząc moją karknągą na tę reakcję. Miałem jednak maskę z kamienia.

Z za stołu padło akcentowane znaczące pytanie: "Podpiszytie mnie etot protokoł ili niet?"

Ja wam mówiłem już - odpowiadałem spokojnie - że w tej redakcji nie podpiszę.

W tej samej chwili otrzymałem dwa następujące kolejno po sobie uderzenia pięścią w tył głowy, wymierzone przez stojących za mną osiłków. Dalszy przebieg prowadzonego ze śledczym "dialogu" przypominał wahadłowo pracujący automat: powtarzające się wciąż to same pytanie śledczego, moja odmowa i kolejne zadawane uderzenia w tył głowy.

Dziś nie sposób już ustalić jak długo trwała ta nierówna w argumenty prawne "wymiana zdań". Pamiętam tylko, że do powtarzających się pytań, odmów i uderzeń doszły także wymowne w treści epitety wspomagające siłę przekonywania jak: "Ty swołocz", "Ty polskij faszysta", "Ny zastawim tiebia goworit!" oraz inne, których ze względu na ich sowiecką dosadność powtórzyć nie sposób.

Moment zakończenia tej batalii jest poza zasięgiem mojej świadomości. Odzyskałem ją bowiem nazajutrz wieczorem, znajdując się już wxxw w swojej celi. Był zmrok, gdy otworzyłem oczy. Leżałem na podłodze. Pod łopatkami czułem ciepłą wilgoć. Rozwartą dłonią dotknąłem podłogi. Była zimna i mokra. Podpierając się rękami, usiłowałem przybrać pozycję siedzącą. Śwałtowny ból dźgnął jak sztyletem w tył czaszki i ześlizgnął się w dół wzdłuż kręgosłupa. Od- ruchowo zacisnąłem z bólu zęby.

Zapewne odruchowo dotknąłem ręką bolącego miejsca głowy. Włosy zlepione były jakąś ciepłą, klejącą się mazią. Spojrzałem w górę. Na ciemnym suficie migotało ironicznie blade światło. To latarnia uliczna, zaglądając dyskretnie do celi, przywracała mojej świadomości zdolność myślenia, błyskając nadzieją, że nie wszystko jest jeszcze stracone.

Wzmagał się ból głowy. Podniosłem w pewnej chwili prawą rękę, dotykając zbolącej części. Spojrzałem na rękę. Palce pokryte były warstwą zakrzepłej krwi. Obok stała miska z wodą. Po wrzuceniu do celi musieli nią mnie cucić. Namoczone w zimnej wodzie zdjęte z nóg skarpetki przyłożyłem na zbolełe miejsce. Doznałem natychmiastowej ulgi. Skojarzyłem to natychmiast z troskliwą ręką Matki, która nieraz w dzieciństwie łagodziła różne bóle.

Przez kilka kolejnych dni peruszałem się w celi z trudem, powoli wracałem do równowagi psychicznej. Po tygodniu przerwy - znów przesłuchanie. Przy okazji usłyszałem informację, iż nie okazałem w śledztwie skruchy, co "sprawiedliwy" sąd weźmie niechybnie pod uwagę. Odniosłem wrażenie, że śledztwo jest już zakończone. Przyjąłem to ze zrozumiałą ulgą.

W kilka dni później - zaskoczenie. W porze nietypowej, przed południem wezwany zostałem do śledczego. Twarz kpt. Smirnowa ma wyraz groźny. Zrozumiałem to, gdy padło pierwsze pytanie: "Znaitie li wy Janusza Wiszniewskiego?".

Tego pytania bałem się jak ognia przez cały okres swego śledztwa. Cieszyłem się, że nie pojawiło się ono dotąd, sądziłem, że to już przeszłość. Okazało się, że nie. Właśnie teraz stanąłem przed tym arcytrudnym dylematem.

Przez kilka dni peruszałem się w celi z trudem, powoli wracałem do równowagi psychicznej. Po tygodniu przerwy - znów przesłuchanie. Przy okazji usłyszałem informację, iż nie okazałem w śledztwie skruchy, co "sprawiedliwy" sąd weźmie niechybnie pod uwagę. Odniosłem wrażenie, że śledztwo jest już zakończone. Przyjąłem to ze zrozumiałą ulgą.

Czas na odpowiedź jest ograniczony. Im on jest krótszy - tym lepiej dla pytanego. Jeżeli jest u nich na służbie - rozważałem błyskawicznie - należałoby wspomnieć o jego przygodzie z gestapo i mojej udzielonej mu wtedy pomocy. W przypadku, gdyby był czysty, jak wówczas jego przypadkowy i krótki udział w konspiracji na-



leżałoby przemilczeć. Mówiłem:

Janusza Wiśniewskiego znałem bardzo mało, nie utrzymywałem z nim żadnych stosunków towarzyskich. To wszystko, co o nim mogę powiedzieć.

Zauważyłem, że od chwili zadania mnie pytania - bacznie mnie obserwował. Nigdy nie spuszczał ze mnie oka, wycodził groźnie przez zęby: "Waszi ludzi ubili naszego lejtnanta, wy otwieczajecie za to te ubijstwo!".

Zdębiałem. Śledztwo mam już zakończone, a tu nagle dodatkowo terreri zabójstwo, za które karzą tylko wyrokiem śmierci. Przypomniałem natychmiast moją rozmowę z chłopcami na rogu ulic Kalwaryjskiej i Lwowskiej 15 września ubiegłego roku. Być może, że zapowiadany wtedy tylko wyrok został wykonany. Ale co ja mam z tym wspólnego?

Bronię się- odpowiadając: Wiecie dobrze, że już od roku jestem w waszym więzieniu. Wiecie również, iż od 17 lipca 44 tj. od dnia rozbrojenia Armii Krajowej nie prowadziłem żadnej działalności konspiracyjnej i nie kontaktowałem się z nikim z konspiracji. Będąc izolowany w więzieniu nie mogę odpowiadać za to, co się dzieje w tym-śniasie w mieście.

Surowy detąd wyraz twarzy kpt. Smirnowa jakby nieco złagodniał. Jednak dodał: "Wszystkie tego ubijstwa sowerszyli ludzie iz waszego bataliona?".

Nie wiem czy i kto zabił waszego lejtnanta. Ja mogę odpowiadać za czyny popełnione jedynie przez siebie.

Mówiąc to patrzyłem przez cały czas w oczy ślepego. Byłem widac przekonywujący, ponieważ Smirnow skończył pisanie i spokojnie powiedział: "Podpiszytie etet protokoł!".

Treść protokołu była zgodna z moją relacją. Nie mógł napisać inaczej, nawet gdyby chciał. Była to tylko formalność. Podpisałem.

Jednak informacja o śmierci Janusza poruszyła mnie do głębi. Nie znałem szczegółów tego wydarzenia. Nie byłem nawet tak naprawdę pewny, czy Smirnow ze sprawą tą nie blefował. Przyjdzie czas. myślałem- sprawa się wyjaśni.

W krótkim odstępie czasu spotkała mnie niespodzianka kolejna.

Tak samo wezwany do południa, tenże kpt. Smirnow zaskakuje mnie pytaniem innym: "Znacie li wy dr Antona Urbanowicza i dr Czesława Kenopke?".

Skojarzyłem to natychmiast z Januszem. Mieszkał u jednego z nich. Znał obu. Obaj pełnili funkcję lekarza w moim batalionie. Bliscy przyjaciele. Wyjaśniałem:

Obaj byli moimi kolegami jeszcze z okresu studenckiego. Mieszkaliśmy w jednej dzielnicy miasta. Jednak w czasie okupacji spotykaliśmy się bardzo rzadko, ponieważ ja pracowałem w tym czasie daleko poza Wilnem.

Przekórki zakończone. Podpisałem. Byłem przekonany, że ułożyło się wszystko pomyślnie. O rzeczywistym losie obu moich przyjaciół dowiedziałem się jednak dwanaście lat później, już po powrocie z Warkuty.

Dr A. Urbanowicz, "Toniek" przedostał się szczęśliwie do kraju. Jako lekarzowi nie było trudno zachować "incognito", unikając prześladowań ze strony UB. Inaczej zgoła los się potoczył dr. C. Kenopki, "Czesława". Ten wspaniały Polak, Patriota i chirurg przeszedł sowieckie więzienie i łagry. Po wielu latach powrócił do kraju z nadszarpniętym zdrowiem. Zmarł przedwcześnie, osierocając żonę i córkę.

Sledztwo dobiegło końca. Skończyły się wreszcie udręki nieprzespanych nocy, niepewności ciągłej o los znajomych, przyjaciół i bliskich, szykan, nacisków różnych i tortur oraz upokarzającej do głębi atmosfery oskarżonego o bandytyzm.

Oczekując z niecierpliwością dnia sądu, poczułem się przedziwnie szczęśliwy.

### Dzień zakończenia wojny.

Budził się najowy świt 1945 roku jak co dzień. Wstawał powoli jak po źle przespanej nocy. Deskwierał chłodną, betonową posadzką więzienną celi. Towarzyszyła temu świadomość wrogiej, obcej przynocy oraz niepewność jutra.

Giszę poranka przerwał nagle krzyk strażnika "padion"! oraz następujący tuż po nim harmider prowadzonej "uberki". Ściążyliśmy już do tego się przyzwyczaić i niemal zobejtnieć. W półdrzemce oczekując swojej kolejki.

Nagle - daleki jakby odgłos pojedynczego wystrzału karabinowego. Wkrótce wystrzał drugi i trzeci. Już znacznie bliżej. Jakiś zapewne pijany bajec - pomyślałem przez chwilę - pod wpływem czarki alkoholu dał sobie jak to mówią Rosjanie upust "na wsiu iwanowskuju", by w ten sposób wyrazić swoje szczególne zadowolenie.

Wnet jednak długa seria z automatu zaklekotała już zupełnie blisko, a głośny potok rosyjskiej mowy zmieszany z odgłosem rubasznie wyrażanej radości zaskoczyły nas i zdeorientowały nas zupełnie. Śdzieś z głębi miasta zbliżała się fala przedziwnego harmideru i niezrozumiałego zupełnie wydarzenia.

Odtąd wystrzały pojedyncze i serie całe z automatów odzywały się na przemian w różnych miejscach miasta, by przejść wkrótce w otwartą i długotrważącą kanonadę. Na ulicach miasta słychać było wiwatujących radośnie ludzi. Okrzyki: "Kaniec wajny!", "Pabieda za nami!", i inne, wśród których nie brakowało i rubasznym były dowodem, że 5 lat trwająca wojna została zakończona, a wyrażane w ten sposób entuzjazm i radość były naturalnym objawem spontanicznie wyrażanego przez ludzi szczęścia.

Skończyła się wojna, która oprócz milionów strat żołnierskich przyniosła jeszcze większe ofiary i spustoszenie wśród ludności cywilnej. Ta powszechnie wyrażana radość miała miejsce 9 maja 1945 roku. Ulice Wilna napełnione były gwarem i radosnym śmiechem rozentuzjazmowanej i cieszącej się szczerze rosyjsko-litewskiej ludności.

Niestety, zabrakło tam rdzennych mieszkańców tego miasta - Po-

laków. Ci siedzieli tego dnia w swoich domach i opłakiwali los swoich najbliższych, którzy sponiewieranych po licznych sowieckich więzieniach, a niektórych zdołano już wywieźć w głąb syberyjskiej Rosji.

Był dzień 9 maja 1945 roku!

Cieszyli się w tym dniu wszyscy walczący o słuszną sprawę ludzie na całym świecie. wszyscy???

Przez kraty bez szyb więziennego okna uciekał ożywiony radością gwar uliczny. Kres wojny to zamknięcie okresu głodu, barbarzyństwa i wyniszczającego Naród Polski terroru dwóch odwiecznych okupantów.

Akowcy - po pięciu latach heroicznej walki o suwerenną niepodległość Polski i polskiego Narodu dzień 9 maja 1945 roku spędzali w więziennych celach i sowieckich dalekich łagrach. W osądzie bolszewickich "oswoboditeli" byliśmy bandytami i zdrajcami na szczęście sowieckiego tylko narodu.

Ale Wilno nie było wyjątkiem. Podobnie działo się we Lwowie, Stanisławowie, w Łódzku, Białymstoku, na Podolu, na całych zagarniętych przez Związek sowieckich Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej. I o tych złodziejaniach "wielkiego brata" zapomnieć nie sposób i nie wolno!

Kresowi Akowcy zdawali swój ostatni egzamin z patriotyzmu! Z wierności Polsce i swojemu Narodowi!

Gdy minął szok pierwszych wzruszeń, uniesień, sentymentów i cichego, tajnego w głębi serca żalu - przyszedł czas na refleksje. Na usta cisnęło się jedno tylko podstawowe pytanie: Czy tak być musiało???

Dlaczego stało się tak, że szlachetny w intencji i moralnie ZRYW NIEPODLEGŁOŚCIOWY dwojennego pokolenia został ukarany tak niesprawiedliwie i z milczącym przyzwoleniem WIELKICH tego świata?

Kto w tym jawnym oszustwie zawinił bardziej: bezpośredni oprawca, czy dawcy cichego na to przyzwolenia???

Mimo woli sięgnąłem się pamięcią daty 1 Września 1939 roku. Miesiąc heroicznych zmagania z najpotężniejszym w tym czasie na świecie Wehrmachtem. Do zmagania, którego wynik mógł być tylko jeden:

porażka. W dodatku z tym zdrazieckim pchnięciem nożem w plecy 17 września 1939 .

Nie zakamąły jednak Naród polski deportacja 200 tysięcznej armii wgłąb Rosji i mord Katyński. Pięć lat zmieniających się okupacji to pięć lat nieugiętych zmagañ o być albo nie być Polski i polskiego Narodu.

A gdy wróg został ostatecznie złamany lojalna i "sejusznicza" Armia Krajowa ~~znakaxkaxxiqxwxwix~~ zapełniła sowieckie więzienia i łagry, choć jako Naród oczekiwaliśmy <sup>wzani</sup> jedynie i tylko historycznej sprawiedliwości. W nagrodę sprzedano Polskę w bolszewicką niewolę. Na okres pół wieku!

#### Więzienie Łukiskie.

Wszystkich więźniów po zakończeniu śledztwa przerzucano z więzień wileńskich do więzienia Łukiskiego. Tu też odgrywane ostatni akt kagiebowskiej tragifarsy zwanej sądem. Grupa sądownej tu kadry dowódczej Dzielnicy B Wilno Śródmieście liczyła 22 osoby, w tym oficerowie liniowi: por. Anatol Rymaszcwski, "Andrzej", por. Longin Blinstrub-"Lech", por. Paweł Świetlikowski-"Jerzy", ppor. Kazimierz Cis-"Halny", ppor. Stanisław Roszkowski-"Czeng", ppor. Magdziak, ppor. Popławski. Również dwie sztabowe łączniczki - Maria Kuczko i Anieła Kobiak.

Sąd odbył się w podziemiach więzienia. Trybunał Wojenny Litewskiej Soc. Republiki, w skład którego wchodzili również prokurator oraz tzw. obrońca (wszyscy kagiebiści) odczytał przygotowane już każdemu wyreki. Kadra oficerska - po 15 lat katorgi i 5 lat zsyłki z pozbawieniem wszelkich praw obywatelskich, pozostali - po 10 lat przymusowych robót w łagrach. Krótke i węzłowate. Śpieszyli. Termin etapu był już wyznaczony, a grup takich i podobnych mieli przed sobą jeszcze bez liku. Należało śpieszyć, aby zdążyć na czas.

Ogłoszone wyreki przyjęliśmy ze stoickim spokojem. Stan aktualny braliśmy za tymczasowy i krótkotrwały. Mieliśmy wszak za sobą Aliantów, którym wierzyliśmy bezgranicznie. Oni nas tak nie zostawią - mówiliśmy to wszyscy i powszechnie. Kto mógł przypuszczać, że ta "tymczasowość" potrwa 12 lat!

W więzieniu śledczym męczono nas zimnem, głodem, terrerem, ter-

turami i brakiem świeżego powietrza. W więzieniu Łukiskim w celach pojedynczych wtłoczone po 18 ludzi w temperaturze ok. 30 stopni C. Dni spędzaliśmy na stojąco, w nocy- siedząc w rzędzie jeden drugiemu na kdrętwiąłych kolanach.

Tu zapoznałem się też z karcerem. Sprawa była banalna: strażnik podał do celi dzienne "pajki" chleba. Jednej brakowało. Zastukałem do drzwi żądając brakującej porcji. Trzy dni karceru było odpowiedzią strażnika.

Zgłębiłem przy tej okazji jeszcze jeden stopień wtajemniczenia łębnienia więźniów. Okazało się, że warunki w ciasnej i dusznej celi miałem idealne w porównaniu z tymi z jakimi spotkałem się w karcerze. Tu bowiem- zmuszony byłem stać i we dnie, i w nocy. I to po kostki w wodzie.

Przykrotnie już w czasie wojny wspomniałem polskie dziewczyny ratowały mi życie. Tym razem Kryisia Dąbrowska, "Zbyszek", Stenia Szan-tyrówna-"Hania" oraz Jelenkówna brane przez strażnika z celi do pomocy przy rozdawaniu obiadu zaglądały "niechcące" również i do karceru, przekazując mi zbawczą porcję chleba.

Również tą drogą przekazano mi szczegóły o wykonanym na "Januszu" wyroku. Zgodnie z moją paniętną radą poddany był dłuższej obserwacji. Wykazując dużą aktywność Janusz poszerzał wciąż swoje kontakty z akowcami, którzy obozu w Miednikach szczęśliwie uniknęli bądź z niego uciekli.

Janusz agitował i namawiał ich do wznowienia konspiracji i zakładania nowych struktur organizacji. Namawiał do zdobywania i magazynowania broni, dopytując o już istniejące. Chłopcy nie mieli już żadnej wątpliwości, iż mają do czynienia z agentem NKWD. Agentem pracującym z premedytacją i osobistego wyrachowania. W mieście uintensywniły się aresztowania.

Sędziami i wykonawcami wyroku była trzyosobowa grupa byłych akowców, w tym jedna dziewczyna. Zwierzyli się Januszowi, że wiedzą, o jednym miejscu przechowywania broni. Janusz chciał to sprawdzić. Udali się tam we czwórkę. Zabrali z sobą łopatę.

Będąc już na miejscu, ustalili miejsce rzekomo zakopanej tam

broni. Rozpeczeli kopanie, tu wykonano na nim wyrok, grzebiąc go w wykonanym wykopie. Tak zakończyła się ta tragiczna eskapada do magazynu broni, której tam higdy nie było.

KGB było przez Janusza widać dokładnie o waż wyprawie informowane, ponieważ trójka egzekutorów została wkrótce aresztowana i po krótkim śledztwie skazana na surową karę śmierci, którą zamieniono na 20 lat katorgi.

Wydarzenie ekrutne wam w sobie poprzez tragizm scenerii śmierci człowieka, którego znałem osobiście, a gdy znalazł się w niebezpieczeństwie - udzieliłem mu pomocy. Ilu jednak wspaniałych ludzi, Patriotów zesłano dzięki niemu do łagrów, z których być może już nie wrócili?

Więzienie Łukiskie wspominam tylko przelotnie jako wstęp do ekresu, który zaważył na całym moim dalszym życiu. Ściany więziennej ubikacji pokryte były setkami pseudonimów znanych mi kolegów i żołnierzy AK. Strażnicy tego nawet nie ścierali. Wszyscy byli już osądzeni, mogli więc informować siebie do woli o otrzymanych wyrokach. Wiedzieli, że tydzień, dwa wywiezieni zostaną na daleką Północ i tyle tylko po nich tu pozostanie.

Plac więzienny zamknięty był z dwóch stron załamanym pod kątem prostym budynkiem więziennym, z dwóch pozostałych osłaniała wyseka na 4-5 metrów gruba ściana z betonu, zabezpieczona dodatkowo drutem kolczastym. Na jej obwodzie sterczały wieżycy wstrząsające oraz gotowe w każdej chwili do strzału automaty. Duże reflektory oświetlały mur w nocy.

Podwórce podzielone było na obetonowane boksy, do których wyprowadzane codziennie na dziesięciominutowy spacer więźniów. W boksach więźniowie chodzić musieli gęsiego, zachowując odległości, w absolutnej ciszy. Przestrzegania reżymu pilnowali strażnicy, pełniący dyżur w wierzyczkach.

Nie humanizmem jednak kierowało się NKWD wyprowadzając więźniów na te spacerki. Przez okres śledztwa byli maltretowani jak ścierwo. Teraz musieli ich wzmocnić nieco świeżym powietrzem i przygo-

, tować do roli darmowych niewolników do budowy strojeł komunizmu.

Czas wyprowadzania więźniów na "pragułku" zabierał strażnikom sporo czasu, mieliśmy wtedy więcej swobody w celi. Była okazja spojrzeć nawet przez zakazane okno, spojrzeć z góry na spacerujących w boksach, rozpoznając swoich kolegów i znajomych.

Nie oparłem się pokusie tej i ja, płacąc za to sweistą cenę. Oto w jednym z boksów, na ustawionych na ziemi noszach rozpoznałem swego byłego profesora, dziekana wydziału prawa i ostatniego rektora Uniwersytetu Stefana Baterego prof. Stefana Ehrenkreuza.

Ten masywnej niegdys budowy mężczyzna zmieniony był nie do poznania. Straszliwie wychudzony siedział na noszach, opierając się rękami w odchylenej nieco do tyłu pozycji. Wymizerowana bardzo twarz wyrażała przeżywane cierpienia. Ciężko oddychając starał się wciągać w płuca jak największą ilość świeżego powietrza, które było jego jedynym w chwili tej lekarstwem.

Był oficerem AK, wybitnym uczonym, wspaniałym Człowiekiem i Patriotą. Zapłacił za to wysoką cenę: więzieniem i życiem. Torturowany w długim śledztwie, osadzony na 20 lat katorgi i wywieziony w głąb Rosji - nie wrócił już nigdy. Co przeżył i jakich upokorzeń doznał jeszcze tam w łagrach nie dopowie zapewne już nikt.

Znam dobrze cenę takiej poniewierki, dlatego nie mogę nie zadać samemu sobie pytania: Co czuł i przeżywał w ostatnich godzinach swego życia, gdy wiedział już i był w pełni świadomy, że do ukochanego Kraju i swoich bliskich nie wróci. Stał w obliczu zbliżającego się już kresu Jego życiowej drogi, którą rozpoczął z myślą, wiarą i entuzjazmem służenia Polsce i Narodowi, a kończył ją tragicznie w syberyjskich łagrach, wśród obcych zupełnie i wrogich sobie ludzi.

Żył, pracował, cierpiał i życie swoje oddał dla lepszej przyszłości innych. A ci inni?

Ci inni, jakże liczni, którzy Go znali, cenili i szanowali by-



li jak On w sowieckich więzieniach. Wielu z nich spoczywało już w zbiorowych mogiłach Katynia, Kuropatów, Warkuty, Sejn i wielu innych nieznanych jeszcze innym miejscach męczeńskiej śmierci.

Ci inni - to również polscy komuniści: Bierut, Gomułka, Jędrzychowski, Putrament i cała po nich niezliczona zgraja nędznych zdrajców Polski i Narodu karierowiczów i ciemniaków, aż po ostatnich jak Jaruzelski, Kiszczak, Rakowski, Sekuza i - miejsca tu szkoda, aby ich wszystkich tylko wyliczyć.

~~Ci inni - to również polscy komuniści: Bierut, Gomułka, Jędrzychowski, Putrament i cała po nich niezliczona zgraja nędznych zdrajców Polski i Narodu karierowiczów i ciemniaków, aż po ostatnich jak Jaruzelski, Kiszczak, Rakowski, Sekuza i - miejsca tu szkoda, aby ich wszystkich tylko wyliczyć.~~

Ci inni - to również dzisiejsi z tzw. "czystymi rękami" dawniejsi aktywiści PZPR, którzy wstępując do tej przestępczej, zniechęconej przez Polaków organizacji, w latach 70-80-tych nie wiedzieli jeszcze, że był Katyń, setkami tysięcy Polaków wypełnione sowieckie łagry, sfałszowane wybory, popełniane na Polakach przez UB mordy, że katami polskich patriotów byli nasłani przez Stalina Woźniesieński, Skulbaszewski, Rokossowski. Że....., że....., że....

I ci wszyscy towarzysze o niczym takim nie wiedzieli wtedy będąc przy komunistycznym żłobie, dlatego też nie wyrzekli się potępili i nie wyrzekli się przeszłości, a dziś z dawnym cynizmem i obłudą na ustach dorwali się do władzy, aby drwiąc z prawa rozkradać narodowy majątek, bajdurząc po staremu o rencistach, emerytach, bezrobotnych.

Wszyscy bez wyjątku służyli oną sowieckiemu okupantowi, wyrażając zgodę i aktywne przyzwolenie na realizację masowego unicestwienia i ludobójstwa najlepszych Synów i Córek Polski. Współdziałając czynnie z sowieckim ludobójcą bezpośrednio czy pośrednio sami stawali się mordercami własnego Narodu.

#### Etap.

Nadszedł wreszcie ten oczekiwany z napięciem wielkim dzień, gdy do zatłoczonej celi wszedł strażnik i wyrzekł sakramentalne słowa: "Sobierajties z wieszczami!".

Wiedzieliśmy już napewno, że idziemy na etap. W okresie śledztwa

słowa "Sobierajties z wieszczami" miało znaczenie wielorakie: przeniesienie do innej celi, innego więzienia, wyprowadzenie na egzekucję, ~~in~~ a czasami - ach, ta ludzka naiwność - możliwość wyjścia na wolność.

Rzecz to szczególna, kto przeszedł sowieckie przeszkolenie-wie, że trafiając w ręce NKWD - już się z nich nie wychodzi. A jednak za każdym razem, gdy usłyszysz słowa "sobierajties z wieszczami"- myślisz: a może jednak na wolność?

Stwierdzenie, że była to myśl całkowicie nierealna, a nawet bzdurna, przekonywująca było wtedy, gdy dotyczyła innych. Jednak gdy z parszywym tobołkiem pod wychudłą pachą wychodziłeś z celi sam- jak automat myślałeś tylko jedno: może na wolność.?

Chwile takie przeżywałem i ja wielokrotnie i mimo nabytego już doświadczenia i doznanych zawędów ludziem się nadzieją, myśląc jak ograniczony umysłowo naiwniak. Gdy raz jeszcze wychodziłem na dudka, przypominałem słowa doświadczonego już w łagrach "zeków", którzy niezłomnie przypominali: "Naszli czelowieka-najdietsa i paragraf".

Jest jeden przypadek, o którym nie wspomnieć nie mam prawa, gdy słowa "sobierajties z wieszczami" nabierały znaczenia wyjątkowego. A były one wypowiedziane w celi skazanych na karę śmierci.

Trafiali do niej ludzie wprost z sali sądowej (z piwnicy sądowej) po ogłoszonym już wyroku śmierci. Czas przebywania w takiej celi był różny: tydzień, dwa, miesiąc, rok czasem, nawet i dłużej... Niezbadane są bowiem wyreki krenlewskich ludobójców. Skalę przeżyć skazanych i oczekujących każdego dnia egzekucji ludzi- wyobrazić trudno.

Człowiek jest świadomy, że dni jego życia zostały już ograniczone do nie określonej bliżej jednostki czasu. Myśl, że skazany został niesłusznie, że jest niewinny, nie ma już żadnego znaczenia i o tym właściwie już nie rozważa. Żałując życia, myśli jedynie o śmierci.

Dla KGB liczy się tylko statystyczny, kolejny więzień skazany na karę śmierci, który przysperzył im tylko dodatkowych obowiązków.

Dla skazanego to piekło przeżyć. Pragnienie życia jest u każdego go zapewne człowieka jednakowo wielkie. Zarówno u tego, kto jest narodowym bohaterem jak i tego, kto ma już za sobą kilka zabójstw niewinnych ludzi.

Przyjść po ciebie mogą już za chwilę, za godzinę, jutro lub za miesiąc, ale ty musisz być przygotowany na każdą z tych ewentualności. Cały wasiłek myślowy takiego człowieka, filozofa czy niepiśmiennego, skupiony jest tylko i wyłącznie wokół jednego: kiedy przyjdą po mnie???

Przeżywa to duchowo i organicznie. Chce tego, czy nie. Działa rozgorączkowana maksymalnie podświadomość i wyobraźnia, wyczułone i podeksytowane, wybiegające już poza granice samokontroli. Koszmar tłoczących się do głowy nieustannie przeżyć koncentruje się wciąż wokół tylko przyjścia strażnika do celi oraz nieświadomości, kiedy to nastąpi.

Mózg pęcznieje od daremnych domysłów, zozżarzone świdry penetrują wszystkie jego zakamarki, przemieniając go w końcu w pulsującą boleśnie i na wpół odrętwiającą masę.

Znałem przypadek, opowiadano mi to już w łagrze, że pewien lejtnant sowiecki przesiedział w celi śmierci wraz z kilkoma innymi ponad rok, aż ~~został~~ zamieniono im na dożywocie. I sprawa tu nie w zawikłości prawnej. Zmiana wyroku leżała już w biurku prokuratora od roku, chodziło jednak o świadome "dobijanie" psychiczne skazanego już człowieka, "wroga narodu". Tylko w jednym z gabinetów ktoś powiedział: niech się swełacz trochę pomęczy!.

Warto, myślę, nad tym się zastanowić i przeżyte w celach takich ludzkie cierpienia przeliczyć na jednostki czasowe.

Rok czasu. Jeden tylko rok, ale to 365 rozgorączkowanych dni i tyleż nie przespanych nocy, to 8760 długich jak wieczność godzin i 525,600 nie kończących się nigdy minut ciągłego pieklenia się w tym samym kołowrotku, strachu, rozpacz i niepewności losu, który rozstrznie się być może i za minutę. Ta nie kończąca się szar-

panina z nieodwołalnością wyroku i własną ludzką słabością przeżera człowieka na wskroś, paraliżując niekiedy całkowicie jego umysł i organizm.

Tylko zastanawiając się nad tym zrozumieć i ocenić możemy w jakimś stopniu ogrom przeżyć ofiar i miarę cynizmu zbrodniczego kanta. Znajdą to dobrze doświadczeni od dziesięcioleci w tym zawadzie siepacze Jagody, Jeżewa, Abakumowa, Sierowa i Berii przeszkoleni praktycznie na 50-70 milionach (wedle statystyki sowieckiej) skazanych i zamordowanych ludzi.

Jest w tym postępowaniu niewątpliwie metoda uśmiercania ludzi, jest również ogrom barbarzyńskiego i bandyckiego cynizmu, które były nieodzowną, składową częścią wdrażania najlepszego ustroju świata- komunizmu.

Nie wszystkim jednak zamieniano karę śmierci na 20 czy 40 lat katorgi. Niektórym wyznaczona godzina X przychodziła nieodwołalnie. Wchodził wtedy do celi strażnik i choćby był tylko jeden więzień- sprawdzał jego personalia. Wyprowadzał go z celi. Tu czekał na nich strażnik drugi. Jeden z nich prowadzi, drugi pochód zamyka. Na podwórzu, pod ścianą z bali zawiąza mu oczy. Jeżeli stawiąc będzie opór, zawiąza mu drutem kolczastym ręce i zaaplikują zastrzyk odejmujący mowę. Bowiem więzień nie może zakłócać ciszy więziennego podwórza. Ma być całkowita cisza.

Salwa z automatu z tłumikiem załatwia sprawę. Więzień pada na ziemię, nie wydając dźwięku. Ciało wrzuca do ciężarowego samochodu. Muszą śpieszyć. Będzie ich sz tej nocy kilkunastu. Zakopią pokryjono w zbierowej mogile. Noc pokryje tajemnicą. Zawsze w nocy.

W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku strażnicy powrócą do swych domów. Zasiadą z rodzinami przy wspólnym stole, i wesołe gawędząc posilać cię będą śniadaniem. Jakże to w ich życiu proste, łatwe i bezkonfliktowe. ~~Przez~~ Zabijanie ludzi i dobro komunizmu pokrywa się ze szczęściem rodzinnym. Poprostu jak w "skazce", tylko tej nocy mieli nieco więcej roboty z wrzucaniem pomordowanych

do dołu.

Opisany wyżej sposób wyprawiania ludzi w zaświaty bywa niekiedy wielce kłopotliwy. Nie wszyscy bowiem w chwilach takich są posłuszni. Nie wszyscy też godzą się na bierność w obliczu jawnego zamiaru wykonania na nich kapturewego wyroku. Dojść może wtedy do zbędnej szamotaniny, a może i desperackiej walki. Jest to kłopot zbędny, którego należy unikać. "Uciszenie" niepekornego też kosztuje sporo wysiłku i nerwów. NKWD ma wszak na takich wypróbowane już sposoby "bezkonfliktowe".

Strażnik pyta naprzykład więźnia czy nie potrzebuje pójść do lekarza. Przyczym propozycję tę składa w formie tak serdecznej, że nawet wielokrotny recydywista skłonny przyjąć to za dobrą monetę. Liczy również na ewentualną możliwość do ucieczki. Wyraża więc zgodną potrzebę.

Lekarz ujmuje swoją uprzejmością. Dokładnie bada, pyta o wszystkie delegliwości, sprawia naturalne wrażenie człowieka, chcącego przyjść z pomocą. Potwierdza też słyszana już pogłoskę, że w więzieniu panuje od pewnego czasu zakaźna choroba. Proponuje więc szczepienie zapobiegawcze. Jak chęć wolności u więźnia zaczyna kłkować myśl, że skoro lekarz proponuje zastrzyk zapobiegawczy to znaczy, że nie mają zamiaru wykonania na nim wyroku śmierci. Ten jeden tylko procent nadziei sprawia, że wyraża swoją zgodę. Lekarz dokonuje szczepienia zabezpieczającego.

Po powrocie do celi (okazji do ucieczki nie było) więzień poczuł się zdecydowanie lepiej. Przestał też myśleć o egzekucji. Wizyta lekarska otworzyła przed nim nowe, jaśniejsze horyzonty życiowe.

Za chwilę zjawił się znów strażnik. "Sobierajcieś z wieszczami!" powiedział brzniającym głosem.

z miejsca - lecz głos jego brzmiał tym razem jakoś łagodniej. Dwóch strażników, on w środku, szli ku wyjściu. Idący z tyłu strażnik podniósł rękę z naganem do wysokości głowy. Zwoleńnik język spustowy. Na tłumiony, metaliczny trzask odpowiedziało w korytarzu głucho echo. Ofiara osunęła się cicho na posadzkę.

Już po wszystkim... Jedno zadanie zostało dziś wykonane z udziałem troskliwego lekarza. Nie doczekał się biedak oczekiwanego ułaskawienia. Nie spełniło się także marzenie spotkania się z ukochaną żoną i małym synkiem, o których myślał przez wszystkie dni i godziny przez 8 miesięcy przebywania w celi śmierci... Zamknięta została jeszcze jedna karta pojedynczego człowieka.

"Sobierajtjes z wieszczami" wypowiedziane ~~xxix~~ przez strażnika w więzieniu Łukiskim 4 lipca 1945 roku miało dla mnie, w porównaniu z wyżej opisanym, znaczenie łaskawsze. Było wyjściem na etap.

Z tą chwilą rozpoczynał się w życiu moim nowy zupełnie rozdział akowskiej autobiografii. Wiedziałem co prawda tylko jedno, że czeka mnie długa i uciążliwa droga w głąb Rosji, w nieznane zupełnie warunki klimatyczne, pracy, reżymu i bytowania.

Ustawianą na zewnątrz muru więziennego kolumnę czwórkową, otoczoną ze wszystkich stron licznym, uzbrojonym w automaty kenwojem i zgrają ujadających wściekle, trzymany na smyczy wilczurów - ruszone w stronę dworca kolejowego, odległego o 2 kilometry od więzienia.

Była godzina 4-ta nad ranem. W mieście obowiązywała godzina policyjna od 22-giej do 6-tej rano. Ulice były puste. Kolumna posuwała się jak przez miasto wymarłe. W czasie tej wojny Wilno bombardowane było trzykrotnie: dwa razy przez Niemców i w lipcu 44 przez Rosjan. Około 40-50% domów stało w gruzach.

Szliśmy ulicą Ad. Mickiewicza, a po obu jej stronach straszły ruiny powalonych i spalonych napalmem budynków. Stojące gdzieś niegdzie pojedyncze kominy sterczały jak ciemne, sadzą opalone kikuty. Przeróżającą pustką patrzyły na nas czarne, bezkształtne otwory okien, wyrwane pociskami z ram drzwi i potrzaskane w drzazgi meble, wystające częściowo z pod zwalów gruzu. To smutne pogorzeliśko pięknego kresowego miasta zdawało się mówić: byliśmy świadkami tragicznych scen niszczenia polskiego, narodowego mienia, ludzkich nieszczęść, przeżywanych tragedii i śmierci wielu mieszkających tu ludzi.

Z pulsującego engis wielokulturowego miasta wiało pobojewiskiem zniszczeń i grozą wywołanej przez dwa sąsiadujące z Polską totalitaryzmy. Był to jednocześnie zgotowany nam los za lojalną walkę u boku Aliantów.

Nagle opustoszała ulica zapełniać się zaczęła kobietami i dziewczynami, które wybiegały ze zrujnowanych budynków, trzymając w rękach koszyki, paczki i zawiniątka. Wierne matki, żony i siostry czuwały przez noc, albo dwie w tych gruzowiskach, aby swoim bliskim przekazać na drogę kawałek chleba, główkę cebuli i słowo serdeczne darzonej miłości.

Źwarne się też zrobiło od nawoływań po imieniu. Szukały Kazików, Andrzejów, Lenków, Tadzików, Brenków... Równocześnie rozlegały się groźne komendy strażników: "Nielzia padchediŭ, budu strelaŭ!

Jednak daremne były groźby i zakazy strażników. Niewiasty ~~przez~~ ~~kiwaŭ~~ ~~xwxk~~ ~~kaŭ~~ ~~nia~~ ~~ix~~ ~~swi~~ ~~ix~~ ~~h~~ ~~h~~ ~~isk~~ ~~ix~~ ~~x~~ ~~ax~~ ~~ka~~ ~~w~~ ~~ix~~ ~~ix~~ ~~ix~~ rwały się do kolumny, aby przekazać paczki, a kenwejenci zagradzali dostęp automatami, odpychali je kolbami, nie szczędząc również razów i plugawych pożałanek.

Kolumna była wciąż w marszu. Niewiasty biegły po obu jej stronach, szukając swoich mężów, synów, braci. Szczute i gryzione przez psy krzyczały z bólu, padały i podnosiły się z ziemi, nie dając za wygrane w swoich poszukiwaniach.

Znalazłszy- rzucały w kolumnę ~~swój~~ ~~przyni~~ <sup>trzymane w rękach</sup> zawiniątka, szczęśliwe i zapłakane, manifestując jeszcze gestami i słowami uczucia szczerzej miłości. Niektóre z nich, nie znalazłszy swoich, przekazywały paczki najbliższemu idącemu, wycofując się w głąb chodnika smutne i zapłakane, ale i z nadzieją, że najdroższy im w tej chwili człowiek uniknął wywózki, a być może zwolniony powróci szczęśliwie do swego domu. Patrząc na oddalającą się kolumnę już z dala, czyniły ręką znak krzyża wołając: Niech Bóg Miłosierny ma was w swej opiece!

Mojej Mateńki i sióstr nie było. ~~Na~~ ~~ix~~ ~~ix~~ ~~ix~~ Cieszyłem się w duchu, że informacja o tym etapie nie doszła do nich. Los zaoszczędził im scen i obrazów, których nie byłyby w stanie zapamiętać, a mogły też być następstwa jeszcze bardziej poważne.

Żegnając swoje rodzinne miasto, uniknąłem tragicznej sceny pożegnania z Matką, lecz w trzy lata później, już w łagrze nr 6 na Warkucie dosięgła mnie kłopotliwa wieść o śmierci Najukochańszej, w aureoli Świętej chodzącej na tym świecie Istoty - mojej Matki. Świat cały zawalił mi się wtedy pod nogami.

Stojąc wtedy przed bramą wyjściową łagru na 50-stopniowym mrozie, rażony otrzymaną informacją jak pierunem myślałem: aresztowany niemal z ulicy, wywieziony pokryjono w nocy - niepożegnałem się z Matką. Teraz odeszła na zawsze Oha, nie mogąc pożegnać się ze mną. Boże! - Dlaczegoś taki niesprawiedliwy i okrutny!?

Już w kraju dowiedziałem się, że te 4-y lata Naszej rozłąki spędziła we łzach. Do dziś noszę to w swoim sumieniu.

Dantejskie sceny z niewiastami towarzyszyły kolumnie aż do samego dworca kolejowego, do chwili zakładowania nas do krzywych, towarowych wagonów pociągu.

Gdy pociąg już ruszył - myślami byłem w rodzinnym domu, zadając sobie wciąż jedno tylko pytanie: Czy wrócę tu jeszcze kiedykolwiek??

Opuszczałem to miasto w poczuciu niespełnionych zadań, młodzieńczych planów i zamierzeń oraz ciążyących na mnie jako obywatelu i żołnierzu obowiązków, których wykonanie zaręczyłem złożoną w konspiracji przysięgą!

Do wagonów wtłoczone po 50-ciu ludzi. Zadrutowane drzwi i okienka zostały jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym. Jechaliśmy na wschód. Na stykach zużytych szyn rozpędzane koła uderzały jak po grzebnowe dzwony. W migającym przez zadrutowane szpary krajobrazie uciekało Wilno... Oddalał się co raz bardziej rodzinny dom, bliscy ludzie i przyjaciele, całe dotychczasowe młodzieńcze życie...

Jedynym wyposażeniem wagonu była stojąca pośrodku "parasza". Metr kwadratowy brudnej podłogi był całym dobrodziejstwem w tej o niewiadomym celu podróży. Suchy prowiant: chleb i solona ryba, rozdawane tylko na krótkich postojach pociągu, których częstotliwość była wypadkową przypadku i dobrej woli konwoju alarmowanego przez



głodnych i spragnionych wody więźniów. Stosunek konwojowanych do konwojentów wyrażał się w powtarzającym się stale dialogu, w którym więźniowie prosili stale o jedzenie, a strażnicy odpowiadali: "Padażdi, nie padochnisz!".

Napełnione solą rybą jelita słały nieustannie sygnał z żądaniem wody, a upośledzony już długim okresem niedożywiania mózg usiłował tłumaczyć, że spełnienie tego żądania w biegu pociągu jest rzeczą niemożliwą. Oba te przejawy znęcania się nad ludzkim organizmem wkalkulowane są jednak w sowiecki kodeks ideowy, okrzepiające skuteczne metody "pierewospitanija" zdrajców i wrogów narodu.

Wysoka temperatura otoczenia i brak świeżego powietrza w wagonie dobijał ludzi słabych. Leżeli pekotem. Słychać było słowa odmawianej ciche modlitwy.

W czasie postoju porcje chleba zdobywane drogą wymiany na ubranie, jeżeli kto posiadał takowe. Pośrednikami w tym handlu ze strażnikami byli (skąd oni się tu wzięli) sowieccy kryminaliści. W skali ~~WZŁASU~~ stanowili oni milionowe rzesze wszelkiej maści złodziei, nie nierobów, cwaniaków, zwyrodnialców i bandytów wychowanych już w najlepszym ustroju świata - w sowieckim komunizmie.

W czasie każdego postoju sprawdzano dokładnie wagony. Ostukiwano je młotkiem ze wszystkich ~~szkarn~~ sześciu stron. Sprawdzano też stany liczebne ludzi w każdym wagonie, niekiedy i kilkakrotnie. Do czynności tych przykładali wagę szczególną, największą. Musieli dobieżać wszystkich do wyznaczonego miejsca! Odpowiadali za to swoją głową!

Po kilku dniach jazdy stwierdziliśmy znaczną zmianę krajobrazu. Stawał się coraz bardziej otwarty, opustoszały, jałowy, smutny. Ludzi widziało się rzadko. Pojawiały się natomiast pejzarze powtarzające się rodzajem zabudowy, która wywoływała dziwne skojarzenia.

Były to ogrodzone podwójnie drutem kolczastym czworołuki, z wierzyczkami strażniczymi po rogach i zabudowane kilkudziesięcioma jednakowymi barakami. ~~Edzie~~ nigdzie tylko krzątali się tam poje-

dyńcze ludzie ubrani w watowe, szare, jednakowe ubrania. Zaiste, smutny był to widok. A na nas, do oglądania obrazów takich nie przyzwyczajonych powiało grozą. Pierwszy raz w swoim życiu oglądaliśmy obozy przymusowej pracy. Był to przedsmak tego, co było jeszcze przed nami, ale nas czekało.

Zamkniętym tam ludziom drut kolczasty wytyczał życiową przestrzeń. Wierzyce stały na straży określonego reżymu bytowania i panującego tu ustroju.

Jechaliśmy dalej wciąż w tym samym północno-wschodnim kierunku i ciągle w tym samym groźnym, odstrasającym człowieka normalnego pejzazju obozów przymusowej pracy. Zmieniały się tylko lokalizacje ich położenia względem kierunku jazdy: leżały raz z jednej, raz z drugiej strony toru. Ponadto nie różniły się od siebie niczym.

W połowie drogi między Moskwą i Werkutą, w dopływie rzeki Wyczegdy do Dwiny leży znaczące gospodarczo i politycznie miasto Kotłas. W nim to znajduje się ważny szalenie dla Komi ASSR w Komi ASSR Punkt Przesyłkowy tzw. "Pieresylnyj Punkt".

Tu właśnie uczyniono nam przerwę w podróży, która jak się wkrótce okazało miała decydujące znaczenie dla naszego dalszego losu. Bowiem "Pieresylnyj Punkt" spełniał tu rolę Urzędu Pośrednictwa Pracy, który zaspakajał potrzeby republiki Komi ASSR w darmową siłę roboczą.

Drogę z dworca kolejowego odbyliśmy oczywiście pieszo pogani niani przez liczny pluton kenwejentów z psami. Nikt z napotkanych przechodniów temu się nie dziwił, bowiem sceny takie oglądali często i od wielu już lat.

Po przybyciu na miejsce poddano nas z miejsca <sup>nazwijmy je</sup> zabiegom ~~kos-~~ metycznie-higjenicznym. W ogromnej sali kazano się rozebrać do naga, a ubranie złożono w hańdę przed ogromnym hermetycznie zamkniętym piecem, który w pierwszej chwili skojarzył się nam z sowieckiej konstrukcji piecem gazowym do likwidacji ludzi. No cóż, skojarzenia to rzecz ludzka, a po "doświadczeniach" śledczych byliś-

my przygotowani i na komory gazowe. Hitler przejął od Stalina pomysł na obozy karne, mógł więc odwdziaczyć się przekazując plany konstrukcji pieców gazowych.

Przed wejściem do łaźni każdy musiał wykonać kilka głębokich przysiadów w rozkroku. Asystujący przy tym strażnik pilnie śledził, czy aby nie schował kogoś w pewnym wstydliwym miejscu jakiegoś zakazanego przedmiotu. Takim przedmiotem może być ciężka piłka do cięcia metalu, kawałeczek ostrza noża, którymi w dalszym transporcie posłużyć się można do wycięcia otworu w wagonie i zbiec. To się nazywa sowiecka przezerność!

Zamiast mydła wlane każdemu na dłoń naporstek ciemnej mazi. Starczyło mi tego luksusu jedynie do umycia głowy. Z umyciem reszt całego ciała musiałem poczekać do następnej okazji. Wyprażone w międzyczasie w piecu dezynfekcyjnym ubrania, wyrzucone na brudną posadzkę czekały już na nas, buchając odorem brudu, ludzkiego potu i uśmieconych wszy.

W poszukiwaniu ubrania własnego, każdy przerzucić musiał setki innych. Znalazłszy, ~~był to jakiś kawałek materiału~~ choć wyglądało jak wyciągnięte psu z gardła, cieszył się szczerze, że nie ukradli. A gdy łańchy te włożyłem na siebie, spoglądałem na innych z politowaniem, ~~przypomni mi bowiem przypomnieli mi~~ bowiem przypomnieli mi przykościelnych żebraków, a ja sam byłem jednym z nich.

Była to jednak refleksja tylko przelotna, cóż bowiem w chwili jak ta znaczyć mógł wygląd człowieka, gdy ważył się jego los, który mógł być wyrokiem nawet śmierci. Rozeszła się bowiem pogłoska, że do Kotłasu przyjechali przedstawiciele różnych zakładów pracy po "odbiór" zamówionych wcześniej robotników. Nabraliśmy nagle ceny handlowej, ktoś nas sprzedawał i ktoś nie znany kupował.

Dwa tylko czekały nas rodzaje pracy: w kopalniach lub przy wyrębie lasu. Węgiel kamienny to praca pod ziemią, ciężka i niebezpieczna. Lepsze nieco tylko, mówili, było tam wyżywienie. Praca na powierzchni w klimacie arktycznym wydawała się mniej groźna i niebezpieczna, ale straszyla mrozem i gorszymi warunkami bytowymi.

Właściwie nikt z nas nie znał warunków życia w łagrach sowieckich, nie mogliśmy więc sądzić i oceniać, gdzie będzie lepiej i korzystniej, a gdzie ciężiej i gorzej. O przydziale decydował ktoś bez nas i za nas.

Wyglądająca na rzezimieszków Komisja dokonała tylko przeglądu wzrokowego, jeden z nich wypełniał dwie listy. Nikomu nie powiedziano do jakiej zaliczony został grupy. Wszystkie w tajemnicy, jak podczas śledztwa.

### Werkuta.

Już tylko na samo wspomnienie tego słowa, choć przeszło już od tego czasu 33 lat, popadam w zadumę z dreszczykiem, który przechodzi po całym moim ciele. Porwał nas nagle straszliwy wichur wojny, przerzucił o 3000 kilometrów na północ, a wyłaczany w pagony czekiści powiedziano: "Zdiesz budiesz p rabotat' i zdiesz uże padochnisz!"

Po 10 dniach podróży w bydzących wozach transport wileńskich akowców przybył do Werkuty 15 lipca 45 roku o 3-ciej nad ranem. Wygłodniałych, strudzonych i ledwo trzymających się na odrętwiałych nogach wypychano z wagonów kolbami automatów, z nieodłącznym tasieniem ordynarnych wzywków i pokrzykiwań. Sformowane czwórki kolumny do marszu. Czekano nas jeszcze droga w nieznaną.

Archaiczny teren zabudowy został szybko za nami. Wyszliśmy na pełną drogę w otwartym jak okiem sięgnąć dzikim terenie. Tylko gdzieś niedaleko zieleniły się niskie, wątko krzaki kosodrzewiny, workuciej tundry. Kolumna rozciągnęła się nadmiernie. Słabsi pozostawiali w tyle. Pokrzykiwania i ponaglenia konwojentów nie zmieniały sytuacji. Ludziom brakowało sił. Niektórych z nich wspomagali kole-dzy, prowadząc pod rękę. Ostatnich popychano, grożono zastrzeleniem, szczerzo psami.

W pewnym momencie minęliśmy jakiś łagier, który swoim wyglądem przypominał nam obóz w Oświęcimiu. Szliśmy jednak na przelaj dalej, nie wiedząc jak długo jeszcze trwać będzie nasza droga.

Będąc już u kresu sił, odczuliśmy ulgę: przed nami zarysowały się kontury ogrodzonych drutem kolczastym baraków.

### Lagier Nr 6.

Strudzoną wielce kolumnę więźniów zatrzymane przed bramą wejściową jakiegoś obozu. Konwój przekazał teczkę strażnikowi z wartowni łagru. Otwarto bramę. Rozpoczęto liczenie wchodzących pojedynczo do łagru więźniów. Za ostatnim zamknięto bramę. Z tą chwilą staliśmy się katorżnikami łagru Nr 6 Werkuckiego ~~WŁAGU~~, "Werkutugál", adres oficjalny, zaszyfrowany brzmiał: SSSR, MWD, ITL "Z", skrz.poczt. 175-22-6. Ten niewinny kod sprawiał, że społeczeństwo sowieckie nie wiedziało o istnieniu ~~WŁAGU~~.

Z miejsca dokonany został przydział do baraków i brygad roboczych. W "kaptierce" wydano wszystkim watowe ubrania, trzewiki i czapki "uszanki". Każdemu przydzielono numer, który odąd służył mu zamiast nazwiska. Katorżanin oznakowany był trzema numerami: nad kolanem, na plecach i na czapce. Napisany czarną olejną farbą na białej łacie, którą należało wszyć w miejsce wyciętej na ubraniu. Odąd katorżanin był stworzeniem bez nazwiska, a w przypadku wydeścia się z łagru ubranie z numerami zdradzało, że jest przestępcą, a udzielenie mu jakiegokolwiek pomocy jest zakazane.

System numeracji polegał na tym, że do każdej z 26 liter resyjskiego alfabetu przydzielano 999 więźniów, co pozwalało zanumerować 25,974 ludzi. Numerując kolejnych więźniów, stawiano przed każdą literą cyfrę 2.

Funkcję administratora obozu spełniał wyższy oficer NKWD, zwany Naczelnikiem. Jego zastępcą był politruk za propagandę oraz rzekomą resocjalizację więźniów, która w praktyce była jedynie fikcją.

Nad utrzymaniem reżymu w łagrze czuwał oficer KGB <sup>zwanym</sup> "Operupolnemoczen", zwany potocznie przez więźniów "kumem". W łagrze o katorżańskim wielkości 3000 więźniów miał on do pomocy jeszcze dwóch oficerów KGB. Rolę sekretariatu tego działu spełniała "Spec-czast", z jednoosobową obsadą, będącą również pracownikiem KGB.

Zadaniem administracji było wykonywanie przez więźniów ustalonego odgórnie planu produkcyjnego, utrzymanie ich w karbach surowe-

go reżymu przy jaknajmniejszych nakładach ekonomicznych.

W barakach mieszkało po 100 ludzi. Z desek zbita prycza i obok stojąca szpitalna szafka to całe umeblowanie do dyspozycji więźnia. Jeszcze do użytku wszystkich stojące po środku baraku 2 prymitywne stoły i kilka taboretów to umeblowanie dla 100! ludzi, dla 100 górników górników.

Zamiast 100 drogich szaf ubraniowych - jedno ciasne, małe pomieszczenie w baraku. Ściany najeżone białymi gwoździami. Na nich to po przyjściu z pracy katerzanie powieszają swoje mokre od potu waciaki, śmierdzące dółką katerzniczą onuce. Nazajutrz nałożą je znów na siebie. I tak codziennie, przez rok, przez lat kilkanaście...

Kosztowne kaloryfery i instalacje ogrzewcze są zbędne, są to wszystkie wymysły zachodnich burżujów i wyzyskiwaczy. W baraku rolę tę spełniał murewany zwykły piec ~~pr~~ ze stalową płytą grzewczą, która dodatkowo spełniała funkcję płyty dezynfekcyjnej. Mianowicie po pracy więźniowie kładli na nią noszone przez dzień koszule. Koszule tańczyły po rozpalonej płycie tak długo, aż wszystkie wszy zostały uśmiercone. Coprawda pozostawał po nich odurzający odór, ale nikt już przez kilka dni nie kasał.

Obsługę baraku stanowią dwie osoby: "staresta" (przewrotnie) oraz "dniewalny". Pierwszy "szefował" (wszak był starestą), drugi był pomocnikiem. Obaj byli inwalidami, bez jednej ręki lub nogi. Palili w piecu, sprząтали, zaopatrywali w wodę. Otrzymując topornie wykonane protezy stawali się znów pożytecznymi robotnikami, potwierdzając jeden z dogmatów socjalizmu, że "kto nie pracuje - ten nie je".

Podstawowym dogmatem funkcjonowania socjalizmu jest decesionizm. Na tej właśnie zasadzie sprawowania władzy powstało używane przez kagiebiistów powszechne twierdzenie: "My wiecie najlepiej, goworzą prawdę". Nie mogło też być inaczej i w Łagrach, gdzie pracowała ogromna rzesza funkcjonariuszy NKWD i KGB.

Metody pozyskiwania decesionistów, "stukaczy" stosowali przeróż-

ne. W środowisku, w którym wszyscy byli głodni i zróżnicowani narodowościowo oraz ideologicznie, KGB wysilać się zbytnio nie musiało. Znacznie więcej wysiłku włożyć musieli, aby utrzymać to w tajemnicy i nie narazić swoich "pomocników" na karę ze strony więźniów.

A kara była tylko jedna: wyrok śmierci. Do baraku wchodziło trzech zamaskowanych więźniów. Podchodzili do skazanego. Jeżeli spał-budzili. Ogłaszali rodzaj przestępstwa i wydany wyrok. Nożem załatwiano resztę. W baraku toczyło się pozornie "normalne" życie i nikt już potem niczego nie wiedział o tym wydarzeniu. Tylko "staresta" z obowiązku zgłaszał dyżurnemu strażnikowi o śmierci jednego z mieszkańców jego baraku.

Prowadzone potem przez "kuna" dociekliwe przesłuchania nie przynosiły efektu. Był taki okres, że po wykonaniu kilku takich wyroków padł strach na wszystkich w łagrze "stukaczy", a "Oper" stanął przed przykrą alternatywą osamotnienia w swojej pracy. Wydano więc wnet ustawę, która miała temu zapobiec: wykonawcy samosądu karani byli śmiercią. Nie zmieniło to jednak stosunku więźniów do "stukaczy". Denosicielstwo jako takie zawsze jest rzeczą haniebną, wyrazu moralnie obydłego nakiera i szeregelnego nabiera wtedy, gdy na współpracę z katami godzą się ich byłe ofiary.

### "Stacjonary".

Niemal połowa znajdujących się w łagrze baraków zajęta była na "Stacjonary" to znaczy szpitaliki. Na ogólną ilość 3000-3200 więźniów w "Stacjonarach" leżało ok. 1200-1400 ludzi. Byli to ludzie młodzi, ~~wxwixkux22x22ixixk~~ przeważnie w wieku 20-30 lat. Był to logiczny wynik głodowych warunków bytowych, ciężkiej i niebezpiecznej pracy w kopalni oraz stosowanego w łagrze reżymu.

"Stacjonary" niezym się nie różniły od baraków mieszkalnych, tylko większą utrzymywane tam czystość i zamiast zbędnej "suszyłki" posiadały pomieszczenie dla lekarza i zabiegowe. ~~wraz~~ Funkcje lekarzy pełnili więźniowie i tak się jakoś dziwnie składało, że w każdym łagrze wśród więźniów była odpowiednia ilość lekarzy. Wiemy nie od dziś, że NKWD "pracowało" planowo, i dysponując odpowiednimi paragrafami

"starało" się, aby nie zabrakło ich również i dla lekarzy.

Stan zdrowotności więźniów badała Komisja Lekarska, która w składzie kilku lekarzy-więźniów, lekarza NKWD i przedstawiciela administracji łagru dokonywała 3 razy w roku ogólnego przeglądu. Badania miały charakter powierzchowny, decydował wygląd zewnętrzny, a "troska" ta wynikała jedynie z prostej kalkulacji, aby stosunek leżących do pracujących nie wzrósł za wysoko i nie zagroził wykonaniu planu produkcji. A taki stan rzeczy świadczyłby już o dokonaniu "wreditelstwa" przez administrację obozu.

Głównym więc zadaniem Komisji Lekarskiej było wykłapanie z pośród pracujących tych najbardziej wychudzonych i skierowanie ich do "stacjonaru". Diagnozę nieprzydatności tymczasowej do pracy wystawiano niezawodnym systemem wzrokowym:

Więzień stawał przed Komisją jedynie w kalesonach lub, jeżeli posiadał, spodenkach sportowych. Na komendę obracał się do Komisji tyłem, opuszczając spodenki lub kalesony do kolan. Wysoka Komisja, szczególnie lekarz KŁB i przedstawiciel administracji, oglądała obnażone pośladki. Jeżeli stwierdzono, że ta właśnie część ciała przestęczyła się w dwa płaskie wiszące flaki-było oznaką całkowitej "distrofii" i więzień taki kierowany był już do "stacjonaru".

Owa hospitalizacja polegała głównie na zwolnieniu od obowiązku codziennej pracy. Osłabiony do granic organizm pogrążał się w długi, nieprzerwany sen, regenerując samoistnie część utraconej energii. Tymbardziej, że tu w przeciwieństwie do baraku pracowniczego spał na wypchanym słomą sinniku. To był luksus.

Chory opuszczał pryczę tylko na spożycie posiłku. Wstawał powoli, zmierzał do swego miejsca przy stole w linii najkrótszej, aby utraczona w tym wysiłku energia była jaknajmniejsza. Postępowali tak wszyscy bez wyjątku, choć nikt nikogo w tym nie pouczał. Instynkt samozachowawczy podpowiadał widać każdemu z nich to samo: Zachowaj siły i energię na jutro, ponieważ nie wiadomo, co stać się może za chwilę.



W "stacjonarze" wyżywienie było na granicy wegetacji. W ustroju socjalistycznym człowiek ~~nie mógł~~ <sup>nie pracujący</sup> jednak jeść lepiej, aniżeli trudzący się pod ziemią górnik. Obowiązujący tu "kocioł" kalorycznie stanowił ok. 50% górniczego, z którego korzystał pracujący, a ~~strafiając kukukska kucjanom~~ po paru miesiącach miał już "distrofię".

Sam fakt, że nie pracował i spał do <sup>woli</sup> ~~zry~~ sprawił poprawę samopoczucia, mógł <sup>już</sup> poprawnie chodzić. A to oznaczało, iż mógł pójść do kuchni, aby tam "dorobić" na dodatkowy kawałek chleba, na miskę bylejakiej bałandy,

Gdy ktoś w "stacjonarze" umierał, nikogo to nie dziwiło i nie obciążało. Wszyscy zdążyli już się przyzwyczaić, że każdego dnia ktoś umiera i kogoś już "wolnego" wynoszą w tundrę.

Nie było leków, ale były chirurgiczne operacje. Praca pomocnicza w kuchni, do której rwali się wszyscy czujący się już na siłach choroby, jednym przyносиła wymierne korzyści, dla nie jednego kończyła się nawet śmiercią. Bywało, że wygłodzony stacjonarnik, wykorzystując chwilową nieuwagę kucharza, dopadał kotła i zjadał pół wiadra kaszy naraz, dostając przewrotu kiszek.

Z miejsca szedł pod nóż chirurga-katerżnika, Wiktora Timofiejewicza Zubkowa. Nie zawsze jednak kończyły się operacje takie pomyślnie dla pacjenta. Inni dla odmiany, obawiając się ciężkiej pracy w kopalni, czasami na kilka dni już przed wypisaniem ze "stacjonaru", połykali jedną lub dwie aluminiowe łyżki. Trudy czekającej ich operacji oraz okres rekonwalescencji "stacjonarnej" były dla nich tą zdobyczą, dla której decydowali się na ten sposób przedłużenia okresu, w którym nie pracowali. Jednak przed wypisaniem ze "stacjonaru" odbywali karę 5-7 dni karceru wymierzonego przez "Opera" za unikanie pracy.

Tym desperackim nastrojem wśród więźniów Administracja Łagru starała się przeciwdziałać, prowadząc stałą pracę propagandową. Funkcjonujący w Łagrze dział polityczno-propagandowy "Ka-We-Cze"- "Kulturalno-Wospitatielnaja Czast'" - produkowała niezliczoną ilość

sloganowej treści afiszów, nawołujących do zdwojenego wysiłku produkcyjnego na cześć rewolucji, partii i Stalina. W skali całego ŁAŁU marnotrawione olbrzymie ilości papieru, materiału, <sup>fr</sup>fr, drzewa. W łagrach nikt tego nie czytał, mało, ~~patrz~~ jeżeli kto patrzył na to-to z obrzydzeniem i nienawiścią.

Środem zmuszane do pracy, terrorem utrzymywane dyscyplinę, za odmowę pracy rozstrzeliwano bez sądu. Produkcja szkła, system działał.

### "BUR"

"B.U.R." - "Barak Usilenego Reżima". Już sama nazwa wyjaśnia i straszy jednocześnie. Byłem jego przymusewym lokaterem w swojej łagierniczej karierze dwukrotnie. Nie muszę więc w relacji swojej w tym przedmiocie ubiegać się o informacje pośrednie.

Wyglądem zewnętrznym nie różni się od innych, jest tylko o połowę krótszy. Wewnątrz wyposażony jest w ciągnące się po obu stronach piętrowe prycze ciągle. Przy drzwiach wejściowych piec ogrzewczy. Prycze to tylko deski.

Zawsze zlokalizowany jest w rogu obozu, niedaleko wartowai. Ogródzony ze wszystkich stron drutem kolczastym. Część tego baraku, z oddzielnym, niezależnym wejściem była pozbawiona ogrzewania. Miała szereg cel-karcerów. Wyposażeniem karceru była zabudowana na całą szerokość piętrowa, drewniana prycza, bez pościeli.

"BUR" był karą dyscyplinarną, kierowano tam na okres 1-3 miesięcy. Jeżeli pobyt w łagrze był ciężką karą i męczarnią to w "BUR"ze musiało być znacznie gorzej. Uzyskiwano to całkowitą izolacją, głodowym żywieniem i brakiem świeżego powietrza.

"BUR" był postrachem dla wszystkich, wsadzano tam dla podtrzymanie dyscypliny i reżymu w zależności od sytuacji w łagrze i produkcji. Nie ogłaszano nawet za co zamykają i na jak dłużej. To ostrzej działa. Gdy była potrzeba rzekome naruszenie przepisów fingowano przy współudziale "błatnych", którymi "Oper" posługiwał się do wszelkich ~~akcji~~ wymierzonych przeciwko więźniom politycznym akcji.

Po trzech miesiącach pobytu w "BURze" wyszedłem wraz z kole-

gami na chwiejnych nogach, z mchem szarym pokrytą twarzą i wystającymi jak u Azjatów kośćmi policzkowymi. Patrząc sobie w oczy, nie mogliśmy siebie wzajemnie poznać. Powrót do łagru, który dotąd był piekłem na ziemi, był dniem prawdziwego szczęścia.

Mój trzymiesięczny pobyt w "BURze" wraz z kolegami: Olkiem Zarzyckim, Kazikiem Cisem, Lenkiem Blinstrubem, Józefem Zwinogrodzkiem, Andrzejem Rymaszewskim oraz Cześkiem Wasilewskim poprzedzony był dokonaniem przez strażników odkryciem miejsca zakopanych kilka noży. Po tym fackie zamknięto nas w "BURze". Chociaż my nie mieliśmy z tym nic wspólnego, wszyscy w łagrze więźniowie mieli prawo sądzić, że wykryte noże były nasze i dlatego zamknięto nas za karę.

K&B wykryło, winnych ukarano, zwiększone poczucie strachu wśród więźniów, a więc cel główny akcji został osiągnięty. O to właśnie chodziło "Kumowi". Raport do centrali również był pozytywny i dowodził o partyjnej czujności łagrowych politruków. Jeszcze kilka takich "udanych" akcji i awans z dobrą w dodatku premią gotowy.

Część wydzielona stanowiła karcery, to rozdział oddzielny. O ile pobyt w łagrze określimy jako "ciężki" - to spędzenie 3-5-7 dni w karcercie stawało się ofiarą ducha i ciała, której wielkość ocenić nie sposób. Spróbuję to opisać. Przekonamy się, że aby człowieka bestialsko zmaltretować - nie potrzeba go torturować. K&B zna takie sposoby.

Wypełniane w łagrach akty samobójstwa traktowane jako wydarzenia tragiczne, mimo to uważano je za coś również normalnego. Dokonywano je w przystępach rozpacz, ze świadomości zgetowanego już do końca życia okrutnego losu, a więc beznadziei i utraty resztki wiary w cokolwiek, że się to jeszcze kiedyś odmieni. Obracając się stale w tym koszmarnym marazmie myśli i dolegliwości ciała, ludzie byli poprostu nieszczęśliwi.

Jednak gdy wracali z karcercu znów do tego samego wszak łagru, doznawali przedziwnego wrażenia, że nagle wygrali najszczęśliwszy los na loterii. Dziwnie jakos jest skonstruowana ta psychika człowieka.

Gdy ma tak źle, iż myśli już tylko o samobójstwie, trafia nagle do karceru i dowiaduje się, że tu jest jeszcze gorzej, a wracając w drodze "okazanej" łaski do warunków poprzednich - doznaje naturalnej ulgi.

Wiedzieli o tym dobrze stalinowscy oprawcy. Tę również dziedzinę wiedzy o psychologii więziennej mieli rozpracowaną w szczegółach. Budując system GULAGU, aby on funkcjonował - w tym więzieniu w skali masowej stworzyć musieli również więzienia grupowe i indywidualne tzn. "BURY" i karcery.

Karcer to instytucja w łagrze specjalna. W klimacie arktycznym nabiera on cech szczególnych. Małe, nieogrzewane pomieszczenie. Na ścianach srebrzy się warstwa szrenu. Malutkie, zakratowane okienko z szybą pokrytą rzeźbionym w paprocie lodem. W kącie kibel. Pod sufitem błyska zawieszona na zgiętym drucie mała żarówka.

A ty jesteś w nim sam i tylko w bieliźnie. Przez 3 pierwsze dni tylko 300 gramów kłajstrowatego chleba i kubek sławnego w całym Związku Sowieckim "kipitku". Każdego następnego dnia jeszcze miskę rzadkiej kawy "bałandy" - to jest gorącego wywaru z bydlęcej rzepy zwanej "turnepsem". Czasami znajdowało się w niej ślady rozgotowanej na miazgę solonej ryby "treska".

Racja iście głodowa, ale człowiek był do tego już przyzwyczajony. W łagrze jadło się mało lepiej, a trzecha było jeszcze ciężko pracować i wystawać godzinami na siarczystym mrozie.

Męką piekielną była walka z zimnem. Wspomniałem słowo Karcer, a już lodowate zimno przeszło po całym moim ciele. Na głód był wypróbowany już sposób: należało go przecierpieć. Przed zimnem człowiek był zupełnie bezradny.

Już po godzinie pobytu w karcerze bielizna stawała się lodowatym, przylegającym do całego ciała gorsetem. Ratowałem się będąc w ciągłym ruchu: marsz, gimnastyka, masaż całego ciała.

Marsz to 3 kroki tam i z powrotem. gimnastyka w pozycji siedzącej na pryczy: wymachy zwieszonych lekko nóg i rozrzucanych w bok rąk. Dopóki starczyło sił i skłonności coraz bardziej woli. Szybko



W łagrze walka z głodem jest cierpieniem zarówno fizycznym jak i psychicznym. Jednak możliwość snu regeneruje częściowe utraczone siły i zdolność myślenia.

W karczerze przeciwko człowiekowi sprzęgły się wszystkie cierpienia: głodu, bezsenności i zimna. Jednocześnie, w jedną, ciągłą, bolesną udrękę.

Podobne próby przechodziłem w Workucie kilkakrotnie. Przechodzili je i inni moi przyjaciele, akowcy: Kazik Cis, Józef Zwinogrodzki, Karol Pras. Były w tym tragicznym procederze momenty również budujące jak poczucie solidarnych ofiar. Doznawałem tego zawsze z nie żyjącym już (świeć Mu łaską, Panie!) Olkiem Zarzyckim. Wszystkie jakie tylko odbyłem "BURy", karcery i karny obóz nr 11 po strajku w 1953 odbyliśmy razem. Czasami w różnych celach, ale w tym samym czasie i za to same dokonane rzekomo przestępstwo czy naruszenie przepisów. Powtórne więzienie i śledztwo: sierpień 1950 - - styczeń 1951 również.

Dziś mógłbym na ten temat powiedzieć tylko jedno: po raz drugi prób tych bym nie wytrzymał. Mówię szczerze. Raczej popełniłbym samobójstwo.

Ludzie słabsi fizycznie i mniej odporni psychicznie warunków tych nie wytrzymywali. Słabli. Wynieszone ich półprzytomnych do "stacjonarów", gdzie dopiero po kilku dniach odzyskiwali świadomość tego, co przeżyli. Nie dla wszystkich kończyło się to szczęśliwie. Niektórzy, zapadając w rezultacie na zapalenie płuc, kończyli śmiercią.

Taki był właśnie karczer... workucki.... w eszrenionej celi... Trochę pośpieszyłem z tą oceną. Był jeszcze karczer- z kaftanem bezpieczeństwa. Były też jego ofiary- żywi ludzie. Jednej takiej sceny byłem świadkiem. w łagrze nr 5.

W karczerze, w sąsiedniej z moją celą przebywał Rosjanin, oficer Armii Czerwonej Stiepan Michajłowicz Siemikina. Pracował w jednej z moją brygadzie. Przyjaźniliśmy się nawet. Nie wiem, za co посаdzony został do karczeru. Bierąc udział w wojnie, był dwukrotnie ranny i tyłu odznaczony za dzielność i odwagę. W jednym z "kotłów"(jakich było sporo) trafił do niemieckiej niewoli.

Ponieważ sam się nie zastrzelił, stał się "wrogiem narodu", za co otrzymał 20 lat katorgi i wyładował w Werkucie.

Chyliło się już ku wieczorowi, gdy Ściopa ( nazywaliśmy go tak zdrobniale) zastukał do drzwi sw celi.

Tubalne strażnika: "podożdi!"- "Nie imieju wremieni!"- było reakcją strażnika, który oddalił się gdzieś wgłąb korytarza. Zaległa cisza.

Ratując się przed zimnem, gimnastykowałem się siedząc na prycy, gdy Ściopa zastukał po raz drugi.

Tym razem strażnik nie reagował wogóle. Jakby nie było go w pobliżu. Tylko mroczna cisza jak gradowa chmura wisiała w huku powietrzu. Są cisze, które uspokajają i przynoszą ulgę, koją. Ta wisiała w powietrzu sygnałem potrzebującego pomocy człowieka. Wyczuwało się, że człowiek był w naglącej potrzebie.

Rozległo się wnet stukanie po raz trzeci. Tylko tym razem trwało ono dłużej i było bardziej donośne.

Odpowiedzią nanie były szybkie kroki wychodzącego na zewnątrz strażnika. Zaległa tym razem cisza groziła odwetem. Nie zdążyłem jeszcze skupić się nad wynikłą sytuacją, gdy usłyszałem liczne kroki biegnących po korytarzu strażników.

Zatrzymali się przy celi Stiepana. Zgrzytnęła chrapliwie zasuwą otwieranych drzwi.

"Wychadi!" - zakomenderował jeden z nich. Stiepan nie zareagował. Kilku weszło do celi. Szmer, hałas i głos Stiepana: "Nie taszczytie! - Sam pajdu!"

Przyszli go zabrać - pomyślałem. W tym momencie jakby przez zaciskane przez kogoś usta rozległ się głos Stiepana! "Ja prasił tolke wady!".

Słuche uderzenie padających na podłogę ciał przerwało jego wypowiedź. Z dochodzących odgłosów toczonej na korytarzu walki oraz krótkich słów strażników wnioskowałem, że Stiepanowi strażnicy zakładają kaftan bezpieczeństwa.

~~Wszystcy strażnicy znają z wypowiedzi doświadczonych już odnoś-~~  
Łagiernicy znają sposób zakładania kaftanów bezpieczeństwa z wypowiedzi innych, którzy doświadczyli to już na sobie.

Powalonego już na ziemię w kaftanie bezpieczeństwa człowieka należy utrzymać w pozycji twarzą w dół. Dwóch strażników trzyma go w tym momencie za nogi i głowę, podczas gdy dwaj inni klękają na jego plecach, przyciskając do ziemi. Trzymając w rękach dwie długie ponad miarę rękawy i nogawki kaftana, wiążą je w jeden zaciskający się stopniowo węzeł.

Proces zaciskania węzła jest kulminacyjnym punktem tej karnej i niebezpiecznej operacji. Dłonie i stopy nóg przyciągane w ten sposób coraz bliżej siebie powodują wygięcie całego ciała na wzór napiętego łuku. Zaciskany wciąż nad plecami człowieka węzeł wygina coraz bardziej korpus i kręgosłup ofiary, aż następuje moment, w którym traci przytomność. Pozostaje teraz strażnikiem wylac tylko na głowę nieprzytomnego człowieka kubeł zimnej wody oraz zdając kuf z niego kaftan bezpieczeństwa.

Ekspedycja karna wykonała swoje zadanie. Ofiarę wrzucono do celi.karceru. Czas jeszcze jakiś, już przez "judasza", strażnik obserwować będzie, czy więzień zdolny będzie wstać o własnych siłach na nogi. Bywało bowiem, że skutki takiej operacji były tragiczne. W przypadku naruszenia kręgosłupa człowiek zostaje już do końca życia inwalidą. Paraliż kończyn dolnych.

Sparaliżowani młodzi ludzie przeżywali tragedię swoją w sposób, który poruszał niekiedy serca nawet najstarszych łagierników. Przeżyłem dwa przypadki, gdy dwaj sparaliżowani młodzi Ukraińcy popełnili samobójstwo. W nocy powiesili się na swojej pryczy.

Ściopa, na szczęście, zabieg z kaftanem zniósł w miarę bez tego rodzaju następstw. Skarżył się tylko potem czas jakiś na bóle krzyża. Jednak zahartowany w bojach i wszelkich trudnościach życiowych znosił dzielnie i tę jeszcze jedną w życiu swoim dolegliwość. Stać go było jeszcze na żarty i humor, z którego był znany i lubiany przez wszystkich,

W 1955 wyszedł z łagru na tzw. "wolneje posielenije" bez



prawa wyjazdu z Warkuty. Ożenił się też wkrótce z katorżanką, która jak on skorzystała z dobrodziejstwa i spóźnionej o lat 12 sowieckiej sprawiedliwości.

Oboje byli tym niezmiernie szczęśliwi jakby otrzymali w nagrodę Nobla, a system sowiecki pozyskiwał tanim kosztem dwoje robotników.

#### Trud katorżnika.

Workuta liczyła w tym czasie około 100 tysięcy ludności, w tym ok. 90% więźniów, przeważnie katorżan-ktr. Metropolia to główna siedziba KGB i partyjnej administracji, wokół kilka osiedli rejonowych i kilkadziesiąt rozrzuconych w tundrze na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów łagrów katorżańskich i obozów z k. tzw. "zeków". z wyrokami do 10 lat.

Dziś wiele się tam zmieniło. Po dawnych łagrach, śmierciotwórczych "Burach" i karcerach sterczą jeszcze tylko pojedyncze jak wyrok krzyczące pochyłone czasem słupy, ślady powalonych, zgniłych ścian, w tundrze spotyka się skupiska sterczących z pod mchu wyzywające ludzkich kości.

Jak po zniszczonej Sodomie pozostanie po tej Workucie już na zawsze upiorna legenda masowych tortur, cierpień i masowego ludobójstwa, która straszyć będzie workuckie dzieci, a dorośli przekazywać ją będą z pokolenia na pokolenie do końca już świata.

Głównym, niemal jedynym bogactwem tej ziemi są zalegające na głębokości 1000 metrów cenne pokłady węgla kamiennego. Złoża te znane były już w okresie carskim. Jednak ze względu na surowy bardzo klimat arktyczny uważano, iż tereny te nie nadają się do zasiedlenia ludnością, a więc i eksploatacji.

Twórczy i przodujący socjalizm i genialny Stalin problem ten rozwiązał łatwo i szybko: rozpoczął erę pięciolatek, budowy strojek komunizmu, tworząc na takich właśnie terenach obozy przymusowej, niewolniczej pracy. Rozpoczęto budowę kopalń, a przy każdej obóz przymusowej pracy na ok. 3000 ludzi.

W roku 1945 czynnych było już ponad 20 kopalń, które tworzy-

ły Workuckie Zagłębie Węglowe pod nazwą "WORKUT-USOL". Podobne "strojki komunizmu" i łagry powstawały w odległych, arktycznych, syberyjskich rejonach ZSSR. Tak powstał stalinowski 20-tomilionowy ~~UŁAŁ~~.

Pracę w kopalni prowadzono na 3 zmiany w ruchu ciągłym. Nawet ~~50%~~ 50-ciostopniowe mrozy, co w Workucie uważano za rzecz normalną, nie zwalniały od niej. Siarczyste mrozy przeplatały groźne śnieżne burze tzw. "purgi".

"Purga" to pędzący z szybkością ok. 100 kilometrów na godzinę wiatr, niosący z sobą kilometrowej może wysokości nawałnicę śniegu, który zasypywał po drodze wszystko: drogi, domy, baraki po komin. "Purga" trwała nieustannie przez dobę, dwie, niekiedy i trzy.

Do walki z odśnieżaniem uruchomiano wtedy brygady więźniów. Odśnieżanie-"śniegoborba" trwało tak długo, aż wszystkie drogi i komunikacyjne przejścia zostały oczyszczone.

Więźniów oprócz ciężkich warunków bytowania dobijała świadomość pracy dla wroga. Zmora zgotowanego nam losu oraz całkowita bezbronność rodziły myśli najczarniejsze. Znali dobrze te warunki oficerowie śledczy, gdy mówili strasząc milczących: "Pasłom tiebia, gdzie biełyje miedwiedi. Zyt tam budiesz, no jebatnie zachoczysz"!

Sentencja wulgarna i rubaszna, ale dosadna i prawdziwa. Ulubienica Stalina Wanda Wasilewska myśl tę również wypowiedziała bez poetyckich metafor: "Ich razstreliwat' nie nado, ani tam sami dajdut"!

Zdrajczyni Polski i agentka moskiewska zawarła w słowach tych cały ogrom swego zezwierzęcenia, cynicznego okrucieństwa, sadyzmu i moralnego upadku.

Pod jej te epikuńczymi skrzydłami przechowali się przez lata wojny w Moskwie tacy plscy "patrioci" jak Jędrychowski, Putrament, Sztachelski i kilku innych im podobnych zdrajców polskiego Narodu, założycieli późniejszych tzw. "Komitet Polskich Patriotów".

Dziś brzmi to cynicznie i trąci ironią, wtedy - każdemu Polakowi na Kresach groziło lufą rewolweru albo daleką zsyłką na Sybir.

~~Tyko~~~~xx~~~~200~~~~xx~~~~kilometrów~~~~xx~~~~ziemi~~~~xx~~~~Werkucie~~~~xx~~~~xx~~~~Marza~~~~Karskiego~~

Werkuckie złoża węglowe odznaczają się dużą gazowością, dlatego też wymagały intensywnego przewietrzania, co w konsekwencji obniżało znacznie temperaturę wyrobisk dołowych.

Na dole pracowano w waciakach. Shwilowa nawet bezczynność powodowała marznięcie. Obowiązywała za to wysoka norma, którą każdy katorżanin musiał wykonać. Niewykonanie jej powodowało ~~obniżenie~~ ~~niżenie~~ <sup>obniżenie</sup> racji wyżywieniowej i dodatkowa praca na drugiej zmianie.

Brygady musiały w komplecie wyjść do pracy, a po jej wykonaniu w komplecie wrócić. Gdy jeden choćby miał pracę dodatkową - brygada czekała go na mrozie przed bramą.

Grubość pokładów węgla była różna, od 0,8 do 3 m. Przy pokładzie 0,8 m fedrowano w pozycji leżącej. Śmierć czyhała właściwie wszędzie, jednak najczęstrze wypadki miały miejsce na "ścianach" i "filarach" wydobywczych. Braki w technice katorżanie uzupełniali zdwojonym wysiłkiem fizycznym, płacili własnym i bez tego nadwątlonym już zdrowiem, przeliczając to na dodatkowe gramy chleba.

Wypadki zdarzały się niemal każdego dnia. Ludzie ginęli pod zwalami skał, od wybuchów gazu Metanu i pyłu węglowego lub przy pracy w transporcie urobku. Nikt nikogo z tego tytułu nie rozliczał, wszak ginęli katorżanie, których skazano na zagładę. Liczyła się jedynie produkcja, wypełniony plan, a laury zbierali partyjni poganiacze.

W latach 1945-48 śledziłem w pamięci statystykę umierających i tych, którzy zginęli przy pracy. Miesięcznie wynoszono z zony w tundrę od 100 do 200 ludzi. Ludzie w wieku 20-30 lat. Niektóre wypadki przy pracy były wręcz wstrząsające. Oto niektóre z nich.

Pracowałem w pewnym okresie czasu w charakterze ślusarza maszyn. Wezwany na miejsce awarii szedłem głównym chodnikiem kopalni. Reflektor przy hełmie rzucał snop światła przede mną.

W pewnej chwili światło mego reflektora padło na idącą ~~w kierunku~~ na przeciw ~~zienną~~~~przekład~~ w ciemnościach postać. Byłem zaskoczony, ponieważ wbrew przepisom tajemnicza postać poruszała się w kopalni

bez reflektora. Muszę się przyznać, iż w pierwszej chwili obleciał mnie strach.

Kopalnie workuckie kryją w sobie wydarzenia przeróżne, a o wielu z nich krążyły legendy niesamowite. W głębinowych ciemnościach ~~przez~~ popełniono niejedną zbrodnię, mającą charakter porachunków osobistych. Opowiadali o tym starzy więźniowie, niekiedy i naoczni niemal świadkowie.

Światło reflektora skierowałem na głowę zbliżającej się postaci i - przeszyło mnie całego lodowatym dreszczem. Ujrzałem zniekształconą i krwią zalaną twarz człowieka. A może to nie człowiek - pomyślałem i przestraszyłem się jeszcze bardziej. Pot zimny wystąpił mi na twarzy, przypomniałem bowiem w tym momencie rozgłaszane tu o powieści o zaginionych w kopalniach ludziach, których nigdy nie udało się już potem odnaleźć.

Gdy zbliżające się do mnie widmo wydało jakieś nieartykułowane dźwięki - struchlałem zupełnie. Widziałem teraz w tej postaci zamordowanego kiedyś, a dziś pokutującego ducha, który cierpi tu, błąka się i straszy?

Przyszła jednak wnet chwila refleksji. Usłyszane przed chwilą dźwięki były reakcją na rzucony przeze mnie na niego snop światła. Być może odczuł to fizycznie i odpowiedział na to jak mógł - tłumaczyłem sam sobie, aby się uspokoić nerwowo.

Zbliżyłem się już spokojniejszy nieco do niego, pytając: "Czto słuczyłość?". Co się stało? I oświetliłem z bliska stojącego przede mną katorżanina. Twarz miał zmasakrowaną, bezkształtną i zakrwawioną. Szczególnie lewa jej strona pokryta była grubą warstwą spieczonej i z pyłem węglowym przemieszanej krwi.

Stojący przede mną katorżanin wskazał jedynie ręką, że nie może mówić. Podeszedłem już bezpośrednio do niego i biorąc ostrożnie pod rękę, poprowadziłem w stronę szybu. Wyjechaliśmy razem klatką szybową na powierzchnię, skąd pieszo i pod konwojem odprowadzono go do łagru. Przekazany został do "stacjonaru".

O szczegółach tego wypadku dowiedzieliśmy się dopiero po wy-

jeździe z kopalni dwóch innych pracujących z nim górników, którzy wyszli z tego ze znacznie lżejszymi obrażeniami.

Wypadek miał miejsce w przedku chodnikowym, w którym pracowała pięcioosobowa załoga. Odpalony węgiel ładowano do kopalnianych wagonów. Ładowacz, pracując przy załadunku, uderzył łopatą w kawałek węgla, detonując niewidoczny nabój z zapalnikiem. Dwóch ładowaczy poniosło śmierć na miejscu. Stojący w pewnej odległości przodowy otrzymał silne uderzenie urobkiem w głowę. Dwaj przetokowi odnieśli tylko lekkie obrażenia ciała.

Przodowy, odzyskawszy po pewnym czasie świadomość, postanowił iść do szybu głównego o własnych siłach. Był górnikiem doświadczonym. Wiedział, że chcąc pójść do szybu głównego należy iść pod prąd świeżego powietrza. Nic nie widząc - szedł na wyczucie. Dotykając ręką jedną ociosu wyrobiska, utrzymywał od niego odpowiednią odległość. Szedł tak aż do spotkania ze mną.

W "stacjonarze" przeleżał pół roku. Miał złamaną nasadę nosa i utracił jedno oko. Nasycona pyłem węglowym twarz została ~~zabarwiona~~ <sup>zabarwio-</sup> na małymi ciemno-sinymi centkami już na zawsze. Z inwalidzką już kategorią zdrowia zatrudniony został w jednym z baraków jako "dniewalny". Został inwalidą, ale cieszył się, że nie skierują go już do pracy w kopalni.

W kopalni SZU-2 miał miejsce inny, nie mniej tragiczny wypadek. Górnicy fedrowali węgiel z górnej ławy na niżej położony chodnik, do stalowego bunkra, z którego ładowano do górniczych wagonów.

Bunkier przestał w pewnej chwili odbierać węgiel. "Dziesiatnik" - sztygar zmianowy szedł na dół stwierdzić przyczynę postoju.

Pod bunkrem stał pociąg. W kabinie elektrowozu siedział oparty nieruchomo o ścianę maszynista. "Dziesiatnik" krzyknął z daleka: "Czto słuczyłoś, poczemu nie gruzisz uгля?".

Maszynista elektrowozu nie odpowiadał. "Dziesiatnik" podszedł do elektrowozu. Zajrzał do kabiny i.... oniemiał z przerażenia. Maszynista był bez głowy. Kurtka czerwieniła się od spływającej po niej krwi. Spojrzał szybko poza elektrowóz. Niedaleko, na torze leżała ludzka głowa.

Przebieg zaistniałego przed chwilą wypadku stał się czytelny. Siedząc w kabinie elektrycznego maszynisty chroniony jest stalowym daszkiem. Aby sprawdzić całość pociągu, musi wstać i wyjrzeć poza daszek ochronny. Uczynił to zapewne przed wjazdem boć bunkier nie widząc, że jest już blisko. Wjeżdżając pod bunkier w pozycji stojącej- został zgilotynowany.

Był to oczywiście wypadek nieszczęśliwy, tragiczny. Śpieszył poganiany ciężącym na nim nakazem wykonania dziennego planu. Starzał się zarobić, zapracować raczej na kromkę dodatkowej porcji chleba. Nie otrzymał chleba i utracił życie...

Dziś w gabinecie K&B "Oper" powie zadowolony drugiemu jak on: "Odin izmiennik siehodnia padoch, no i ch.. s nim"!

Czy trzeba raz jeszcze przypominać, że w kopalni, a w workuciej szczególnie śmierć czyha na każdym kroku i w każdym miejscu. I zawsze przychodzi jak złodziej, najmniej spodziewana.

Jeszcze jeden wypadek, tym razem na filarze wydobywczym kopalni nr 14. Był to już piąty mój z kolei łagier pracy.

Filar - to pochyłe wyrobisko wydobywcze. W swojej górnej części filar zabezpieczony jest "organami", to znaczy podwójnym szeregiem obok siebie stojących drewnianych stojaków, podpierających strop górotworu. Filar położony powyżej "organów" jest wyrobiskiem już wyeksploatowanym i podsadzonym skałami zwanymi "podsadzkę", natomiast filar zalegający poniżej zabudowanych "organów" jest wyrobiskiem eksploatacyjnym.

Na filarze prycowało 5 górników. W celu sprawdzenia stanu zabudowy "organów" "dziesiątnik" wysłał doświadczonego górnika, zwanego cieślą oraz pomocnika, ponieważ w kopalni nigdy nie pracuje się pojedynczo.

Obaj udali się na górny chodnik, z którego mieli dokonać zalecanej kontroli. Gdy dotarli na miejsce, cieśla powiedział pomocnikowi: Zostań tu na chodniku, a ja rozeznam tam sytuację.- oddalając się w stronę "organów".

Trwało to jakiś czas. <sup>2</sup> Na <sup>1</sup> dolnym filarze górnicy w między-

czasie "odpalili" partię węgla, przygotowując się do jego załadunku.

Nagle rozległ się trzask pękających "organów" oraz łomot spadających w dół lawiną kamieni i skał. Pracujący na filarze górniczy w mig zrozumieli, że "organy" nie wytrzymały naporu "podsadzki" i za chwilę runie na dół groźna śmiertelnie lawina skalna.

Jedną tylko była droga ucieczki: na dolny chodnik. Dopadli go w oka mgnieniu, a w tym samym czasie huk stu piorunów rozległ się niemal jednocześnie i sto podobnych ech odpowiedziało mu serią grzmotów złowieszczego, to nieposkromiona masa skalna pędziła gwałtownie w dół, wypełniając szybko całą wolną przestrzeń dolnego filara.

Ta lawina skalna to małe kamienie, większe, ale również i tonę wążące odłamy granitu. I ta olbrzymia masa niszczącej wszystko na swojej drodze nawały, pędząca w dół z coraz to większą siłą i prędkością to moc i potęga nieposkromionej przyrody, z którą samotny, zdarza się, człowiek spotyka się na głębokości kilometra pod ziemią i więcej.

Cieśla był przy "organach", gdy zauważył pierwsze pęknięcia na stojakach i pojedyncze trzaski. Był to niechybny sygnał, że zmasowany za "organami" górotwór "pracuje" i lada moment runie z impetem w dół. Zorientował się, że niema już czasu na powrót drogą, jaką tu przyszedł. Skoczył więc szybko w dół, licząc że zdąży dopaść chodnika dolnego.

Nie zdążył. Będąc w połowie jeszcze filara, usłyszał trzask łamanych skutecznie "organów". Dopadł jeszcze najbliższego węglowego ociosu, wcisnął się głębiej w jego szczęśliwe miejscowe zagłębienie, gdy huragan grzmotów i pędzących z wyciem w dół skał przeleciał obok niego, oparł się w dole o zabudowę chodnika dolnego i zamarł nagle ciszą cmentarną jakby za chwilę chciał ruszyć dalej.

Cieśla stwierdził, że był całkowicie unieruchomiony. Nie mógł poruszyć żadną częścią ciała ani na jeden milimetr. Jego głowa, korpus, ręce i nogi przyciśnięte zostały do ociosu skałami. Stał się zakładnikiem śmierci w skalnym, podziemnym zatorze.

Po chwili na chodniku dolnym zebrała się garstka górników zaalarmowani odgłosem awarii przybiegli tu z pobliskich wyrobisk. Była wśród nich również piątka górników pracujących na tym filarze, Pytano, czy kogo brakuje. Zanim jednak padła odpowiedź- w zwałowisku skalnym rozległ się jęk człowieka.

Nie było wątpliwości, że w tym zawale znajdował się żyjący jeszcze człowiek, który sygnalizował swoją tam obecność i prosił o pomoc.

Jak jednak do niego dojść i co najważniejsze- kto zdecyduje się i odważy przeciskać się jak wąż między ziejącymi śmiercią skałami, gdy każda z nich może w każdej chwili się poruszyć i ciebie zmiażdżyć.

"Ja pajdu"- rzekł ktoś z głębi i oczy wszystkich jak pociągnięte sznurkiem manekiny ~~zwróciły się~~ skierowały się w stronę mówiącego. "Zawtra w takim położeniu magu byt'ja"- dodał jakby do siebie i wzięwszy do ręki stałową "brechę" <sup>Iwan Bachwałow</sup> przeciskał się już między skałami w głąb piekielnego rumowiska.

Za chwilę zniknął nam z oczu jak ryjący się w ziemię kret. W tym momencie ~~szmer~~, Z tego samego zdawało się miejsca, człowiek zajęczał po raz drugi. Zapewne usłyszał rozmowy ludzi na chodniku, i sygnalizując swoją obecność, prosił o pomoc. Mógł przecie być także i ranny.

Czas wydłużał się w nieskończoność. Górnicy, skrywając swoje zdenerwowanie, zabawiali się w prognostyki odnośnie losu uwięzionego w zawale człowieka.

Z zawału doszedł nagle ~~szmer~~ jakiś szmer, a wkrótce ~~znajdującym~~ w jednym z ~~otworów~~ otworów ukazał się hełm górniczy oraz czołgający się z trudem Wania Bachwałow. Tuż za nim posuwał się wolno i ciężko oddychając cieśla Michaił Biełousow.

Gdy obaj stanęli już na równych nogach na ~~sk~~ w chodniku- cieśla poderwał się niespodziewanie do ucieczki. Po przebiegnięciu kilku zaledwie metrów <sup>z jękiem</sup> upadł na spód chodnika. i z kwazą wykrzywioną od bólu twarzą.

Podbiegło do niego szybko kilku górników z pomocą. Jednak Michaił wstrzymał ich ruchem znaczącym ręki, wskazując na swoją nogę. Spoj-



A już nazajutrz jak uderzenie obuchem w głowę była wiadomość, że mój wczorajszy biesiadnik i bliski mi człowiek powiesił się w suszycie na skręconym z porwanej na pasy z bielizny sznurze.

Dlaczego tak postąpił - pytałem wówczas sto razy siebie. Pracował w "kaptiorce", praca lekka, chleba też mu starczyło. Więc dlaczego targnął się na swoje życie, o które wiem, iż dbał myśląc o swojej rodzinie. Możemy nad tym się zastanawiać i domyslać, tajemnicę tę zabrakł Razmus ze sobą do workuckiego pod mchem grobu, od którego zawsze tak uciekał...

Był jednak w życiu Razmusa pewien wątek, który na decyzję tę mógł mieć wpływ znaczący. Opowiadał mi kiedyś jeszcze o listach pisanych przez żonę, która skarżyła się, że była wielokrotnie niepokojona przez KGB. Żądali od niej, aby wyrzekła się na piśmie swego męża jako "zdrajcy narodu". Gdy odmówiła, szykanowali ją i straszili zwolnieniem z pracy. Miała na wychowaniu dwoje drobnych jeszcze dzieci. Niepokoiła się możliwością utraty pracy. Dzieliła się tą wiadomością z mężem w listach.

Martwił się też z tego powodu Razmus. Ubolewał, ale był bezradny. Poradził żonie, aby podpisała KGB jak tego żądają, co nie ma jednak znaczenia na łączącą ich wzajemną miłość. Przy okazji pocieszał, że jak wróci - wszystko będzie jak dawniej i znów będą szczęśliwym małżeństwem.

Były niesprawdzone pogłoski, że dzień przed śmiercią otrzymał list od żony, w którym mu doniosła o podpisaniu oświadczenia o wyrzeczeniu się męża. Cały ten wieczór Razmus chodził jak struty. Gdy sam radził żonie, aby "świstek" ten podpisała - kierował się dobrem żony i dzieci. Gdy otrzymał wiadomość, iż żona się go wyrzekła - mógł tego uderzenia psychicznie nie wytrzymać. Mógł tego nie wytrzymać, jak było naprawdę - niewiadomo.

Innego dnia strażnik z budki strażniczej zastrzelił zbliżającego się zbyt blisko do ogrodzenia starszego już wiekiem więźnia. Mówiono, że to syn zabił swego ojca, który dowiedziawszy się, że syn

ma służbę- chciał z nim porozmawiać. Jednak instrukcja NKWD okazała się dla syna ważniejsza od życia rodzonego ojca. A być może pismo o wyrzeczeniu się "zdrajcy narodu" partyjny synalek podpisał już dawno temu, i traktując to z całą powagą- z przestępcą rozmawiać już nie chciał. Prawdopodobnie. W Związku Sowieckim donosy syna na ojca i córki na matkę, które dla oskarżonych kończyły się wyrokami i zesłaniem do łagrów były rzeczą powszechnie praktykowaną. Działo się to wszak w Zw. Sowieckim.

Samobójstwa popełniano również w kopalniach. W starych, nieczynnych już, nie przewietrzanych i o dużym stężeniu gazów trujących znajdowali śmierć lekką i bezbolesną. KGB nie uznawało pojęcia ludzi "zaginionych". Dlatego ciała denatów ~~szukanych~~ poszukiwane zawsze tak długo, aż je odnaleziono. W tej diabelskiej skropułności chodziło KGB jedynie o to, aby rzekomy "denat" nie okazał się po pewnym czasie człowiekiem już na wolności.

Każdą śmierć w łagrze przeżywałem podobnie, błędząc w przeróżnych zawiłościach spraw ludzkich oraz dogm atów Beskich, te same zadawałem sobie pytania i wszystkie one nie doczekały się nigdy żadnej odpowiedzi. A było to zagadnienie bliskie bardzo dla każdego więźnia i łagiernika. Już podczas pierwszego śledztwa przeżywałem chwile, w których śmierć wydawała się jedynym rozwiązaniem.

Gdy jednak po tygodniu nieraz rozmyślań i walki z samym sobą przychodził moment, w którym podjąć należało decyzję ostateczną - stawałem nagle przed wpojonym od dziecka dogmatem, że Bóg dał życie i On jedynie może je zabrać. ~~Byłem przekonany~~ Uświadamiałem sobie wtedy raz jeszcze, że byłem człowiekiem wierzącym.

W łagrze umierali ludzie codziennie. Wynoszone ich na noszach w tundrę: dwóch więźniów i konwojent z automatem. "Wiecznaja mierzłata" ułatwiała pochówek: nie kopano grobu. Trochę mchu, trochę rękami nagarniętego śniegu załatwiało resztę. Zmarły podobno nie odczuwa mrozu, chowane nago z przywiązaną tylko do dużego palca u nogi deseczką, z wypisanym na niej numerem katorżańskim.

Nikt w łagrze nie wiedział, nie interesował się i nie chciał znać miejsca, w którym grzebią zmarłych więźniów. Nikt bowiem z żyjących nie dopuszczał myśli, że on również wyniesiony zostanie kiedyś w tę dziką tundrę i pozostawiony tam na pastwę polarnych sępów i lisów.

Grzebano w nocy, gdy jedni pracowali w kopalni, a inni spali w barakach. Nie należało straszyć. Mogłoby to wpłynąć ujemnie na samopoczucie tych, którzy jeszcze żyli i na śmierć musieli zapracować.

Dopiero po śmierci Stalina okazano katorżanom ołbrzymią łaskę i zezwolono chować w bieliznie. Przy tej okazji nie omieszkało nam wyjaśnić, że w dowód wdzięczności powinniśmy odpowiedzieć władzy sowieckiej zdwojonym wysiłkiem w pracy.

A był to czas pracy w ONZ Komisji Praw Człowieka i szczytnych hasel wolnościowych. Jednym z sygnatariuszy tych Państw, które konwencję tę podpisały, był gen. prokurator ZSSR Wyszyński, który na stawiane mu zarzuty o więźniach politycznych autorytatywnie zapewniał: "U nas niet polityczeskich zakluczonych. Jest tolko wremiennie izolirowannyje ugałownyje prastupniki".

Po takich oświadczeniach podpisywał deklaracje o ich przestrzeganiu, a po powrocie do ZSSR podpisywał wydawane przez "OSO" wyrki, w tym również i śmierci.

Pluton konwojentów odprowadzał kolumnę do pracy, a po pracy przyprowadzał do zony. Uzbrojonym konwojentom towarzyszyły jeszcze szkolone specjalnie psy owczarki. Przed każdym ruszeniem kolumny ostrzeżone: "Krok w lewo, krok w prawo uważany się za ucieczkę, strzelamy bez uprzedzenia!"

Choć nikt nigdy z kolumny takiej nie uciekał (wariatów takich nie było), zastrzelono w marszu takim nie jednego. Zdarzało się bowiem, że idący z boku kolumny więzień zauważył leżący na ziemi niedopałek papierosa i nachylił się, by go podnieść. Ten jeden krok uczyniony w stronę leżącego niedopałka była właśnie próbą ucieczki. Padał strzał zgodnie z instrukcją, a "czujny" krasnoarmiejec otrzymywał w zamian kilka dni urlopu i nagrodę.

Werkuckie "padiomy" pamiętam do dziś i nie zapomnę ich już nigdy. Śniły się mnie one jeszcze przez 20 z górą lat po moim już powrocie z czasów werkuckich. Jak po koszmarnych bataliach zrywałem się ze snu mokry z potu i przeżyć. Leżąc tak godzinami, nie mogłem już zasnąć i wstawałem z łóżka do pracy, mając przed sobą zaśniężone po komin baraki i chodzącego z kijem w ręce strażnika.

A odbywały się one tak:

Do baraku wchodził czasami i o 5 w nocy strażnik ( gdy brygada szła do stołówki jako pierwsza) i nieludzkim wprost głosem krzyczał: "Padiom!"

Pograżeni w głębokim śnie ludzie, na wpół jeszcze przytomni zeskakowali pośpiesznie ze swoich prycz, i wciągając na sienie nie wyschnięte jeszcze od wczoraj waciaki, wybiegali na zbity łeb z baraku, ponieważ ostatnich walił już kijem poganiający wszystkich strażnik.

Wykonawszy swoje zadanie zgodnie z ~~instrukcją~~ reżymową instrukcją strażnik wychodził z baraku ostatni, i będąc widocznie zadowolony prowadził brygadę na śniadanie. Katerżanin rozpoczynał więc dzień od ~~brutalnego~~ brutalnego przypomnienia, że ma tylko bezwzględnie słuchać i wykonywać polecenia, inaczej będzie bity.

#### Klimat, fauna, przyroda.

Werkuta położona jest za 67 równoleżnikiem, zwanym kołem podbiegunowym północnym. Na setki kilometrów dookoła rozciąga się monotonna, śniegiem pokryta równina. Surowa, dzika, pustynna, skuta przez 10 miesięcy arktycznym mrozem.

Śniegu po pas. Tylko gdzie niegdzie wystają z pod niego cienkie, zczerniałe, chybocące nieśmiało gałązki kosodrzewiny. A pod śniegiem śniegiem kobierzec mchu. Dwumetrowej grubości warstwa stale zamrożonej ziemi odtaja jedynie na 2-3 miesiące i tylko na głębokość 30 centymetrów, aby umożliwić wegetację wegetującej tu roślinności.

Istny cud Boski, że w warunkach arktycznych i w ciągu tylko tych paru miesięcy rośliny zdążą zapuścić w ziemię korzenie, przystroić się odświętnie w zielone szaty i zmagazynować w łodygach niezbędną do przetrwania przez okres kolejnej zimy ilość pokarmu.

W blasku letniego słońca oglądać można odległe o 70 kilometrów ośnieżone szczyty gór Uralskich, od północy wieją często mroźne wiatry oddalonego o 200 kilometrów Morza Karskiego, kraina lodów i białych niedźwiedzi. Dookoła widać tylko biegnącą do horyzontu śnieżną i bezkresną pustynię.

Ta skromna roślinność, na przekór wszystkim i wszystkiemu, rośnie tu, cieszy się z życia i nieprzerwanie trwa., przewyciężając siarczyste 40-50 stopniowe mrozy, buszujące często rozszalałe huragany i burze śnieżne zwane "purgami", po których nie widać z pod śniegu baraków i domów.

Ten dziki i surowy, nie pozbawiony uroku rejonarli ludzie, kierując się nienawiścią, uczynili z niego miejsce ~~niechętni~~ przymusowego odosobnienia, cierpienia i zagłady wielu narodów.

Wejłoki, waciaki i uszanka były strojem na co dzień i od święta. Odmrozić policzki - nic łatwiejszego. Dobrze, jeżeli ktoś to zauważy i powie: "Wy odmarozili siebie lico". Wtedy cierpliwe nacieranie zbielałego policka śniegiem aż się znów zaróżowi i kłopot z głowy. Jeżeli odmrożenie stwierdziłeś już po Przyjściu do ciepłego baraku - być mogą bolesne i przewlekłe: pęcherze, długie i trudno gojące się rany.

Rzecz godna wzmianki. W Warkucie przebyłem ponad 12 lat, omijając szczęśliwie odmrożeń, które były zjawiskiem powszechnym. Odmroziłem policzek i rękę w ostatnim! roku swego tam pobytu i to 25 maja!. To już prawdziwy pech. Było tak: siedłem sam (po strajkach) do pracy. Z prawej strony zacinał wiatr z wilgotnym śniegiem. Chroniłem się przed nim, stawiając niewysoki kołnierz oraz pochyleniem głowy do przodu. Śpieszyłem.

Idący drogą naprzeciw mnie człowiek powiedział: "Wy odmarozili ~~siak~~ siebie lico". Podniosłem szybko rękę dotykając prawego policzka. Poczulem kawałek zlodowaciałego drewna. Podziękowałem jeszcze przypadkowemu wybawcy, przystępując natychmiast do nacierania śniegiem. Gdy policzek stał się policzkiem - odmrożone były ręce. Powtórzyłem zabieg nacierania rąk. Uratowałem, ale przez kilka jeszcze lat po

powrocie do kraju chodziłem z zaczerwienionymi rękami.

Prawdopodobnie był przepis zwalniający ludzi od pracy przy mrozie ponad 40 stopni. Na Werkucie tego nie przestrzegano. Pracowano na okrągło i bez dni wolnych. Nie zwalniały od niej nawet burze śnieżne - "purgi".

"Purga"- kto jej nie oglądał i nie przeżył, z opisu tylko nie wyobrazi i nie zrozumie. Pędzi oto z szybkością 100-200 kilometrów na godzinę huragan, niosący z sobą olbrzymią masę skłębionego śniegu, sięgającą wysokości, której zmierzyć nie sposób. Żywiec to straszny, niszczący, niebezpieczny śmiertelnie.

Rwie gdzieś w zaświaty ta nawałnica śnieżna, zasypując i pokrywając wszystko, cokolwiek na drodze swego szalonego biegu napotka. Leci z rykiem rozszalałej bestii, wyje głosami milionów zamordowanych tu ludzi przez dziesiątki lat ludzi-niewolników, zawodzi przeraźliwie skargą zmarłych w łagrach "dochadąg", grożąc jednocześnie wszystkim diabelskim świstem i śmiercią pod zwałami mroźnego śniegu.

Gdy buszuje "purga", zamiera normalne życie. Trwa tak przez dobę, dwie, trzy. Nikt poza Bogiem nie wie wtedy, kiedy się to piekło skończy. Ludzie uciekają szybko do swoich baraków, zwierzęta kryją się gdzie tylko mogą. Drogi są zasypane śniegiem, po barakach widać tylko kominy. By dojść do stołówki, najpierw należy wykonać w śniegu tunel. Idąc wtedy pod wiatr, trzymać się należy rozciągniętej liny. Jest w tym szaleństwie moment walki z mocą wszechwładnej przyrody, wieje śmiertelną grozą, jest jednak i miejsce na urok syberyjskiej zimy i wrażenia dzikiej estetyki.

Droga z obozu do kopalni była w linii prostej, odległość 700-800 metrów. Z dojściem zdawałoby się nic łatwiejszego. W czasie "purgi" historia Werkuty zna i zachowała w pamięci wydarzenie, które przekazywane już potem z ust do ust przez lata. Oto kolumna więźniów ok. 400 ludzi brnęła w zamieci na nocną zmianę do kopalni. Nie dotarła. Dopiero po paru dobach, gdy "purga" się już uspokoiła, znaleziono wszystkich zamarzniętych na śmierć w odległości ok. 100 zaledwie metrów w bok od bramy wejściowej do kopalni.

Pędząca koczowniczy tryb życia ludność miejscowa Neńcy(Niency) nadchodzącą "purgę" wyczuwają instynktem zwierzęcia. Chronią się wtedy zawczasu w sweich "jurtach", zbudowanych ze skór reniferów na wzór naszych namiotów.

Śdy posługując się zaprzęgami reniferów lub psów są w drodze, czas trwania "purgi" przeczekają zakopane w śniegu. Ludzie i zwierzęta razem. Wiedzą dobrze jak ten zły czas przeczekać najlepiej. Zrozumieć warunki życia miejscowej ludności możemy choćby w oparciu o fakt, że samotna kobieta zdolna jest przebyć zaprzęgiem ok. 100 kilometrów dziennie, rodząc w tym czasie dziecko. Fakt dla Europejki nie do uwierzenia, a jednak prawdziwy, Warunki klimatyczne do tego, a człowiek, chcąc żyć, musi się do nich dostosować. Inaczej ginie.

W tym klimacie również ludziom towarzyszą ptaki i zwierzęta. Czasem przemknie stadko białych jak śnieg kurobatek. Zerwą się nagle jak z pod ziemi, zaszumią ruchem stu skrzydeł i opadną niespodziewanie w dół tak samo niespodziewanie jak się pojawiły. Spłoszone poderywą się do zgodnego lotu i znów zginą jak rzucony do wody kamień. Instynktem niczym się nie różnią od naszych, pocziwych, polskich kurobatek. Wokucie mają jeszcze na nóżkach białe pończoszki.

Śnieżone druty wysokiego napięcia stwarzają dla nich duże niebezpieczeństwo. Przelatując w dni mgliste i śnieżne uderzają w nie, padając martwe na ziemię. Jak widać ten dziki kraj jest okrutny nie tylko dla ludzi, tracą tu przez człowieka życie i niewinne ptaki.

Mieszkają tu także białe i lisy polarne, zwane "piesiec". Zimą białe, a w okresie krótkiego lata szare. Bóg tak mądrze i z miłości do nich tak urządził.

Morze Karskie jest królestwem białych niedźwiedzi, które na dryfującej krze często zażywają lodowatej kąpieli. Być w Wokucie i nie widzieć reniferów to tak jak być w lesie i nie widzieć drzew. Żyją stadnie, Dla miejscowej, koczowniczej koczowniczy tryb życia ludności zapewniają podstawowe warunki codziennego bytowania.

Ich mięso stanowi główne pożywienie, krew zastępuje witaminy, skóry są materiałem do budowy "jurt"- domów i do szycia odzieży oraz butów. Nawet nici, którymi się tu posługują, są produktem tych zwierząt.

Renifery spełniają w życiu Neńców jeszcze jedną ważną funkcję, bez której byt ich byłby mocno ograniczony i utrudniony: zapewniają szybki, skuteczny i darmowy transport w zaprzęgach. Dla ludzi pędzących koczowniczy tryb życia jak Neńcy ma to znaczenie podstawowe.

Opowiadano mnie kiedyś, że są tam nawet barwne gięki i szczygły, krewne naszych, zdobiących nasze wileńskie sady i ogrody. Bóg jak widać był szczodry i sprawiedliwy, obdarowując wszystkich na świecie ludzi bogactwem i pięknem swego tworenia.

Noce polarne są zjawiskiem wyjątkowym. W połowie zimy trwają one ponad 20 godzin. Widnieje ok. godziny 9-tej, by w trzy-cztery godziny później pogrążyć się znów w mroku. Za to latem cieszymy się zjawiskiem odwrotnym. W lipcu i sierpniu oglądamy tzw. "białe noce", bowiem dzień trwa przez 24 godziny.

Słońce wschodzi raniutko, wspina się świetliście i pracowicie po nieboskłonie, osiągając szczyt swojej wspinaczki w południe. Poczynamy jakby zmęczone chylić się pokornie ku zachodniemu horyzontowi. Jest to jednak zmęczenie tylko pozorne. Dotknąwszy bowiem tarczą rozpaloną linii horyzontu wstrzymuje nagle swój marsz w dół, i jakby zrażona tym, co tam ujrziała- rozpoczyna swoją triumfalną wspinaczkę po przebytej już od rana orbicie.

I tak zamiast wieczornego zmroku i zbliżających się ciemności nocy mamy wciąż jasny, promieniami ogrzewany dzień zwany "białą nocą". Ma to ogromne znaczenie dla ~~kurzących~~ zbudzonej po śnie zimowym roślinności. Podwójny dzień- to podwójne lato, podczas którego trzeba nie tylko wyrosnąć, ale i nabrać zapasu energii na przetrwanie do lata następnego.

Jest jeszcze zjawisko fizyczne na tyle piękne i niezwykle, co i fascynujące, zwane "zorzą polarną". Ilekroć tylko pojawiała się



na granatowym nieboskłonie, przyciągała wzrok obserwatora jak magnes, czarowała niepowtarzalnym urokiem, kazała podziwiać, zachwycać się, ekscytować się...

Wyobraźmy sobie, że jest ciemna noc polarna. Ziemia spowita grubym całunem lśniącego srebrzystego śniegu, a w ludzkim oddechu stężenie siarczystego mrozu. Nad Wysoko nad głowami jak ogromny baldachim zawieszono niebo.

Nagle rozbłyska w górze wielokolorowa mozaika. Niby wystrzelona w górę rakietą, wspinając się błyskawicznie aż na sam szczyt Olimpu, rozpryska się w jednej chwili milionem różnobarwnych iskier, które spadając- znikają po kolei jak gaszone ręką niewidzialną świecidełka.

Ledwie ostatnia z nich pogasła jak z poza horyzontu, niby z wulkanicznego krateru wyrzucona w górę szeroką na pół nieba, wielobarwną wstęgę. Oświetlona mocą przeogromnych reflektorów mieniła się niezliczonymi barwami tęczy, w której czystość błękitu nakładała się i przechodziła stopniowo w wiosenną zieleń, ta z kolei łącząc się niezauważalnie z czerwienią i złotem zachodzącego latem słońca, wtapiała się w królewski, dostojny szkarłat.

Taniec tych cudownych rozbłysków trwał nadal. Oto pojawił się pióropús z bladego seledynu, który muskając subtelnie różu- dotknął niechętnie fioleto i rozbrzdgując go promieniście, przyciemnił lekko grę całego obrazu. Trwało to jednak tak krótko jak nieuchwytnie jest mgnienie jedno zabłąkanej myśli człowieka. Znowu zabłysło słońcem i krwistą, wstydliwą czerwienią rozlało się jak wezbraną rzeką, której poruszane lekkim wiatrem zwierciadło mieniło się niezliczoną ilością kolorów.

Zawieszoną wciąż w górze wstęgę porwał nagle powiew wiatru. Jak wzburzone wiatrem morze falowało w górze wszystkimi odcieniami kolorów i światła, przyjmując najmniej oczekiwane układy i konfiguracje. Czasami zamierała na moment bez ruchu, by na sygnał niewidzialnego derygenta przybrała błyskawicznie formę regularnego stożka, a za chwilę rozplynała się szeroko w przestrzeni, tworząc zdo-

ne koronkami tysiące małych, przezroczystych jak tiul obłoczków.

Przychodziła jednak chwila, że rozplýwały się gdzieś w ciemnościach tańczące przed chwilą podniebne balety, sfruwały w dół kaskadą barwną wszystkie złociste gwiazdy i promieniujące tęczą kolorów iskry, by przyspieszając swój szaleńczy lot, zniknąć w sekundzie jednej za odległą linią horyzontu jak znikają rzucone w tafłę jeziora barwne kamienie.

Stojąc przed barakiem w mroźnym powietrzu, wpatrzony wciąż w ciemną, chłodną i niemą jak zawsze przestrzeń, jednak urzeczony i wzruszony doznany przed chwilą przeżyciem.

W łagrze byłem tylko głodnym i zanumerowanym niewolnikiem, w obcowaniu z przyrodą zapominałem o swoim losie, czując się wolny i uduchowiony.

Czuwał jednak nad nami Pan, który troski dnia codziennego rozjaśniał cudem niebios i dodawał szczyptę otuchy na przetrwanie.

Chwilę zadumy przerwały znów wybuchy podniebne kwiecistych bukietów kietów, ruszyły także w płas kerony drzew wielobarwnych sadów i raz jeszcze ten sam zachwyt i te samo oczarowanie wypełniło moje stęsknione wzruszeń serce.

Te niebiańskie zaiste zjawisko wzajemnego oddziaływania pól elektromagnetycznych, znajdujących ujście w oglądanych przed chwilą rozkładowaniach zawsze było obiektem mego szczerego podziwu i za chwytu. Koncentracja el-energii za kręgiem polarnym w tej postaci jest znaczna i dlatego obrazy te miałem okazje oglądać stosunkowo często. Noszą też one piękną nazwę "siewiernoje sijanije".

Nie miałem możliwości zwiedzania tundry i bezpośredniego spotkania się z jej mieszkańcami, bliższego zapoznania się z jej naturalnym, przyrodniczym bogactwem. Oglądałem to wszystko przez kolczaste zasieki drutów. Słyszałem jednak, że pozbawione zapachu kwiaty oblatywane są przez barwne nawet motyle. Przyjąłem to za prawdę objawioną i za taką również odsprzedaję dalej swoim przyszłym miłym czytelnikom.

Lato workuckie jest specyficzne: w lipcu i sierpniu czasami mo-

zna się nawet opalać, a w małych nawet wgłębieniach w terenie, na ~~próchniastych~~ stokach bez słońca leży śnieg. Takie jest właśnie workuckie lato

#### Ludność Komi ASSR.

Tereny północnej części Komi ASSR zamieszkują potomkowie ungrofińskich plemion Neńcy(Niency). Prowadząc koczowniczy tryb życia, żyją małymi stosunkowo grupami. Narzuconego po rewolucji ustroju komunistycznego nie przyjęli i nowego sposobu życia nie aprobowali. Zostali też poza wszelką ewidencją prawną. Pielęgnując swój od zarania dziejów przyjęty tryb życia, jemu też pozostali wierni.

Żyjąc w "jurtach", żywią się wyłącznie z polowania: głównie renifery i ryby. Jedynymi witaminami jest krew reniferów. Dlatego są niskiego wzrostu: 140-150 cm., na wygiętych w kabłak nogach, szybko się starzeją, żyją krótko. Mąż polując zaopatruje rodzinę w żywność, żona gospodarzy w "jurdzie", szyje ubrania. Mężczyźni, gdy tracą zdolność polowania, popełniają samobójstwo, aby nie być ciężarem dla innych. Śmierć jest lekka: siadają gdzieś na krze i zamieniają się wkrótce w sople lodu.

Drugim zamieszkującym te ziemie plemieniem byli Komicy. Wiadomo o nich tylko tyle, że porzucili prowadzony dotąd koczowniczy tryb życia i przyjmując ustrój komunistyczny, weszli w jego organizacyjno-administracyjne struktury. Automatycznie stali się częścią składową "sowieckiego" narodu.

Zasiedlanie Komi ASSR wiąże się z nastaniem ery stalinowskiej, choć pierwsze obozy przymusowej pracy wprowadził już Lenin. W rejonie Workuty znajdowały się znane już w okresie carskim pokłady węgla kamiennego. Uważano jednak, że ostry klimat arktyczny nie pozwala na ich zagospodarowanie.

Sytuacja się zmieniła, gdy liczne więzienia sowieckie zaczęto zapełniać "zdrajcami narodu" i "kontrrewolucjonistami". Rozpoczęła się era rozbudowy systemu łagrów i zasiedlania "miejsc edosobnienia" na dalekiej północy. Powstał równocześnie plan budowy "strojek komunizmu".

Do Workuty, i nie tylko, zaczęły przychodzić transporty więźniów. W otwartej tajdze powstawały obozy przymusowej, darmowej pracy budowane rękami niewolników. Budowano kopalnie węgla. Tak powstawało zagłębie węglowe "Workutugol", tak powstawała Workuta jako "miejsce odosobnienia", stutysięczna Workuta, znacząca część powstającego ~~CUŁAGU~~.

Moja relacja "zamieszkałej" tam ludności dotyczyć będzie okresu 1944-1956. W "miejscach odosobnienia" NKWD nie zwykło podawać żadnych danych statystycznych. Orientowaliśmy się jednak według statystyki własnej i w miarę dokładnej. W rejonie tym znajdowało się ok. 95-100 tysięcy ludzi, w tym ok. 95 % stanowili więźniowie, zesłańcy, przesiedleńcy. Samych katorżan było ok. 50 tysięcy.

Jedna z głównych tez komunistycznej propagandy głosiła, iż Zw. Radzieckiej jest pierwszym w świecie krajem państwem "bezklasowym". Szczycono się tym wszędzie, włączano to w głowy własnego społeczeństwa. Zajmę się właśnie tym jeszcze jednym kłamstwem sowieckiej propagandy. Operować co prawda będę na przykładzie tylko Workuty, ale układ ten był typowy i analogiczny z tysiącami innych. Odpowiadał on 20 milionowemu ~~CUŁAGOWI~~, a obok niego donajmniej drugie tyle "półwolnych".

"Bezklasowość" workucka wyrażała się w sposób następujący:

1. Funkcjonariusze NKWD-KGB oraz partyjni pracownicy miejscowej administracji.

NKWD-KGB jako aparat ścigania, panowie życia i śmierci mieszkających tu obywateli wolnych, półwolnych i więźniów. Każdego mogli aresztować, sądzić, wsadzić do łagru lub rozstrzelać. Dysponowali oni wszystkimi możliwymi i niemożliwymi przywilejami.

Administracja - to skierowani tu przez partię wierni jej i zasłużeni aparatczycy. Żądni władzy, przywilejów, zwykli najczęściej karierowicze. Byli decydentami w zakresie rozdziału dóbr konsumpcyjnych, których wszędzie i zawsze brakowało.

Obie te grupy ludzi były w pewnym stopniu od siebie zależne i wzajemnie sobie potrzebne. Stanowili zwartą, wyizolowaną od ogółu społeczeństwa kastę czerwonej burżuazji.

~~2xxWOLNOKAJOMNIxx~~

2. "WOLNONAJOMNI" już sama nazwa określa ich status prawny oraz sposób najmu do pracy. Przyjechali tu sami w poszukiwaniu wyższego wynagrodzenia i większego kawałka chleba. Zwabiły niektórych dwukrotnie wyższe, aniżeli w części europejskiej, wynagrodzenie za pracę, i urlopy, a po przepracowaniu 5 lat wynagrodzenie wzrastało podwójnie.

Partyjni obsadzali stanowiska wyższe, inni pozostałe. Pomimo tak zachęcających warunków finansowych, przyjeżdżali nieliczni. Odstraszał klimat oraz ograniczone do minimum życie kulturalne.

### 3. "SPIECPIERESIELEŃCY"

Tę grupę stanowili Niemcy Nadwołżańscy, których po wybuchu wojny z Niemcami wysiedlono z zamieszkałej przez nich Republiki Nadwołżańskiej. Znaczna ich część trafiła również do Warkuty. Wyprowadzono w tundrę i powiedziano: "Tu teraz będziecie żyć i pracować. Dopóki zbudujecie sobie baraki-ustawcie namioty. Pracować będziecie w tej oto - wskazał ręką - kopalni". Po chwili politruk dodał: "Co tydzień będziecie się meldować w miejscowej Komendanturze wojsk NKWD. Możecie poruszać się wolno w terenie w promieniu do 20 kilometrów. Za samowolne opuszczenie tego terenu grozi kara do 20 lat więzienia".

Pracując w kopalni, po pracy budowali sobie baraki, aby zdążyć przed nastaniem mrozów. W sercu zachowali cichą nienawiść do sprawców swego nieszczęścia. Życie w namiotach i z małymi przeważnie dziećmi nie było łatwe.

### 4 POSIELEŃCY.

Więźniowie z mniejszymi, do 10 lat wyrokami, którym udało się przetrwać, byli zwalniani na tak zw. "posielenije" bez prawa wyjazdu z Warkuty. Byli wśród nich również sądzeni w latach trzydziestych trockiści. W grupie tej znaleźli się również aresztowani po 1940 na okupowanych przez Zw. Sowiecki terenach Polski, Państw Bałtyckich, Ukrainy obywatele tych państw i przywiezieni tu bez wyroków.

W latach 1944-45, w okresie drugiej okupacji tych państw przywieziono na Warkutę nowe, liczne kontyngenty więźniów z tych tere-

nów oraz Mandżurii. Wśród przywiezionych z Wilna znaleźli się: Piotr Pietkiewicz, Stanisław Kwiatkowski, Janina Terlecka, Niesiołowska, Edward Macutkiewicz, Mieczysław Zabierowski, Zenon Mieżuk, Edward Mielnikiewicz, Edward Zieliński, <sup>Jan</sup> Edward Sadowski, Marian Sawicz, dr Buryło, ks. Michał Drabik, Stanisław Krasucki i inni. Wszyscy oskarżeni byli o przynależność do Armii Krajowej.

#### 5. ZAKŁUCZONNYJE. - zk.

W tej "klasie" więźniów były dwie grupy: z wyrokami 10-25 lat i 3-10 lat. Tych pierwszych przetrzymywano w reżymowych <sup>i zamkniętych</sup> obozach, drugich - traktowane znacznie lepiej, znaczna ich część była wyjęta z pod straży konwoju, korzystając z wydanych przepustek. Wszystkich jednak z drugiej grupy obowiązywał nakaz meldowania się co tydzień w miejscowej Komendanturze NkWD lub byli pod stałym jej nadzorem.

#### 6. KATORŻNICY.- "KTR".

To więźniowie polityczni z wyrokami 15-25 lat katorgi plus 5 lat pozbawienia wszelkich praw obywatelskich i konfiskacji majątku. Przebywali w łagrach o najcięższym reżymie, zatrudnieni na najcięższych robotach fizycznych i pod stałym nadzorem konwoju.

W interpretacji prawa sowieckiego byli to "zdrajcy narodu", "bandyci" i wszelkiego rodzaju "mordercy i recedywiści". jawni wrogowie socjalizmu, skazani na stopniową zagładę.

7. Wszyscy pozostali obywatele ZSSR, którzy znaleźli się poza szczęściem w wymienionych klasach-grupach, stanowiący szarą masę - te ci, którzy korzystają jeszcze z "wolności", będąc potencjalnymi kandydatami do jej pozbawienia.

Oto prawdziwy obraz owej rzekomo "bezklasowości" sowieckiego społeczeństwa osiągniętej w sławnej już erze stalinowskiego ludobójstwa. W erze, w której powszechne powiedzenie, iż społeczeństwo sowieckie dzieli się na trzy podstawowe grupy: tych, co siedzieli, tych siedzą teraz i tych, którzy będą siedzieć.- jest stwierdzeniem, które zostało potwierdzone w pełni przez rodzimą statystykę w prasie jelicynowskiej za okres 70 lat trwania komunizmu: 50-70 milionów zabitych,

20 milionów- stale utrzymywana wielkość ~~WŁAŚCI~~ oraz nie objęta żadną statystyką liczby tych, którzy wyroki szczęśliwie jednak odbyli (te mniejsze i o niższym reżymie).

Bezklasowość społeczeństwa była więc jeszcze jedną tylko fikcją na użytek zewnętrzny i wewnętrzny. Faktycznie, ile było grup, tyle praw, przywilejów i ograniczeń.

Nawet i funkcjonariusze NKWD-KGB mieli grupę osób, której prawa były w pewnej mierze ograniczone. Mianowicie dotyczyło to tych, którzy mocą odgórnego "prikazu" oddelegowani byli np. do "Polszy", gdzie organizowali UB, SB i szkolili dla tych urzędów na swoją modłę pracowników. Po wypełnieniu tego zadania Kagielski ci jako "zarażeni" pobytom za granicą i już "niepewni" ~~nie wracali~~ nie wracali już do miejsc swego dawnego zamieszkania, lecz "zsyłani" byli właśnie do "miejsc odosobnienia", gdzie pełniąc te same funkcje, w aparacie ścigania, to jednak z pełni praw nie korzystali. W dowodach swoich mieli malutką, kwadratową pieczętkę, która ograniczenia powyższe oznaczała.

Takiego właśnie ograniczonego w prawach majora KGB o nazwisku Sokołowski spotkałem w 1959 w Workucie, gdy byłem po raz drugi aresztowany. Prowadząc śledztwo, i nie mogąc wydusić ode mnie spodziewanych zeznań (czytaj -przyznania się do nie popełnionych czynów), usiłował uzyskać to, pokazując mi zdjęcie swoje w mundurze polskiego majora. Wyjaśnił, że w latach 1945-49 był w Polsce, gdzie "szkolił" polskich ubowców. Trafił w rezultacie na Workutę. Jeszcze jeden dowód społeczeństwa "bez klas" miałem przed sobą.

Zamykając już rozdział o sowieckim społeczeństwie bezklasowym, nie sposób nie przypomnieć, że 2-milionowy aparat ścigania i ok. 10 milionową rzesza nomenklatury partyjnej to czerwona arystokracja, żyjąca ponad stan w dobrobycie i poza prawem. Cała pozostała masa utrudzona znojem pracy codziennej, zamiegana w pogoni za wszystkim, nie mająca już sił, czasu i środków na nic więcej.

RECZ-LAŚ.

Łatwość z jaką NKWD w latach 1940-45 zdobywało darmowych niewolników sprawiła, że bez obawy o następstwa mogli zaostreć dowolnie w łagrach reżym, a warunki bytowe-socjalne sprowadzić do poziomu, w którym skłaniający się na nogach z głodu katorżanin zmuszony był przeliczać tony добыtego węgla na gramy otrzymywanego wzamian chleba. I czynił to płując własną krwią i zębami, pragnąc jedynie dożyć jutra.

Cztery twarde deski to miejsce do spania po ciężkim trudzie. Miska rzadkiej i posmej bałandy to środek zapobiegawczy od rychłej śmierci głodowej. Przeklęty system spisał nas już na straty, a my wbrew ich woli chcieliśmy bardzo żyć. Za wszelką możliwą, ale godną miana człowieka cenę. Wiedział o tym dobrze i wykorzystywał bandyta-gnębiciel.

Chciałeś niewolniku zjeść miskę przeklinaną w duchu śmierdzącej polewki? - musiałeś wypruć z siebie resztki siły i dać dodatkowo kilka ton węgla. Miałeś do wyboru: umrzeć po pewnym czasie z wycieńczenia i głodu, albo przedłużyć tę nędzną i poniżającą vegetację i też umrzeć, tylko przedłużając jedynie czas swojej agonii. Agonii ciała i agonii ducha.

Chciałem straszliwie, chorobliwie żyć, więc wybierałem to drugie: dodatkową pracę przeliczaną nieprzytomnie na gramy dodatkowego, spodziewanego chleba.

Przestępczy system działał sprawnie: z niemiecką dokładnością, zaprawioną sowieckim komunistycznym zakłamaniem i azjatyckim bestialstwem. Dlatego wyniki przyszły znacznie szybciej, aniżeli spodziewali się i zakładali mocodawcy. Młodzież wiekiem ka (20-30 lat) katorżanie umierali za szybko. Rósł w łagrach w tempie piorunującym wskaźnik śmiertelności w workuckim Recz-łagu, który (o dziwo) zaniepokoił nawet organizatorów i derygentów tych zbrodni. Zainteresowało to nawet upojonych dotychczasowymi produkcyjnymi sukcesami i osiągnięciami władców Kremla.

Zwiększyła się też równocześnie trwożnie liczba niezdolnych



już do pracy inwalidów. Zapełniały się wciąż nowe, tworzone dla nich pod cyniczną nazwą "San-gorodki"-(sanitarne ośrodki). W łagrach Workuty umierali dziesiątkowani przez głód i nadmierny wysiłek ludzie. Ludzie młodzi. Kurczyły się w gabinetach kagiebiistów kartoteki darmowej siły najemnej. W systemie ~~na~~ numeracyjnym katorżan powstały gwałtowne luki, zwolnione po zmarłych i "nie wykorzystane" numery.

Pierwszym krokiem "zaradczym" było w 1948 przeprowadzenie nowej numeracji wszystkich katorżan. Zlikwidowane w ten sposób ~~luz~~ powstałe luki w numerach, jednak nie przybyło rąk do pracy. Około 40 czynnych w Worskucie kopalń potrzebowało stałej załogi.

W gabinetach NKWD zastanawiano się nad sposobem wydłużenia okresu eksploatacji więźniów ~~WOLACU~~. Mówiono o tym półgłosem w barakach. Puszczono w ruch pogłoskę: powstanie RE CZ-ŁAŻ. Po specjalnej selekcji. Gdy o selekcji mówi KUB- skóra cierpnie.

Więźniowie resztkami sił przykładali się do pracy, aby nie narażać się tylko "Kumowi" i nie trafić do tego nieszczęsnego "Recz-łagu". Panowało powszechne przekonanie, że szykują coś złego.

Nie byłem i ja wolny od takich złowieszczych myśli i sądów. Był mroźny ranek lutowy. Stałem na placu zbiórki przed wymarszem do pracy, gdy podszedł do mnie mój przyjaciel Tadzik Pietryk i powiedział: Mam dla ciebie złą wiadomość, Pawełku. W Olsztynie zmarła twoja matka...

W pierwszej chwili doznałem gwałtownego zawrotu głowy. Patrzyłem na stojącego przy mnie Tadzika, nie będąc w stanie uprzytomnić, że usłyszane przed chwilą słowa są prawdziwe i mnie one dotyczą. W tej jednej chwili zawalił się przede mną cały zdawałoby się świat. Wszystkie przenoszone dotąd w więzieniu i łagrze trudy kołem wciąż myślą, iż muszę wszystko to znieść i przetrwać, aby zobaczyć się jeszcze z ukochaną mi Matką...

Matka i Ojczyzna to dwa jakby skojarzone z sobą i nierozdzielne pojęcia, którymi dotąd żyłem. Tę pierwszą utraciłem już bezpowrotnie, Drugą widziałem we snach otoczony dookoła drutami. Cokolwiek miałem w sobie godnego i szlachetnego, zawdzięczam wyłącznie Matce.

Cokolwiek miałem w sobie godnego i szlachetnego, zawdzięczam to wyłącznie Matce. W ludzkiej chodząc postacią, anielską zawsze promieniowała ~~przekazaną~~ dobrocią. Szlachetność pobudek inspirowała Ją do wszystkich poczynań, wszystkie Jej wypowiedzi i sądy jaśniały subtelnością uczuć i serca.

Miałem już za sobą długie jak wiek cztery lata rozłąki z domem. Przeżyłem przez ten czas wiele. ~~Wtedy myśl o samobójstwie~~ wydawała się jedynym rozwiązaniem i tak blisko- pojawiał się wtedy obraz zatroskanej Matki, która znakiem świętego krzyża mówiła: **Ufaj Bogu, mój synu kochany!**

Stojąc w tej chwili w katorżńskiej kolumnie zdawało mi się, że z piersi moich odrywa się serce... jakaś niewidzialna, zbojeka ręka dławiała mnie za gardło. Spojrzałem tylko gniewnie w niebo i pytałem: **dłaczego... dlaczego... dlaczego?!**

---

Z łagru nr 6 latem 1948 roku wyruszył pierwszy etap do Recz-Łagu. Było w nim również kilku Polaków, akowców. Był to niechybny znak, że znajdziemy się tam wszyscy. Wnet się okazało, że wyładowano go w łagrze "Kapitalnaja-1", przy kopalni tej samej nazwy, w bezpośredniej bliskości z miastem.

W ciągu jednego miesiąca łagier "Kapitalnaja-1" był już zapełniony, znaleźli się w nim wszyscy Polacy, których KGB uważało za element "nieisprawnij"- nie ~~niezdających się~~ poddający się reedukacji. Już po upływie jednego miesiąca zorientowaliśmy się, że głównym celem dokonanej reorganizacji było zaostrenie rygorów reżymu, nadzoru i izolacji. Czuwała nad tym zwiększona do trzech oficerów KGB komórka "Kuma", którym był mjr Łukin.

Izolowany teren łagru graniczył bezpośrednio z terenem kopalni. Odpadła kłopotliwa dla obu stron potrzeba codziennego konwojowania kolumny do pracy, załatwiało to jedno strzeżone i kontrolowane przejście.

W lipcu 1948 roku byłem już więźniem RECZ-ŁAGU. Wraz ze mną moi przyjaciele, współtowarzysze broni, oficerowie Armii Krajowej: Karol Pras, Anatol Rymaszewski, Lengin Blinstrub, Kazimierz Cis, Józef Zwinogrodzki, Olgierd Zarzycki.

### Życie religijne.

Religię w Zw. Sowieckim traktowano jako zło największe, a ludzi wierzących prześladowano i sądzono jako "wrogów narodu". Cerkwie i kościoły zamienione były ~~w magazyny~~ na magazyny, spichsza i kluby, księży i popów aresztowano i zesłano do łagrów. Religię ośmieszano, określono jako trujące opium, wsteczność i ciemnotę. Więźniów sumienia nie brakowało również i na Workucie.

Ludzie wierzący, unikając dodatkowych szykan i prześladowań, musieli się z tym kryć. Wiarę w Boga zachowywano w sobie, w myślach, w cichej modlitwie, w codziennym postępowaniu.

Na nas, na oficerach Armii Krajowej, młodych przywódcach młodego pokolenia spoczywał ogromny obowiązek moralny o zachowanie w miarę łagrowych możliwości wiary wyniesionej z domu polskiego, ze szkoły, z armii polskiej. Święta religijne i narodowe obchodziliśmy konspiracyjnie, ~~zła~~ biednie, ale z należną czcią i powagą.

Do Polaków, znajdujących się w innych obozach, skłaliśmy w te dni uroczyste listy, świąteczne życzenia, wiersze. W myśl chrześcijańskich zasad i narodowej tradycji podtrzymywaliśmy na duchu i krzepiliśmy serca nadzieją powrotu do Polski.

Oto jedna z wigilii Bożego Narodzenia, które obchodziliśmy tam przez lat kilkanaście.

Za oknem zima, mróz. I bezmiar śniegu. Wiatr północny dmie i łomocze w ściany baraku. Wycie śnieżnej zawiei zakłóca wieczorną ciszę. Jeden z wielu workuckich wieczorów. Jednak ten dzisiejszy wydaje się jakiś inny, smutniejszy, pobudzający do refleksji i zadumy. Gra na strunach wspomnień, sięga do dna ludzkiej duszy. Odgłos szalejącego wiatru tym razem brzmi jak głos osieroconego dziecka, jak groźny protest porozrzucanych po całym świecie sióstr i braci jednej, wielkiej, polskiej Rodziny.

Braci i sióstr wyrwanych ze swych rodzinnych domów i rozrzucanych na przestrzeni tysięcy kilometrów w głąb nieludzkiego, bezbożnego kraju. Jedyłą ich winą była miłość do Ojczyzny - Polski, o której wolność walczyli ofiarnie z najeżdzcą.

W baraku powietrze było duszne, stężone potem katorżniczych ubrań i umęczonych oddechów. Zdawało się, że piersi przygniatał ból ludzi całego świata.

Wyszedłem na dwór. Ostry mróz wnet przylgnął chciwie do ciała. Lodowatymi szpilkami kłuży twarz miotane wichrem płatki śniegu, łagodząc częściowo wybuchły gwałtownie bunt serca.

Niby do serdecznego uścisku rozwarłem szeroko ramiona. Wyso-ko nade mną zwisał czarno-siny, chłodem ziejący baldachim nieba. Patrząc w tę zimną i oncą przestrzeń, zdawało mi się, że widzę swoje, polskie, rozpostarte nad moim ukochanym Wilnem.

Rzeczywistość była jednak inna, przepojona tęsknotą, ludzką niedolą, polską dziejową krzywdą. Myślami znów uleciałem w strony rodzinne, do Wilna.

Nowy podmuch wiatru uderzył gwałtownie w policzek jak snopem zmrożonego śniegu. Wróciła świadomość od tyłu już lat trwającego położenia: werkućki katorżnik z wypisanym na plecach kurtki numerem U-728. Znów zrobiło się niezwykle zimno. Za gardło ścisnął żal za utraconym światem i wolnością. Przejmujące zimno kazało wrócić do baraku. Wszyscy już spali znużeni po całodziennym, niewolniczym trudzie. Poczujęm się sam jakby nikogo więcej oprócz mnie w tej chwoli tu i na całym świecie nie było.

Siadłszy na swojej więziennej pryczy pomyślałem mimowoli: co za dzień mamy dzisiaj, że się tak rozkleiłem, dając się porwać wspomnieniom i sentymentom.

Z daleka, niby z zanierzchłejmi dawno przeżytej przeszłości, z nieokreślonego bliżej miasta i domu wzniosła się, rosła i pły-nęła tak dobrze znana mi od dzieciństwa, a jakże droga sercu pieśń:

Bóg się rodzi, moc truchleje,  
Pan niebiosów obnażony...

Była więc to Wigilia Bożego Narodzenia. Przeżywałem ją jakby podświadomie, w oderwaniu od Ojczyzny i rodzinnego domu. W pełnej samotności i odosobnieniu. Dawne obrazy tradycyjnego obrządku spo-żywanej w domu rodzinnym wigilii starły się w zderzeniu z tragiczną

rzeczywistością otoczenia. Cieszyć się nie mogłem, a nękająca nerwy rozpacz nie leżała w moim charakterze. Tylko bezsilną niemocą zwarte ręce mówiły jakby bezradnym gestem:

Matko Boska Ostrobramska - przyjdź mi z pomocą!

Dookoła, w promieniu niemal tysiąca kilometrów, ciągnęła się śnieżna, surowa i obca jak ból pustka. Na zatroskane serce kładła się obozwładniająca niemoc. Był to już bowiem jedenasty rok mego pobytu w łagrach Workuty, jednocześnie długich jak wiek stale odczuwanego głodu, cierpienia i poniżenia, a przede wszystkim jedenaście kolejnych lat nie spełniających się nadziei.

Stojąca obok szafka była pusta. Leżący na niej tylko cieniutki plasterzek czarnego chleba był symboliczną wymową obozowej niedoli. Jednak w ten wyjątkowy wieczór nabrał on znaczenia szczególnego. Stał się symbolem polskiej wigilijnej wieczerzy. Był jednocześnie i opłatkiem. Spożywając go z niezwykłym namaszczeniem, składałem w duszy osobom mi najbliższym świąteczne życzenia.

W uszach brzmiały jeszcze pierwsze przed wieczerzą słowa modlitwy Ojca: "Boże, pobłogosław nam te dary, które dziś spożywamy." Słowa - Bóg się rodzi, moc truchleje... wciąż były słyszalne. Myśli znów uleciały do Wilna. W zielonym domku przy ulicy Trębackiej 4, gdzie miękki i ciepły głos troskliwej matki przypomniak o betlejemskiej stajence i ułożonym na sianku Jezusku...

Przed oczyma wyobraźni na niebie ukazała się pierwsza gwiazda, w w ślad za nią rez jaśniły się okna we wszystkich polskich domach. Za przygotowanym już odświętnie stołem zasiedli wszyscy członkowie rodziny. Jedno krzesło stało wolne, gotowe na przyjęcie niespodziewanego gościa.

Wigilia Bożego Narodzenia była uroczystą celebrą, które przyjęte już od dziecka zapada w świadomości człowieka już do końca życia. Oczyma wyobraźni przywołuję twarze rodziców i rodzeństwa. Zcałowuję troskliwe i spracowane ręce Matki, dzieląc się ze wszy-

stкими łamanym wzajemnie opłatkami. Wiatr uderzył płachtą śniegu o zamarznąłą szybę, a mnie się wydało, że usłyszałem ~~głęboki~~ stłumiony szloch Matki. Więc mówię: Nie płacz, Mamo, ma mnie tutaj w swej opiece Matka Boska Ostrobramska - ja wrócę napewno.

Wziąłem do ust jak relikwię kromkę chleba, który był mi dziś opłatkami. Usłyszałem wtedy serdeczne słowa Najbliższych mi Osób: Czekamy wszyscy twego szczęśliwego powrotu z Syberii...

Chciałem coś rzec, lecz słowa zastygły mi na ustach...urwał się gdzieś wątek przywołanych wyobraźnią obrazów ... Jutro-uprzytomniłem sobie, jest dzień normalnej, katorżniczej pracy. Czas pójść już na odpoczynek.

Przynajmniej na tych kilka godzin zapomniałem o obozie, otaczających mnie dookoła drutach i swojej katorżniczej niedoli... A przeżywałem to w grudniu 1955 roku w łagrze nr 4, w zapolarnej Workucie.

#### Więź narodowa.

Polacy poczucie więzi narodowej jak Żydzi mają już we krwi. Trudne warunki w łagrach i wspólne zagrożenie poczucie to tylko wzmogły i wyczuliły. ~~Byli~~ Stanowili tę aktywną część społeczeństwa polskiego, które gdy Polska znalazła się w dziejowej, wielkiej potrzebie - włączyli się w nurt konspiracyjnej walki, nie myśląc o szanowiskach, apanażach i nagrodach.

Za patriotyzm i niezłomną postawę zapłacili więzieniem i łagrami. Przyjęli to z godnością. Wspólna przeszłość okupacyjna łączyła i zobowiązywała. I tu także, w straszliwych warunkach łagrowych, zachowali poczucie solidarności i odpowiedzialności za wszystkich, którzy tu się znaleźli.

Pomagali sobie wzajemnie, wspierali, aby ~~prz~~ przetrwać i powrócić do kraju, dla którego byli potrzebni. Na oficerach AK i inteligencji spoczywał obowiązek i odpowiedzialność podwójna. Były ich powinnością. Załatwienie komuś lżejszej pracy, nawiązanie kontaktu z najbliższą rodziną, podzielenie się otrzymaną paczką żywnościową, czy wsparciem duchowym w chwilach ciężkich - były treścią

naszych zainteresowań i wspólną troską całej polskiej ~~rodziny~~ <sup>katorżniczej</sup> rodziny. Stosunkowo szybko nawiązany został kontakt z Polakami w łagrach sąsiednich i nie tylko. Nastąpiła konspiracyjna wymiana listów, informacji, słowa polskiego.

W odległym o 5 kilometrów łagrze "Kirpiczny-2" wyrok 20 i 25 lat katorgi odbywały łączniczki AK: Barbara Dudycz, Czesława Mnastówna, Wanda Cejko, Hanna Norska i Natalia Odyńska. Piątka wspaniałych dziewcząt, które nawet w warunkach skrajnego głodu i ponad kobiece siły pracy potrafiły wytrzymać trudną próbę charakteru, zachowując należną kobiecie i Polce godność.

Było to wyczynem nielada, na który decydowały się jednostki tylko wybitne i moralnie godne najwyższego szacunku. Wieść o takiej właśnie postawie "gordych" Polek w łagrze "Kirpiczny-2" dotarła i do nas. Nie zwlekając więc postanowiliśmy nawiązać z nimi kontakt. Nie było to jednak rzeczą łatwą. Potrzebny był zaufany "listonosz", a za przeniesienie jednego choćby listu groziło 20 lat łagru. Uporaliśmy się jednak i z tym problemem. Wyręczył nas w tym "piresielieniec" pewien geolog Ukrainiec, który narażając swoją wolność świadczył Polakom nieocenione usługi. Był to piękny z jego strony gest więziennej solidarności i tym wartościowszy, że świadczony przez człowieka innej narodowości.

Tak się szczęśliwie złożyło, że po obu stronach korespondujących nie zabrakło uzdolnionych literacko i poetycko piór. Prowadzona często korespondencja stała przez to na odpowiednio wysokim poziomie, spełniając wyznaczone jej cele. Adresowano imiennie, lecz czytano głośno, traktowana bowiem była jako dobro ogólne.

Na tle ponurej rzeczywistości stała się zjawiskiem niezwykłym. Cieszyła, informowała, pocieszała, wspierała na duchu, dodawała nowych sił i wiary na przetrwanie. Dla umęczonej psychiki stała się czynnikiem, który łagrowe napięcia i stresy ~~za~~ skutecznie łagodził.

Zasięg naszego oddziaływania nie ograniczał się tylko do Workuty. Wyszedł również daleko poza granice Komi. Oto w jednym z obozów Irkucka przebywały matka i córka Krystyna Rzewuska. Odbywały karę 15 lat. Ojciec Krystyny, major zawodowy po wojnie Wrześniowej przedostał się na zachód, zasilając tworzącą się tam polską armię.

lat. Ojciec Krystyny, major zawodowy po wojnie Wrześniowej przedostał się na zachód, zasilając tworzącą się tam polską armię.

W dalekim Kazachstanie odbywały kary łączniczki Wil. Okr. AK Maryla kuczkówna wraz z ojcem Tomaszem oraz Malina, po mężu Urbanowicz. Kontakt daleki, trudny, bardzo niebezpieczny, ale jakże ~~wartościowy~~ dla obu stron wartościowy i konieczny.

Krystyna Rzewuska po powrocie do kraju ukończyła filologię, zrobiła doktorat, była wspaniałym pedagogiem i wychowawczynią młodego pokolenia, dla którego była uznawanym powszechnie autorytetem. Nie zważając na doznawane przykrości, przekazywała młodzieży historyczną prawdę o zrywie niepodległościowym młodego dowojennego pokolenia oraz II RP.

Nawiązaliśmy również kontakt ze środowiskiem młodzieży polskiej w Grodnie. Zaczęło się romantycznie i zagadkowo: otrzymałem paczkę żywnościową od nie znanej mi nadawczyni, którą jak się później okazało była studentka z Grodna Danuta Małyszko. Zagadki były właściwie dwie: od kogo dowiedziała się o moim istnieniu oraz jak zdobyła zaszyfrowany w systemie NKWD adres mego łagru, w którym przebywałem.

Paczka żywnościowa dla głodzonego katorżanina była darem niebios lub jak dla spragnionego wędrowca na pustyni wiadro ~~spragnionej~~ <sup>źródlanej</sup> wody. Z Grodnem - poza odbytą tam w 1936 roku służbą wojskową w Szkole Podchorążych, nie miałem już potem nic wspólnego. Od tego czasu minęło 10 długich i brzemiennych w wydarzenia i kataklizm wojny lat. I nagle ta paczka. Z załączonego listu nic, co by moją rozterkę wyjaśniało, nie znalazłem.

Przebywający ze mną w łagrze Lwowianin, akowiec Franek Sitnik otrzymał też od Grodnianki list z wierszem patrytycznym, napisany z zacięciem literackim. Już potem okazało się, że zarówno Danuta jak i poetka Hania (takie miała ona imię) należały do zorganizowanego tam dobrze środowiska panienek, które w nowopowstałej już w Grodnie rzeczywistości politycznej kultywowały ducha polskiego patriotyzmu. Im tylko znanymi sposobami dowiadywały się adresy przebywających w łagrach sowieckich akowców, którym śpieszyły z pomocą.



Im tylko znanymi sposobami zdobywały adresy przebywających w łagrach łagrach sowieckich akowcach, którym śpieszyły z pomocą.

Gdy w 1958 spotkałem Danutę już w Gdańsku i wyraziłem Jej szczerą wdzięczność-powiedziała: "Nie mniej ważne były i listy wasze z Warkuty do nas, które przynosiły tyle same radości i wiary w polskie Jutro w jakże ubogim naszym życiu młodzieńczym już sowieckiej rzeczywistości. Taką samą dłużniczką jestem w stosunku do Ciebie, Pawełku. Twoje listy też pomagały mnie, nam przetrwać. I dlatego może dla kogoś, kto nie zna atmosfery tamtych, sowieckich warunków- korespondencja nasza może wydać się małostkowa, a być może i zbędnym ryzykiem". i dalej... "Dla nas, poddanych rygorystycznej sowietyzacji, listy Wasze z łagrów przypominały nam chłopcom i dziewczętom, żeście walczyli o Polskę, a na nas, na kolejnym pokoleniu spoczywa obowiązek kontynuacji podjętej przez Was walki. Jesteście dla nas wzorem, który pragniemy naśladować i być Was godni."

Wspominając dziś te patriotyczne i rozległe kontakty, przywołuję w pamięci ludzi, którzy nie zważając na olbrzymie zagrożenie osobiste, nieśli pomoc łagiernikom, dzieląc się często tym dobrem, którego im samym brakowało-

Ta workucka, niezwykła korespondencja miała w sobie głęboki sens psychologiczny, który ~~oddziaływał dwustronnie~~ oddziaływał dwustronnie, utrwał w nas świadomość, że jeden tworzymy Naród i jedną mamy Ojczynę, której na imię POLSKA!

Kolonie Wileńską wspominam oddzielnie. Kojarzę ją z matczyną troską- z jaką moja stryjenka Malwina Blinstrubowa opiekowała się mną, będącym w łagrze po wyjeździe z Wilna mojej Matki. Z Jej to też zapewne inicjatywy nawiązały ze mną i Longinem Blinstrubem kontakt dwie młode nauczycielki Alina Sierwiatowska i Halina Popielska. Im również wyrażam tą drogą swoją serdeczną wdzięczność.

Świat i życie nie stoją w miejscu. Stryjenka zmarła w Kolonii Wileńskiej, Halina przyjechała do kraju i mam nadzieję żyje szczęśliwie, Alina życie rodzinne ułożyła sobie w dalekiej Australii, brat mój stryjeczny Longin spoczywa na Powązkach.

Więzienie i śledztwo raz jeszcze.

Pamiętny dla mnie rok wojny koreańskiej i konfrontacja dwóch przeciwnych sobie obozów militarnych Ameryki i ZSSR - rok 1950. To szósty już rok pobytu mego w łagrach Workuty i drugi rok w "Recz-łagu", w łagrze "Kapitalnaja-1"

Stalin i jego wierni, posłuszni siepacze przewidzieli nam śmierć na raty, dawki naukowe, stopniowo i z premedytacją. Trzej rezydujący czekiści z majorem Łukinem na czele, mając jeszcze do pomocy czujną administrację oraz liczną horde skośnookich i śniadoliczych Kazbeków, Azerów, Ormian i im podobnych Azjatomołogów, przemieszanych z jasnowłosymi mołojcami realizowali plan ten skrupulatnie i z determinacją.

Odmowa pracy - to już nie rozstrzelanie, (skąd wziąć niewolników), ale ponownie więzienie, nowy wyrok, choć dla podniesienia dyscypliny zdolni są i rozstrzelać, a ciało położyć dla postrachu na pokaz wszystkim przed bramą.

Nie spełniały się nadzieje pokładane w Amerykę, ONZ i własny Naród polski, który okazał się być w pętach niewoli. Zaczynaliśmy rozumieć, że walkę o zmianę swego losu powinniśmy podjąć również sami. Cofaliśmy się pamięcią do zamierzchłej historii. Już w starożytności padały potężne ongiś cesarstwa. Współcześnie zgnieciony został kolos pancerny faszyzmu. Patrząc trzeźwo dookoła i oceniając stworzony przez komunizm sowiecki twór czerwonego totalitaryzmu, nijak nie mogłem zrozumieć dlaczego on tak długo jeszcze funkcjonuje. Nie mogłem zrozumieć sensu i logiki systemu, który podbijając i zniewalając narody sąsiednie i podporządkowane, conajmniej, jeżeli nie bardziej, zniewala i niszczy obywateli własnych. Taki stan rzeczy nie może utrzymać się długo. Granice wytrzymałości i odporności na życie w ciągłym niedostatku i ograniczonej wolności 250 milionowego narodu są ograniczone. Terror 2 milionowego NKWD-KGB i wymuszanie uległości i posłuszeństwa poprzez szerzenie poczucia strachu dobiegnie swego niechybnie-go końca.

Jest to kwestią jedynie czasu i koniunktury ekonomicznej tego systemu. Zaczęliśmy myśleć innymi, aniżeli dotąd, kategoriami politycznymi.

W biały, słoneczny dzień czerwcowy, w miejscu mojej pracy zjawili się nieoczekiwanie dwóch strażników. Jeden z nich podszedł do mnie i zapytał: "Familia, imia, otczestwo"?

Pawieł Rudolfowicz Świetlikowski - odpowiedziałem spokojnie, ale całkowicie zaskoczony. Podszedł wówczas drugi strażnik i zakładając mi na ręce kajdanki, rzekł: "Paszli!".

Wyprowadzono mnie na podwórze. Skierowaliśmy się w stronę bramy wyjściowej. Szedłem przez plac pod eskortą strażników, z zakutymi rękami. Oczy przechodzących w tym czasie przez plac więźniów były skierowane na mnie. Cała ta sceneria miała również cel uboczny: wykryto popełnione przestępstwo, winnego zakuto w kajdanki, zabrano go z łagru albo do więzienia, albo rozstrzelać. Ci, którzy to widzieli - przekażą innym. Bać się będą wszyscy.

Za bramą oczekiwał mnie już mjr Łukin z drugim oficerem K+B. Poleciał strażnikowi zdjąć ~~mi~~ kajdanki.

Mjr Łukin, wskazując ręką na stojący obok samochód, najspokojniej w świecie jakby nic ~~się~~ takiego niezwykłego się nie wydarzyło - rzekł: do mnie: "Pajedim w gorod".

Wsiadłem do samochodu. Przy mnie, po obu stronach miejsca zajęli obaj oficerowie, spełniając rolę konwojentów. Kierowca ruszył z miejsca. Byłem aresztowany po raz drugi. Nienormalność tego faktu polegała na tym, że byłem już sądzony i w łagrach Workuty odbywałem wyznaczony mi wyrok. Chcą sądzić po raz drugi? - myślałem zaniepokojony powstałą sytuacją.

Mogli wszak zabrać mnie z łagru jak to robią zawsze nocą, cicho. Dodatkowy wyrok? - mają wszak do tego "Trojki OSO", które już niejednemu po zakończonym wyroku, zamiast zwolnienia, ogłaszały wyroki dodatkowe. Mnie potraktowali inaczej, nietypowo - i to mnie

zastanawiało mnie nadzwyczaj. I ta jazda samochodem w asyście dwóch "Operów". Wysiłałem się jak tylko mogłem na rozwiązanie tej przedziwnej zagadki, ale rzecz zastanawiająca - byłem opanowany i spokojny.

Wkrótce znaleźliśmy się na dworcu kolejowym. Wsiedliśmy do pociągu. Wprowadzając mnie do pustego przedziału, zdążyłem przeczytać: "Przedział zarezerwowany". Usiadłem na wskazane miejsce. Tyłem do kierunku jazdy. Więc jednak - pomyślałem - traktują mnie jak przestępcę, któremu należy utrudnić ewentualną próbę ucieczki.

Moji dwaj "współtowarzysze" podróży skracali sobie czas bez troską rozmową. Korytarzem przechodzili przypadkowi podróżni. Nikt z nich nie zajrzał do naszego przedziału. Zbyt ciekawość mogła okazać się rzeczą zbyt kosztowną. Lepiej było nie widzieć.

Podróż pociągiem nie trwała długo. Dalej pieszo. Piętrowy budynek NKWD-KGB. Po dokładnej rewizji osobistej w dyżurce znalazłem się wkrótce w pustej celi, w piwnicach tegoż budynku. Mie-li pełen komfort: więźniowie pod ręką śledczych.

Cela opisu nie potrzebuje, typowa dla sowieckiego więzienia. Pozwoliłem sobie na krótką refleksję. Miałem 35 lat, w tym 10 wyjętych znormalnego życia: 5 lat w konspiracji i 5 przebytych już w łagrach Workuty. Znałem już smak więzienia, śledztwa i związanych z tym tortur. Byłem przygotowany na wszystko.

Na pierwsze przesłuchanie zostałem wezwany już nazajutrz i jak zawsze późną nocą. Moim śledczym okazał oficer w stopniu majora. Gdy zająłem wskazane mi na taborecie miejsce, rzekł miękko: "Pawieł Rudolfowicz!- Moja familia Sokołowski, budu wiesti wasze śledztwie".

Polskie nazwisko niczego nie sugerowało. Wiedziałem z doświadczenia, że śledczy przybierali sobie dowolne nazwiska na użytek tylko konkretnego śledztwa w myśl zasady, że wszystkie środki są dobre, jeżeli prowadzą do realizacji założonego celu.

Czas jakiś major zajęty był zdawało się leżącymi przed nim

na stole papierami. W pewnej chwili podniósł głowę, i patrząc przeszrywajaco mi w oczy- rzekł:

"Chcieliście wzniecić zbrojne powstanie w łagrach Workuty, tworząc tajną organizację. Przedstawiam wam akt oskarżenia:

1. Powołanie tajnej organizacji KASK
2. Zbrojne powstanie w łagrach przeciw władzy sowieckiej
3. Szpiegostwo na rzecz Ameryki.  
przy pomocy amerykańskich desantów lotniczych.

Już w czasie czytania aktu oskarżenia jeżyły mi się na głowie wszystkie włosy. Prowadzony do tego pokoju byłem przygotowany cprawda na wszystko i na najgorsze, ale zaczytany mi akt oskarżenia wprawił mnie w zdumienie. W pierwszej chwili wydało mi się, że słucham relacji autora jakiejś niesamowitej, ~~szkandali~~ <sup>sensacyjnej</sup> powieści kryminalnej.

gdym w izolowanym za kręgiem polarnym koncentracyjnym obozie, strzeżonym podwójnym kolczastym ogrodzeniem, kompanią krasnoarmiejowców i sferą psów owczarków, oskarża się o "zbrojne powstanie" i "szpiegostwo", a więc kontakty z oddaloną o tysiące kilometrów Ameryką (jakim sposobem?) wynędzniałych i głodnych katorżan - każdy normalny człowiek pomyśli: ktoś z tu jest nienormalny. Albo katorżanie, którzy, planując rzecz absurdalną i niemożliwą do wykonania, albo autorzy oskarżenia, które tę absurdalność zawierało w samym założeniu.

Pierwsze zaskoczenie, a nawet pseudo wesołość wnet uleciały, ustępując miejsca naturalnemu przerażeniu. Okazało się bowiem, że ciężący na mnie i odbywany wyrok 20 lat katorgi jest niewystarczający. Nowy proces polityczny - oznaczał jedynie wyrok śmierci. I ten fakt w praktyce KGB ni był ani absurdalny, ani nierealny, był przez nich powszechnie stosowany.

Mjr Sokołowski nie wyczytał z oczu moich przerażenia, o którym wspomniałem wyżej. Ono było głęboko wewnątrz ukryte i zamaskowane tym wyrazem z kamienia, który się nabywa dopiero po latach obcowania bezpośredniego z KGB, jako doświadczenie.

Tylko ze steickim spokojem patrzyłem w świdrujące mnie wyblakłe i wyjąłowane z wszelkich ludzkich uczuć oczka majora Sokołowskiego jakby mówiąc:

Rozstrzelać mnie, kaci, możecie choćby i teraz, w każdej chwili, a z tym aktem oskarżenia nie wyjdzie wam napewno.!

Na twarzy swego adwersarza zauważyłem jakby odruch ~~przekona~~ <sup>doznanego</sup> zawodu i niezadowolenia. Triumf bowiem święcą wtedy, gdy w oczach więźnia widzą lęk i zamieszanie jako dowód wykrytego przez nich przestępstwa. Widząc twarz kamienną - to zagadka do rozwiązania. Mają przed nią respekt, ale są butni, pewni siebie i przekonani, że to tylko kwestia czasu, a nie wątpliwości, czy ją ją rozwiąże. Dominuje niezłomne przekonanie i zasada, że skoro jest człowiek, to znajdzie się również i odpowiedni dla niego paragraf.

Major wpatrywał się jeszcze czas jakiś w leżący przed nim arkusz papieru, poczym skierowując wzrok na mnie, spytał:

"Czy zrozumieliście przeczytany wam przed chwilą akt oskarżenia?" I przenikliwymi jak wilkołaka oczyma świdrował mnie na wylot.

Akt oskarżenia zrozumiałem - mówiłem spokojnie - nie rozumiem tylko, co on ma wspólnego z moją osobą.

Major opuścił szybko wzrok, ruchem energicznym ręki zamknął jeżdżącą przed nim teczkę, i patrząc znów na mnie, wycedził znacząco, akcentując przez zęby każde słowo:

"Pójdziecie teraz do celi, rozważcie tam to wszystko" - Podniósł po chwili słuchawkę telefonu, mówiąc: "Wywiesti!" - Wyprowadzić!

Pojawił się wnet strażnik, podpisał majorowi kartkę (zupełnie jak w Wilnie), do mnie skierowane ostr: "Paszli" - i byliśmy już w drodze do celi. Jak widać ~~już~~ ten sam obowiązywał rygor śledczy w Wilnie i w całym ZSSR.

W samotnej już celi rozważać i analizować najlepiej. Oskarżenie było bzdurna - jednak faktem dokonany, z którym należało się liczyć. Sprawę widziałem jasno: wszczęty przez KGB proces miał pokazać światu, że agresywna polityka USA ma swoje agentury nawet w tak od-

ległych rejonach ZSSR jak Warkuta. Aspekt polityczny tej awantury był rzeczą wtórną, mnie interesowała możliwość choćby pozornego nawet udowodnienia nam tego sfingowanego przez nich "przestępstwa".

Fakt tajnej organizacji udowodnić nie trudno i jest na to 100 znanych już sposobów. Punkt 2-gi i 3-ci oskarżenia: zbrojne powstanie i szpiegostwo-nawet uwzględniając cudotwórcze ~~zdolności~~ w tej dziedzinie zdolności KGB- sądzą, że się przeliczyli. Z łyżką aluminową, a taka tylko "broń" była dostępna katorżanom, "zbrojnego powstania się nie wznieci. Również chodząc przez dzień stale pod automatem kontakt szpiegowski z Ameryką był "nieco" utrudniony. Analiza powstającej sytuacji była łatwa, prosta i do jednego tylko prowadziła wniosku: Związkowi Sowieckiemu, prowadzącemu w tym czasie zimną wojnę ze światem kapitalistycznym, chodziło o skompromitowanie Ameryki w opinii światowej.

Na drugim przesłuchaniu mjr Sokołowski z miejsca przystąpił do rzeczy. Zamiast spodziewanych pytań służyłem relacji majora, który mówił:

"Wasza tajna organizacja nazywała się "KASK". Na jej czele stał por. Józef Zwinogrodzki, ps. "Janusz". Jego z-cą był por. Paweł Świetlikowski, ps. "Streła". Do kierownictwa organizacji należeli jeszcze: por. Anatol Rymaszewski, ps. "Andrzej", i Teodor Pietryk. Organizacja skupiała również grupę Ukraińców z UPA oraz byłych trockistów.

Zrozumiałem, że w śledztwie tym role oskarżonego i śledczego będą odwrócone. O mojej "przestępczej działalności", której nie było i dlatego nie wiedziałbym, co mówić- relacjonował śledczy, a moja rola miała się sprowadzić właściwie do potwierdzania.

Po takim wstępie mjr Sokołowski uczynił krótką przerwę i mówił dalej:

"Swoje tajne spotkania przeprowadzaliście w różnych barakach, natomiast z trockistami kontaktowaliście się na terenie kopalni, w miejscach swojej pracy."

Znów nastąpiła krótka przerwa i za chwilę relacji ciąg dalszy:

"Wasi przyjaciele: Józef Zwinogrodzki oraz Tadeusz Pietryk przyznali się już do wszystkiego i złożyli pisemne oświadczenie ze swojej w organizacji działalności. Sąd uzna to za wyrażenie skruchy i uwzględni przy uznawaniu stopnia winy. Radzę i wam, Paweł Rudolfowicz pójść w ich ślady, wyjdzie to tylko na waszą korzyść."

Obserwując przez ten czas na moją reakcję, dostrzegł zapewne odruch jakiś dezaprobaty, ponieważ nie czekając mojej odpowiedzi mówił:

"Piotr Pietkiewicz usiłował zorganizować "grupę dywersyjną" z zadaniem budowy pasa startowego dla samolotów amerykańskich, które miały dostarczyć wam broń."

Po naświetleniu, kto miał dostarczyć potrzebną nam broń - zarys naszej zasadniczej przestępczej działalności został nakreślony. Potrzebne do tego jeszcze szczegóły miały być uzupełnione przez nas. W tym momencie stwierdziłem po raz pierwszy poważnie, iż absurdalny wydawałoby się początkowo akt oskarżenia nabrał cech prawdziwości, a śledztwo nabrało tempa i ~~zgra~~ cech zdecydowanego nacisku.

Zamierzając mnie dobić psychicznie major dodał: "Piotr Pietkiewicz przyznał się do winy i potwierdził zarzucane mu czyny. Radzę i wam uczynić to samo" - zakończył swój wywód Sokołowski.

Nie wiem do czego się przyznał i co potwierdził Piotr Pietkiewicz - ja osobiście nie mam z tym wszystkim nic wspólnego i dlatego ani potwierdzać, ani przyznawać się do czegokolwiek nie będę.

Moją kategorię odmowę major przyjął ze stoickim spokojem i bez żadnej widocznej dla oka reakcji na twarzy. Był widocznie na to przygotowany. Podniósł tylko słuchawkę telefonu, mówiąc: "Wywiesti!".

Wszedł natychmiast strażnik. Jeszcze drobna formalność z podpisem, rutynowe: "Paszli" i po krótkim, przymusowym spacerze po korytarzach znów w swojej, samotnej celi.

Z toku dotychczasowego śledztwa wnioskowałem, że aparat śledczy był na fali. Wykładać na stół wszystkie swoje główne



karty, przystąpią teraz do pozytywnego dla siebie zamknięcia całej tej sprawy. Czekają mnie dni i noce ciężkiej próby.

Te powodzenie śledztwa miało swoje źródło w zeznaniach Piotra Pietkiewicza, który po konfrontacji z T.Pietykiem potwierdził swą z nim znajomość i ulegając stosowanej przemocy złożył pisemne oświadczenie, potwierdzające zarzucane mu czyny. Przyznał się do czynów niedokonanych. (Pisze o tym P.Pietkiewicz w książce pt. "Wspomnienia byłego żołnierza AK" - Oficyny Wydawnicza MODAM, Gdańsk 1990)

Nie wytrzymał tortur i stosowanej presji również T.Pietryk, podpisując śledczemu kłamliwe protokoły. T.Pietryk jako jedyny z grupy oskarżonych nie był akowcem. Wykorzystał to śledczy, tłumacząc mu, że wciągając go do tajnej organizacji, nie wtajemniczaliśmy go w szczegóły, ponieważ nie obdarzaliśmy go pełnym zaufaniem. Argument to był wątpliwy i naciągany, jednak poparty torturami okazał się skuteczny.

Byłem trzymany w pojedynczej celi w pełnej izolacji. Nie wiedziałem nic o tych dwóch zamianach. Byłem jednak całkowicie pewny J. Zwinogrodzkiego, A.Rymaszewskiego, L.Blinstruba i K.Cisa - z którymi wiązały mnie lata konspiracji i wspólne śledztwo w Wilnie. Wytrzymali ono próbę również tu w Workucie. J.Zwinogrodzki po 3 miesiącach śledztwa, bity i katowany trafił do szpitala KGB. Mając odbite płuca, płuł krwią. A.Rymaszewski chodził cały posiniaczony.

Działo się to wszystko w okresie, który odczułem jako "drugi bieg" śledztwa włączony przez mjr. Sokołowskiego w stosunku do mnie. Forsowaną przez niego wersję oskarżenia odrzucałem stanowczo. Gdy przekonywał mnie, że J.Zwinogrodzki się przyznał do winy, żądałem z nim konfrontacji, do której nie dochodziło. Było to oczywistym dowodem, że mjr Sokołowski blefuje.

W czwartym miesiącu śledztwa pojawiły się nowe nazwiska aresztowanych przyjaciół akowców oraz dwóch Rosjan, byłych trockistów:

Iwana Jelizarewicza Koliakowa oraz Aleksandra Makiejewicza Kusiewa. Obaj po odbyciu 10 lat obozu pracowali w Workucie, mając zakaz wyjazdu. Wspaniali ludzie, w różnych okresach byli moimi zwierzchnikami w pracy.

Męczyła mnie myśl, iż mogli przypuszczać, że to my, Polacy ~~stali~~ byliśmy winni ich aresztowania. Rozważając w jakiej są celi, postanowiłem temu zaprzeczyć. Prowadzony na śledztwo, przechodząc koło ich celi, powiedziałem: "Niczego nie znam!". Usłyszałem odpowiedź Aleksandra Makiejewicza: "Poniał, spasibo!"

Strażnik zakrzyknął: "Nielzia goworit!" Nielzia t nielzia, ale ja zrobiłem już swoje i gotów byłem odbyć za to nawet karcer. Jednak odpowiedziałem strażnikowi: "Ja goworił eto k Wam!"

"No smotri, drugoj raz pajdiosz w karcer!"

Nastąpił teraz okres cenočných, ciężkich przesłuchań. Sokołowski o nic mnie już nie pytał, natomiast nacisk cały położył na to, abym potwierdził zarzuty postawione w akcie oskarżenia.

Potwierdzenie nawet jednego z nich było równoznaczne z wydaniem na siebie wyroku śmierci. Tego uczynić nie mogłem. Odmówiłem kategorycznie.

Major podniósł słuchawkę, mówiąc: "Wwiesti!" - wprowadzić! Do pokoju wszedł Ukraińiec, katorżanin, znajomy z łagru "Kapitalnaja-1".

Z Polakami się nie udało - rozumowałem - sięgnęli po szpicla innej narodowości. Odczułem mimowolną ulgę.

Major, nie zwlekając, skierował pytanie do Ukraińca: "Czy znacie - wskazując ręką na mnie - siedzącego tu na taborecie?"

Ukraińiec, nie patrząc w moją stronę, mówił: To Paweł Świetlikowski, werbował mnie do tajnej organizacji.

A jak ta tajna organizacja się nazywała - pada kolejne zadane przez majora pytanie. Ukraińiec widać należycie pouczony, co ma mówić, odpowiada bez namysłu i chwili zastanowienia:

"Tajna organizacja nazywała się KASK. Sokołowski notuje skrętnie odpowiedzi Ukraińca i od czasu do czasu spogląda na mnie.

Na kilkanaście jeszcze zadanych przez majora pytań Ukrainiec odpowiada płynnie, szybko i bez zająknięcia. Spisany protokół został podpisany przez Ukrańca, a ja spełniłem <sup>rolę</sup> rolę naocznego świadka, że sprawa dowodowa posuwa się zdecydowanie naprzód.

Na zakończenie tego przedstawienia Ukrainiec wyraził wielką skruchę, zapewniając, że więcej na drogę przestępstwa już nie wejdzie. Major nie omieszkał to również zapisać. Ukrańca wyprowadzono z pokoju. Napewno dostarczony został do łagru, a za wykonaną "dobrze" pracę napewno obiecano sporo "zaczotów".

Że po "stukacza" łagrowego, ~~nie~~ innej aniżeli główni oskarżeni narodowości KGB sięgnęło po pięciu miesiącach prowadzonego intensywnie śledztwa świadczyło, iż postawa Polaków uniemożliwiła zamknięcie śledztwa według planowanego pierwotnie scenariusza. Jednak z doprowadzenia śledztwa do pozytywnego końca nie zrezygnowali. Zmienili tylko częściowo taktykę. Obecnie należało się spodziewać, że po Ukrańcu dojdą kolejne tego rodzaju "zeznania" i "kajanie się" przyznających się do winy i zwerbowanych do "KASKu" członków przestępczej organizacji.

Śledztwo biegło dalej. Przez cały tydzień poddawany był różnym prwsjom i naciskom, zadając wciąż jedno tylko pytanie: skąd i jaką drogą przyjsć miała do nas broń?

Śledczemu chodziło oczywiście o to, abym potwierdził zawartą w oskarżeniu i potwierdzoną przez "stukacza" Ukrańca wersję, że dostarczyć ją nam mieli Amerykanie drogą lotniczą i dlatego miał być przygotowany przez "grupę dywersyjną" P.Pietkiewicza pas startowy.

Tłumaczenie moje na sto sposobów i dowodów, że cała ta sprawa jest tworem absurdalnym, że nam ~~katarżanom~~ głodnym katarżanom potrzebny był tylko chleb, a nie samobójcza i nieodpowiedzialna awantura z nieistniejącą tajną organizacją. Lecz mjr. Sokołowskiemu bynajmniej nie chodziło o dojście i ujawnienie prawdy, On chciał i dążył bez względu na środki do potwierdzenia spreparowanego kłamstwa,

ponieważ wymagała tego zmyślona koncepcja planowanego procesu o zasięgu międzynarodowym.

Od wielu już dni przesłuchania odbywałem na stojąco. Po tak spędzonych nocach wracałem do celi na glinianych, uginających się nogach, wyczerpany fizycznie i psychicznie. Czujny przez dzień strażnik zaglądał raz po raz do celi przez "judasza", nie pozwalając nawet na zamknięcie oczu.

Nadszedł moment, że straciłem orientację czasu. W tym wyrafinowanym systemie torturowania- ofiary nie trzeba nawet bić fizycznie. Wystarczy przetrzymać ją noc stojąco albo na odróconym taborecie, a przez dzień nie pozwolić na sekundę jedną snu. Jak długo bez obawy o zdrowie psychiczne może normalny człowiek to wytrzymać???

Szczerze odpowiem - nie wiem. Przechodziłem to sam, a dziś z perspektywy lat mówię-nie wiem. Ten koszmar śnił mi się jeszcze przez wiele lat już po powrocie do kraju. Dziś pamiętam tylko, że co wieczór prowadzono mnie na przesłuchanie. Wchodząc do tego samego wciąż pokoju, i stojąc koło tej samej ściany, przychodziły chwile, że nie zdawałem sobie sprawy kto aktualnie siedzi za stołem śledczego i ~~czego~~ <sup>czego</sup> właściwie chcą ode mnie.

Pamiętam świdrujące mnie nienawistne oczy z poza stołu, rażące jak cięcia nożem smugi światła skierowanych na mnie reflektorów i wciąż jedno i to samo zadawane pytanie: Skąd i w jaki sposób mieliście otrzymać broń?..... Skąd i w jaki sposób mieliście otrzymać broń?..... Skąd i.....

A ja, stojąc, zamiast odpowiadać, zasypiałem. Jedno z takich przesłuchań rozpoczęło się w sposób nietypowy. Stałem jak zwykle przy ścianie. Major wyjął z pod stołu nagan i położył go przed sobą na stole.

"Znaleźliśmy to - mówił, wskazując ręką na nagan - w mieszkaniu Piotra Pietkiewicza. Do tego skrzynkę granatów i amunicji" - cedził słowa ostatnie przez zęby jakby chciał mnie tym zaskoczyć i dobić. Śledził nieustannie moją na te słowa reakcję, skupiając całą uwagę w moich oczach. Tu widać spodziewał się <sup>uśmiech</sup> odruchów, które coś zdra-

dzą, coś mu powiedzą i wyjawią.

"Pietkiewicz- ciągnął dalej - przyznał się już do wszystkiego. Tę broń miał dostarczyć wam do obozu." - zakończył wywód.

Nie wiem - odpowiadałem - co robił i zamierzał Pietkiewicz, Ja byłem zamknięty w strzeżonym przez was łagrze, ~~axax~~ do którego on nie miał wstępu. I wiecie dobrze, że tak było w rzeczywistości. Wypowiedziałem to jednym tchem jakbym odkrył przez śledczym tajemnicę, której on dotąd nie znał.

Nie mam nic wspólnego - mówiłem po chwili oddechu - z żadną tajną organizacją i nie wiem nic o broni, o którą mnie pytacie.

Major przyjął moją odpowiedź bez żadnego wyrazu na twarzy, sięgnął tylko po słuchawkę telefonu i cicho coś powiedział. Do pokoju wszedł kapitan KGB, major, przekazawszy mu półgłosem jakieś informacje, opuścił pokój.

Przybyły oficer zajął miejsce za stołem, i patrząc dobrotliwie na mnie, powiedział: "Nazywam się Sołowiow, od dziś będę prowadzić wasze śledztwo. Niektórzy wasi koledzy ~~p-~~ mówił dalej-przyznali się już dawno do wszystkiego, a wy ciągle trwacie w uporze i nie chcecie nic powiedzieć, choć my wszystko wiemy o waszej działalności. Byliście wszak zastępcą Zwinogradzkiego."

Tę wstępną, szablonową i "kulturalną" na pozór próbę wciągnięcia mnie do "szczerych" wynurzeń przed "dobrotliwym" wyjątkowo oficerem śledczym przyjąłem z należną i zrozumiałą odrazą. Wychowani w systemie i ideologii zaszufładowanych pojęć o człowieku stosowali jedną i tę samą miarę do wszystkich więźniów, zdradzając często podstawowe braki w swoim wykształceniu, ~~ax~~ skazując jednocześnie swoje wyuczony i "genialne" jak sądzili "zabiegi" śledcze na niepowodzenie.

Miałem oto przed sobą jeszcze jednego z milionowej bandy kata, który, mając za zadanie powieszenie ofiary, proponując jej chwilowo ciepły szalik na szyję, wyraża przed nią swoją troskę, aby się nie przeziębila. Genialność pracujących w tym aparacie ludzi polegała

jedynie w tym, że wykonując przez całe swoje życie obowiązki kata, zakładali równocześnie rodziny, godząc z tym obowiązki męża i ojca. Śenialność? - Nie. To złe wyrażenie. To była cecha właściwa dla tworców na wpół ludzkich, na wpół zwierzęcych. Po latach takiej pracy stawało się pełne zezwierzczenie.

Patrzyłem na kpt. Sołowiowa jak na zakutą dogmatami Abakumowa maskę, z pod której wзира podany prymitywnie szantarz, azjatycka chytrość, podstępne zawsze działanie i jaskiniowe okrucieństwo.

Ta zmiana śledczego nie wróżyła mnie nic dobrego. Brak w dotychczasowym śledztwie osiągnąć miał nadrobić kpt. Sołowiow.

Zmienił się śledczy, jednak ten sam pozostał sposób zeznawania w pozycji stojącej. Przypomniałem wtedy Iwana Biełousowa, elektryka z zawodu, z którym w latach 1945-48 przebywałem w łagrze nr 6. Opowiadał mi, jak w "kotle" pod Smoleńskiem wzięty został do niewoli niemieckiej, a razem z nim jak wiemy z przebiegu tej bitwy kilkaset tysięcy krasnoarmiejców i oficerów Armii Czerwonej.

W obozie jenieckim przecierpiał straszliwy jak wiemy głód, a po zakończeniu już wojny "oswobodzony" przez "swoich" - został aresztowany przez NKWD i jako "wróg narodu" dostał 25 lat ktr. Nie pomogło mu w śledztwie tłumaczenie, że, gdy do niewoli trafia tak liczna armia, winni są nie żołnierze, lecz dowództwo.

Inaczej jednak interpretował to śledczy. "Dowództwo - mówił - mogło popełnić i sto błędów, ale on krasnoarmiejec powinien w sytuacji takiej się zastrzelić, a tego nie uczynił. Jest więc winny!

I aby zmusić go do podpisania tak sformułowanego protokołu, śledczy trzymał go w "stójce" tak długo, aż doprowadzony do stanu całkowitego fizycznego i psychicznego wyczerpania I. Biełousow podpisał wszystko jak tego chcieli i był szczęśliwy, że skończyła się wreszcie męczarnia. Tak znalazł się na Workucie, aby w ciężkim trudzie zmyć swój "niecny postępek", że się nie zastrzelił.

Choć nie byłem krasnoarmiejcem, ani nawet obywatelem sowieckim- znalazłem się w sytuacji podobnej. Postanowili siłą i przemocą zmusić mnie do podpisania protokołu kłamstwa.

Już nad ranem, gdy traciłem rachubę zmieniających się co parę godzin śledczych za stołem, nadszedł widać moment słabości, która szeptała do ucha: "Nie opieraj się, oni i tak udowodnią, że jesteś wielbłądem i wydadzą wyrok. Tracisz tylko - nalegał głos wątpienia - swoje nadszarpnięte już zdrowie, którego nikt ci już nie zwróci, By- może los twój jeszcze się odmieni?".

Przemówił jednak wnet głos inny, gdzieś z głębi samej jestestwa, zwą go chyba głosem sumienia, który nakazał: "Nie czyn tego! Nigdy tego sobie nōe wybaczysz!

Nie wiedziałem, która to już była z rzędu nieprzespana i na stojąco spędzona noc. Każdy organizm ludzki ma swoje granice wytrzymałości. Znalazłem się właśnie na jego ostatniej krawędzi odporności fizycznej. Nagle- zaświtała myśl. Ostatnim wysiłkiem woli powiedziałem do śledczego:

Jeżeli chcecie, abym zeznawał-dajcie mi jedną przynajmniej noc wypoczynku.

Sołowiow spojrzał na mnie podejrzliwie, ważył przez czas jakiś słowa moje, będąc tym wyraźnie zaskoczony. Dobrze - rzekł po chwili - zwalniam was do celi!

Wygrałem noc snu! Ta jedna jedyna myśl zawładnęła moją świadomością, czyniąc mnie w tej jednej sekundzie najszczęśliwszym z ludzi! Gdy tylko przekroczyłem próg swojej celi, runąłem jak długi na podłogę i usnąłem zanim się na niej ułożyłem.

Nie wiem jak długo spałem. Ten sen był moją jedyną narazie wygraną. Odroczeniem tylko czegoś, co było przede mną i czekało na swoje jednoznaczne rozstrzygnięcie. Zdawałem z tego jasno sprawę, ale każda minuta nawet wypoczynku i zwłoki była chwilowym zwycięstwem.

Wezwany znów na przesłuchanie szedłem z duszą zawieszoną na ramieniu. Kpt. Sołowiow oczekiwał mnie już w swoim pokoju. Gdy tylko wszedłem, wskazując ręką stojący taboret, rzekł: "Sadities!"

Byłem zaskoczony. Spodziewałem się dalszej batalii na stojąco, a tu nagle taka najmniej oczekiwana zmiana. Nie zmylił mnie tymto tylko chwilowa, obliczona na wysokie oprocentowanie taktyka!

Padło wnet pierwsze pytanie: "A wy Stanisława Kwiatkowskiego znacie? - I zatrzymał spojrzenie swoje w moich oczach.

Nie znam - odpowiedziałem natychmiast w przekonaniu, że zyskam przez to pełną wiarygodność.

Czyżby i jego również aresztowali, dołączając do tej paskudnej sprawy - przeleciała przez głowę niepokojąca myśl.

"Stanisław Kwiatkowski - mówił kpt. Sołowiow - bywał na terenie kopalni i tam spotykał się z wami". Wypowiedział to tak spokojnie jakby nie miało to żadnego powiązania z wytoczoną nam sprawą.

Może i bywał - odpowiedziałem - lecz nie znając go, nie rozmawiałem z nim nigdy.

Grałem rolę sfinksa, ale wewnątrz tłumiłem z trudem zdenerwowanie, ponieważ każdy nowy, najniewinniejszy nawet wątek i kontakt z kimś z poza łagru groził nowym wyrokiem. S.Kwiatkowski przebywał w Workucie na prawach "specposielańca" jako akowiec. On to właśnie spełniał rzetelnie rolę listonosza, który przychodzące do nas na adresy W "wolnych" listy dostarczał (przemyczał) na teren kopalni wręczając je mnie, którego obowiązkiem było przemycenie ich do zony łagru. Już ten tylko proceder przeżutów nielegalnej poczty groził wyrokiem najsurowszym. Te przymusowe rozważania przerwał niespodziewanie śledczy pytaniem:

"Jaką i ile Piotr Pietkiewicz dostarczył tą drogą na teren kopalni broni?"

Fala gorącego przypływu uderzyła mi gwałtownie do głowy. Było to już ściśle określone przestępstwo z wykazaniem jego wykonawców.

Zaprzeczyłem zdecydowanie temu oskarżeniu, wypierając się jakiegokolwiek w tym udziału, nie wiedząc, że w tym właśnie czasie P.Pietkiewicz, przechodząc moment załamania szukał ratunku potwierdzając na piśmie zmyśloną przez siebie wersję stworzenia "grupy



dywersyjnej"(opisał to w książce pt."Farba-T", str.113). To właśnie wydarzenie zadecydowało o zmianie sytuacji, dał KGB nowy, ważki argument dowodowy i nadał nowy kierunek prowadzonego śledztwa.

Na przesłuchaniu, na stawiane przez śledczego pytania, aby być w miarę "wiarygodny", należy odpowiadać możliwie szybko, bez kalkulacyjnego zastanawiania się. W takich chwilach decydują niekiedy i sekundy. Pada nagle niespodziewane pytanie i już wilcze ślepie śledczego świdrują i prześwietlają twoją twarz, grymas każdy czy skurcz mięśnia lub mimowolną, odruchową odpowiedź w wyrazie twoich oczu. W takim właśnie momencie krytycznym musisz zachować zimną krew, przywdziać na siebie maskę obojętności lub naturalnego zdziwienia i sklecić naprędce możliwie wiarygodną odpowiedź.

Zabłysła nagle myśl: skierować śledztwo w dnoście broni w ślepią uliczkę. Więc mówię do śledczego:

Broń posiada wyłącznie i tylko stacjonująca tu jednostka wojsk NKWD. Tylko z tego źródła, jeżeli rzeczywiście u kogo była, mogła być nabyta. Słyszałem przypadkowo jak dwaj konwojenci rozmawiali z sobą na ten temat.

Zainteresowało to Sołowiowa. Przez resztę nocy dopytywał szczegółów tej sprawy, dopytując o wygląd krasnoarmiejców i miejsce rozmowy, zapisując wszystko do protokołu mego zeznania. Już świt rozjaśniał okna, gdy zostałem zwolniony do celi. Tu dopiero mogłem spokojnie i poważnie się zastanowić nad powstałą w śledztwie sytuacją. Właściwie- nie było co analizować, gdy wszystko było czymś tylko przestępczym w zamyśle samym wymysłem. Pytanie mogło być tylko jedno: ~~Wzruszenie~~ Jak się ta sprawa cała zakończy?.

Wezwany po dwóch dniach do śledczego szedłem jak na ścięcie. Ledwo przekroczyłem próg tego pokoju, kpt. Sołowiow przywitał mnie krzykiem od progu: "Ty swolacz! Obmanął nas! Jeśli nie skażesz prawdu- raztrelejem!"

Jego czerwona i nabrzmiała z gniewu twarz i błyszczące nieważnością spojrzenia była dowodem, że moja próba zaplątania wątków

śledztwa została zdemaskowana, a kpt. Sołowiow został skarcony, że się nie poznał na moim wybiegu z miejsca.

~~W tym większym zapałem powrócił do wątku z bronią, Pietkiewicza i roli jaką w niej odegrał Kwiatkowski. Trwało to przez tydzień. Za stołem zmieniali się oficerowie śledczy, nie zmieniał się sposób prowadzenia śledztwa, arsenał stosowanych wyzwisk i przymus stania. W szóstym miesiącu śledztwa nastąpił punkt kulminacyjny. Doznałem uczucia nagłego osłabienia. Stałem już zapewne oparty o ścianę z mętlikiem w oczach. W takiej sytuacji koń by wierzgał kopytami, pies wył, a ja musiałem wciąż stać i odpowiadać na to samo pytanie, które ~~przez pewny czas~~ od pewnego już czasu przestałem nawet rozumieć.~~

Z tym większym zapałem powrócił do wątku z bronią, Pietkiewicza i roli jaką w niej odegrał Kwiatkowski. Trwało to przez tydzień. Za stołem zmieniali się oficerowie śledczy, nie zmieniał się sposób prowadzenia śledztwa, arsenał stosowanych wyzwisk i przymus stania. W szóstym miesiącu śledztwa nastąpił punkt kulminacyjny. Doznałem uczucia nagłego osłabienia. Stałem już zapewne oparty o ścianę z mętlikiem w oczach. W takiej sytuacji koń by wierzgał kopytami, pies wył, a ja musiałem wciąż stać i odpowiadać na to samo pytanie, które ~~przez pewny czas~~ od pewnego już czasu przestałem nawet rozumieć.

Odrętwiałe nogi uginały się same jak z waty, głowa ciążyła niepomrotnie do ziemi, pod ołowianymi powiekami czułem ziarnka piasku. Stojąc- zasypiałem. Budziłem się od krzyku i znów zasypiałem. Momentami do świadomości mojej dochodziły pojedyncze słowa: broń... Pietkiewicz... gowori prawdu.... rozstrelajem....

Tadeusz Pióro, autor artykułów "Generałowie pod sądem" i "Procesy odpryskowe" (Polityka nr 32-1988) pisał: "Metody były jednakowe, ordynarne wyzwiska i deptanie ludzkiej godności, przymus fizyczny i moralny, prowokacje, oszczerstwo i zakłamanie, doprowadzenie oskarżonych do zupełnej utraty woli, do szaleństwa, w którym łatwo uzyskać podpis pod fałszywym zeznaniem lub przyznanie się do niepopelnionych przestępstw za cenę chwili spokoju.

Czytając tę relację, odniosłem wrażenie, że autor przeszedł to wszystko osobiście i dlatego ujął to tak trafnie i prawdziwie. Ujmując to w jednym tylko zdaniu, pokazał zarys ogólny. Obraz pełny i wyczerpujący ~~tych przeżyć~~ otrzymać możemy dopiero w rozwinięciu.

"Ordynarne wyzwiska"-to typowy sowiecki, wielopiętrowy mat w stu najbardziej plugawych i świętokradzkich często odmianach. Nie wykazałem ich ze względu na absolutną ich niecenzuralność.

"Deptaniek ludzkiej godności"- to policzkowanie i bicie przy zwielokrotnionej przewodze liczebnej, najczęściej do stanu nieprzytomności.

"Przymus fizyczny i moralny"- to cały arsenał wyrafinowanych tortur fizycznych i moralno-psychicznych, których opisanie wymagałoby oddzielnej książki.

"Prowokacje, oszczerstwa i zakłamanie"- to podstawowa cecha zawodu sowieckiego śledczego: fingowane akty oskarżenia, korzystanie z fałszywych zeznań podstawionych konfidentów, wymuszanie fałszywych zeznań, wykorzystując przeróżne, ~~nałazła~~ aktualne okoliczności, dokonywanie czynów prowokacyjnych, itp, itp.

"Doprowadzenie do utraty woli, do szaleństwa, w którym łatwo uzyskać...."- jest na to sposobów wiele: nękanie bezsennością, karcerami, biciem, przepalanie papierosami, wbijanie zapalek pod paznokcie, siedzenie podczas zeznań na odwróconym taborecie, bicie pięściami w tył głowy, gumowymi pałkami w nagie, owinięte mokrym prześcieradłem ciało, nakładanie kaftanów bezpieczeństwa, że na tym tylko poprzestaną.

Metody te stosował już szef Czeka Feliks Dzierżyński, a więc w okresie rządów genialnego Lenina. Następcy Dzierżyńskiego: Mienżyński żyński, Jagoda, Jeżow, Abakumow i Beria wciąż ulepszały skuteczność, doprowadzając je do stopnia doskonałości. Owocem jego był dwudziestomilionowy GULAG - maszyna skrytego przed światem i własnym narodem naukowego ludobójstwa.

-----  
Obudziłem się w celi, leżąc na podłodze w kałuży wody. Wracająca pamięć ostatniej nocy. Uświadomiłem, że do pełnego sukcesu śledczego brakowało tylko mego potwierdzenia o dostarczeniu mi broni przez S.Kwiatkowskiego. Przypominam, że protokołu tego nie podpisałem. Doznałem chwilowej ulgi. Nie podpisując, broniłem siebie, nie Polski.

Przez dwie noce spałem jak zabity. Trzecią spędziłem znów u śledczego. Znów to samo: skąd broń? Sołowiow nękał, straszył, groził.

A ja nie miałem żadnej alternatywy. Odmawiałem. Odrzucałem. Nówiłem: możecie rozstrzelać mnie i bez tego sądu, poco więc ten cyrk?!

Ale kpt. Sołowiow żądał tylko jednego: "Podpisywanie!" Na każde przesłuchanie szedłem z coraz to większym niepokojem. Pewnego razu w pokoju śledczego zastałem Sołowiowa w towarzystwie trzech innych kagiebiów.

Zająłem wskazane mi przez śledczego miejsce. Trójka kagiebiów stała gdzieś za mną. Sołowiow rozłożył na stole jakąś teczkę, i patrząc na mnie - spytał: "Cdzie zamierzaliście zdobyć broń i jaką przeczą kazał wam Stanisław Kwiatkowski?"

Mówiłem już wam - odpowiadałem - że nie mam nic wspólnego z bronią, a Kwiatkowskiego nie znam. W tym samym momencie otrzymałem dwa silne następujące po sobie uderzenia pięścią w tył głowy.

Poczułem piekący ból powyżej szyi. Sołowiow obrzucił mnie znów groźnym spojrzeniem jakby mówił: "Zmusimy cię dziś do mówienia jak trzeba, sam jeszcze o to poprosisz". I za chwilę powtórzył swoje pytanie.

Zastanawiałem się chwilę, odwołując się do odpowiedzi i ewentualne uderzenia... Rozpocząłem: Nie miałem z tym nic... nie dokończyłem wypowiedzi, dwa kolejne uderzenia ~~w tył głowy~~ spadły na to samo miejsce. Zwielokrotniony ból strzelił gwiazdzą pod czaszką. Zadzwońnię równocześnie w uszach...

Gdy do świadomości mojej dotarł znów ten sam groźny głos Sołowiowa, a jego zaczerwieniona twarz zamajaczyła tuż przed moimi oczyma. Resztkami sił i woli skupiłem się w sobie i wyrzuciłem z siebie już tylko krótkie: Nie podpiszę!

Kolejne, takie same uderzenia stojących za mną osiłków wstrząsnęły mną całym... Wydawało mi się, że Sołowiow stał w tej chwili tuż przede mną i chyba mówił coś do mnie... Widziałem jak otwierał szeroko jakby do krzyku swoje usta, a twarz miał straszliwie wykrzywioną grymasem Wściekłości...

Nie bardzo zdawałem sobie z tego sprawę, ponieważ rozrywający wewnętrznie ból głowy zlewał się z krzykiem Sołowiowa, a ja nie byłem już w stanie rozumieć, o co mnie pyta i czego chce ode mnie...

Nie wiem, czy powiedziałem wtedy jeszcze cokolwiek. Pamiętam



tychmiastowej ulgi. Wymawiałem słowa jakiejś dawnej, przez Matkę jeszcze przekazanej modlitwy. Dziękowałem Bogu, że żyję, czując się szczęśliwy jak mało kiedy w życiu. A stało się to za sprawą jednej tylko przyłożonej do głowy szmatki.

Kuracja głowy trwała kilka dni. Jedyne możliwe lekarstwem były zimne kompresy. Na szczęście pozostawiono mnie w tym czasie w spokoju, nie wzywając na przesłuchania. Tłumaczyłem ten stan dwójako: zastojem śledztwa albo był to tylko okres przygotowawczy do nowego natarcia.

Dochodząc stopniowo do względnej równowagi fizycznej, poprawiał się równocześnie i nastrój ogólny. Usiłowałem dokonać bilansu swego pobytu w więzieniu oraz ewntualnego, dalszego przebiegu i zakończenia śledztwa. Dzięki postawie głównych oskarżonych

KGB nie zanotowało dotąd znaczących dla śledztwa sukcesów. Dwa przypadki chwilowej słabości miały miejsce poza grupą naszej związanej ideologicznie z sobą symbiozy akowskiej.

W budowie konstrukcji przedstawionego nam aktu oskarżenia znaczącą, jeżeli nie główną, rolę odegrał Mieczysław Załuga, Polak, którego nie znaliśmy, lecz który przybył do łagru "Kapitalnaja-1" z łagru "Kirpiczny-2" i dlatego był zorientowany o naszych kontaktach z Polakami w innych łagrach i prowadzonej przez nas korespondencji.

~~Godnym podkreślenia jest fakt, że zarówno w łagrze "Kirpiczny-2" jak i "Kapitalnaja-1" pracował w "Chleborezce", gdzie wydawano chleb dla wszystkich więźniów. Słodu taki nie odczuwał, ale był podejrzyny o współpracę z "Kumem",~~

od którego obsada tej funkcji była zależna. Dlatego też nasz stosunek do Załugi był obojętny i daleki. Wiedzieliśmy, że odwiedzał czasami "Spec-Czast" prowadzoną przez Rosjanek, funkcjonariuszkę KGB. Sprawa była zdecydowanie podejrzana, ale my, Polacy staliśmy od takich zagadek daleko.

Pod koniec szóstego miesiąca mojego śledztwa nastąpiła odczu-

walna przerwa wywołana nie znanym mi kryzysem. Nie wzywano mnie na ~~śledziwpxxkx~~ przesłuchania, choć śledztwo w sposób jawny ugrzęzło w biegu. ~~Kłównixxkxkarżenix~~ Trzej główni oskarżeni: Zwinogrodzki, P. Świetlikowski i A. Rymaszewski odrzucili stawiane im oskarżenia. Przeciwstawne z sobą myśli zatruwały teraz moje życie więzienne. Przez sześć! miesięcy aparat śledczy zaangażowany był śledztwem kilkunastuosobową grupą groźnych przestępców politycznych. Kilkunastu darmowych robotników oderwano od produkcji, od "strojki Komunizmu". O wykryciu niebezpiecznej dla ustroju sowieckiego bandy Szpiegów wiedziała już ~~x~~ z licznych tajnych meldunków Moskwa.

Czy ta chwilowa "cisza" w śledztwie miała oznaczać, że dotychczasowe zabiegi, kosztowne gospodarczo i politycznie, okazały się bezowocne, a więc podjęte daremnie?

Czy wszechpotężna machina KGB w tym wyjątkowym przypadku prodzonego pod terrorem śledztwa nie zakończy wyrokami skazującymi?

Wiele takich i podobnych pytań stawiałem sobie w samotnej celi workuckiego więzienia, przeżywając to równie ciężko jak przesłuchania, po których cucikiem się nazajutrz, na mokrej od krwi podłodze swojej celi. Wiedziałem więcej, aniżeli miliony innych, że KGB NIGDY nie rezygnowało ze swoich raz podjętych już zamierzeń. W tym właśnie, że zawsze byli bezwzględni i skuteczni leżała ich dotychczasowa siła, budząca powszechny lęk i strach moc i opinia, iż "wszystko wie i wszystko może!".

Niedoprowadzenie śledztwa i sprawy do końca ~~x~~ oznaczało też nieudolność i kompromitację miejscowego NKWD-KGB. Czy dopuszczą do tego sami? Dobrowolnie? Wydając wyrok na samych siebie???

Pytania takie brzmiały w uszach moich niewiarygodnie, wręcz sensacyjnie. Jednak powstała aktualnie sytuacja była nagą prawdą, aczkolwiek też dotąd niebywałą.

Kazik Cis, najbliższy Przyjaciel, poeta, wierny współtowarzysz ostatnich 10 lat walki i cierpień, kiedyś powiedział: "Radość nasza

jest spokojna, a ból kamienny". Ta smutna w swojej treści, lecz ~~prawk~~ prawdziwa i adekwatna w życiu akowskiego żołnierza i dowojennego pokolenia sentencja myślowa nurtowała również i we mnie. W swoich aktualnych rozważaniach brałem również pod uwagę możliwość rozstrzelania nas wszystkich bez zakończenia śledztwa i sądu, a jednak byłem spokojny. Uzbrajało nas bowiem przekonanie, że walczyliśmy o słuszną sprawę, a doznane w nagrodę krzywdy i cierpienia zawsze były w tę postawę wkalkulowane. Fizycznie rozrzućeni byliśmy po różnych celach, a stanowiliśmy jedość, z którą workuckie KGB nie poradziło, której nie złamało i nie ugięło. Dlatego właśnie "ból nasz był kamienny".

Styczniowym przedpołudniem 1951 roku otwarły się drzwi ~~do~~ do celi mojej wszedł strażnik z kartką w ręce. Ruszyło - przemknęła jak zwykle w chwili takiej myśl. Na ~~skan~~ przesłuchanie, etap, przed egzekucyjny pluton?...Różne przychodzą wtedy do głowy myśli, bo wszystko w tym kraju "Rad" jest możliwe i realne.

W celi byłem sam, znał już dobrze moje nazwisko, "imia i otczećstwo", a jednak zasyczał przeciągle przez zęby: "Na bukwu SSSS"...

Będąc świadomy, że strażnik wie to, o co pyta i chce usłyszeć - przewyciężając wewnętrzny upór, odpowiedziałem: Pawieł Rudolfowicz Świetlikowski.

"Paszli!"- zawyrokował władczo strażnik. Wyszliśmy z celi. Prowadził mnie ~~na~~ w biały dzień!! na niezwykle jak na zwyczaje KGB spotkanie. Znow minuty bezowocnych domysłów, pozostających bez odpowiedzi pytań, naiwnych zawsze złudzeń...

Za stołem w pokoju, do którego zostałem wprowadzony siedział mój stary, ~~z~~ "dobry" znajomy mjr Sokołowski. Wskazując ręką stojący tuż przy stole! taboret, i obdarzając mnie spojrzeniem dobrotliwego wujka, rzekł:

"Sadities, Pawieł Rudolfowicz!".

~~ByłaxwxgłnsixxnmjrraxSokołowskięgxzawd~~

Przebijała w głosie majora Sokołowskiego tonacja doznanego zawodu, poniesionej i nieoczekiwanej porażki dogmatu wszechmogącego KGB, by-



ła jednak również nuta pogodzenia się z koniecznością uznania zai-  
stniałej sytuacji dla jego struktury myślowej zapewne po raz pier-  
wszy, że oto oto grupa Polaków, oficerów AK, typowych "wrogów naro-  
du" okazała się na tyle moralnie niezłomna, że przywiezieni do te-  
go więzienia w roli przestępców opuszczą go być może jako ludzie  
niewinni.

Po chwili milczenia major wyjął z zzuflady jakieś zdjęcie, i po-  
dając mi, ~~przewidział~~ rzekł: "Posmotritie!"

Wziąłem zdjęcie do ręki. Zobaczyłem na nim majora Sokołowskie-  
go w mundurze polskiego majora. "Przez kilka <sup>1945-48</sup> lat, ~~1945-48~~ mówił - pracowa-  
łem w Polsce z polskimi towarzyszami. Organizując Urząd Bezpieczeń-  
stwa" szkoliłem przyszłych jego funkcjonariuszy."-zakończył swoje  
niecodzienne i najmniej oczekiwane wyznanie.

Poco mnie o tym wszystkim dziś mówi?- zastanawiałem się zdzi-  
wiony izaskoczony. Bce pozyskać mnie do dalszych zeznań? - pytałem  
siebie w myślach. Polski munder na karku Rusaka i kagiebisty wyja-  
śniał mnie wszystko.

Po spędzeniu w Polsce ■ wiadomym zadaniem, udający Polaka,  
przebrany w polski mundur Rosjanin mówił: " Ja robił w Polsce so-  
cjalizm".

Patrzyłem na trzymane w ręce zdjęcie, i słuchając tych wynurzeń  
w milczeniu, myślałem - czego mu powiedzieć w aktualnej sytuacji nie-mog  
mogłem; Gdy zastanawiałem się nad odpowiedzią, major mnie uprzedził:

"Wasze dieło prekraszczajetsa, wsie wasze pokazanija priznat'  
niediejstwitielnymi". ~~Кодинажххххххх~~

~~Слушајте~~ Położył przede mną przeczytany przed chwilą protokół,  
mówiąc: "Podpiszytie, Pawieł Rudolfowicz!".

W pierwszej chwili pomyślałem, że to jakiś kolejny podstęp, żart  
kiepski. Wziąłem skwapliwie protokół do ręki. Przeczytałem go od po-  
czątku do końca. Zawierał akt oskarżenia X, nazwiska oskarżonych oraz  
sucha rezolucja o przerwaniu dochodzenia.

Dopiero po powtórnym sprawdzeniu treści zauważyłem na dole pie-  
częć okrągłą K&B oraz dwa podpisy. Tak, to był dokument, który za-

mykał definitywnie naszą sprawę. Podpisałem podane mi oświadczenie, i idąc już korytarzami do swojej celi, nie mogłem oswoić się z myślą, że z taką intensywnością prowadzone dotąd śledztwo rozplynęło się nagle w tajemniczej mgie. Szedłem do celi niesiony na niewidzialnych skrzydłach Boskiej Opatrzności.

Nagle, zbliżając się do załamania korytarza, ~~muszę~~ doleciał gwizd człowieka. Prowadzący mnie strażnik odpowiedział mu podobnie. Usłyszałem z tyłu komendę: "Stanowisz k stienkie!".

Przywarłem twarzą do ściany. Usłyszałem za sobą kroki idących dwóch ludzi. Gdy się nieco oddalili, rzuciłem nieznacznym zezem.

Strażnik prowadził A.Rymaszewskiego. Wzywają teraz nas wszystkich do podpisania oświadczenia o umorzeniu śledztwa.

Ten cud wydarzył się 17 stycznia 1951 roku. Byłem już w celi, a myślami wciąż w pokoju mjr.Sokołowskiego. I niktby zapewne nigdy nie dowiedział jak doszło do takiego zakończenia sprawy, gdyby nie.... no właśnie, gdyby nie zwykły przypadek, albo - elementarny błąd śledczych, którzy obok celi, w której przebywali: Rymaszewski, Blinstrub, Pras, <sup>Zarzycki</sup> Cisiy Bauer, ulokowali ~~MxZaługęx~~ ~~Xstt~~ "stukacza" i prowokatora M.Załugę.

Przedzielające cele ściany były z bali uszczelnionych pakułami. Szóstka akowców zorientowawszy się kto jest ich bezpośrednim sąsiadem natychmiast przystąpiła do działania.

Złota rączka Olek Zarzycki wykonał otwór w ścianie, usuwając pakuły. Andrzej Rymaszewski zasiadł przy nim z urzędu do dialogu. Upewniwszy się, że adresat jest z drugiej strony przy otworze powiedział: Mietku! Jeżeli nie odwołasz swoich kłamliwych zeznań - rozstrzelają nas wszystkich, a ciebie jako ostatniego, ponieważ KGB nie zostawia nigdy świadków swojej zbrodni, Wybieraj!

Aby ten argument uczynić jeszcze bardziej wiarygodnym, miejsce ~~pr~~ przy otworze, zajął kolega Załugi jeszcze z lat okupacji Olek Bauer. Ten dodał od siebie: Mietku! Śledczy wie, że jako twój kolega

znam twoją przeszłość okupacyjną. Jeżeli nie odwołasz tych świństw, które im na nas nagadałeś- to zeznam, że przez czas okupacji służyłeś w żandarmerii, współpracując z ~~Niemcami~~ z gestapo. Wtedy ~~przez~~ ~~kwadrans~~ najpierw rozstrzelają ciebie, a nie nas. Uratujemy się i bez twojej pomocy.

Na tym rozmowę z Załugą zakończono, a otwór zamaskowano jak było. Teraz czekano tylko na reakcję Załugi. Dyskutowano, czy przekazane mu argumenty okażą się dostatecznie silne.

Okazały się nie tylko silne, ale i skuteczne, ponieważ szóstka akowców usłyszała wkrótce ~~szuk~~ dochodzący z celi sąsiada ~~szuk~~ pukanie do drzwi. Podszedł wnet strażnik i zapytał: "Czto chatitie?"

Chcę pójść do śledczego - słyszano głos Załugi - mam ważne bardzo dla niego informacje. Zgrzytnęły wnet zamek i zasuw, po korytarzu oddalały się kroki dwóch idących mężczyzn.

Załuga powrócił do celi dopiero po paru godzinach. Mie li jak widać sobie wiele do wyjaśnienia. Przez ten sam otwór w ścianie Załuga poinformował, że odwołał wszystkie swoje dotychczasowe zeznania. Wywołało to niewątpliwie ogromne zamieszanie w aparacie śledczym. Ośmielony tym zwrotem spraw- wycofał również zeznania swoje dotychczasowe T.Pietryk.

Wycofanie zeznań przez dwóch koronnych dotychczas świadków oskarżenia podważyło całą konstrukcję budowanego z takim trudem procesu dowodowego. Gdy informacje te dotarły do Moskwy- sprawa nabrała niespodziewanie niespotykanego dotąd w tym resorcie obrotu.

W Workucie zjawiła się natychmiast przysłana stamtąd specjalna komisja, która, po zapoznaniu się ze sprawą już na miejscu, postanowiła przeprowadzić rozmowę z jednym z oskarżonych w tej sprawie.

Nikt nie wie czym ~~ona~~ się kierowała, decydując się na rozmowę z K.Cisem. Oto jego o tym spotkaniu relacja:

Minął jakiś czas po tych dwóch odwołaniach zeznań przez Załugę i T.Pietryka. Czekaliśmy z niepokojem tydzień, może dwa. Aż pewne-

godzina

go dnia wezwano mnie niespodziewanie do śledczego. W pokoju było dwóch cywilów w wieku około 35-40 lat. Jeden z nich wysoki i szczupły, drugi średniego wzrostu, alw obaj miłej powierzchowności.

Jesteśmy z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z Moskwy - powiedział jeden z nich, rozpoczynając przesłuchanie. Przybyliśmy, aby rozwikłać sprawę, w którą i wy jesteście wplątani. Tylko od was wszystkich teraz zależy, czy będziecie mówić prawdę.

Odpowiedziałem, że prawdę mówię od samego początku, lecz stawiane nam zarzuty przerastają wyobraźnię normalnie myślącego człowieka. Któż bowiem mógłby uwierzyć, że polscy oficerowie, uczestnicy Ruchu Oporu w Polsce mogliby pójść na lep taniej propagandy, wdając się w absurdalną zabawę rzekomej obserwacji ewentualnych desantów amerykańskich.

Ktoby się znalazł wśród racjonalnie myślących ludzi takie bajki lansować, a tym bardziej dać się na nie złapać. Macie przecież własne środki obserwacji lotniczej wyposażone w nowoczesne urządzenia techniczne i elektroniczne i ~~nie wierząc w to, że w takiej sytuacji~~ <sup>posadzanie kogoś w takiej</sup> sytuacja "wyglądanie" (kiedy, jak i poco) kogoś jest zwykłą niedorzecznością. I czemu się boicie więźniów, którzy, którzy wykonują na ogół dobrze swoją pracę, w miarę swoich sił i zdrowia.

Takimi mniej więcej ~~argumentami~~ posługiwałem się argumentami i widziałem, że trafiają one do przekonania. W pewnym momencie jeden z nich powiedział, że musi iść na rozmowy z innymi, a ten drugi dał mi kartkę czystego papieru, pióro i powiedział, żebym napisał krótki życiorys, ale drukowanymi literami i po rosyjsku. Dodał, że w Moskwie ma żonę z pochodzenia Polkę i dzięki niej też sentyment do Polaków.

Przyjąłem to za oczywiście za zwykły krok taktyczny, ponieważ i ci z "sentymentem" działają podobnie jak inni z tej branży. Na zakończenie dodał, że według niego wszystko teraz się rozwikła i wkrótce będziemy odesłani do obozów, do pracy.

Tak się tak też stało. Po kilku dniach "rozrzucano nas do różnych obozów.

M. Załuga ze zrozumiałych względów skorzystał jednak z pomocy swoich "mocodawców" i skierowany został do jakiegoś obozu, gdzie go nikt z Polaków nie znał. Chronili go w ten sposób przed zemstą rodaków.

Obawy KGB były zbędne, bo my Polacy kierowaliśmy się własnymi zasadami etyki i moralności i nawet potem, po powrocie do kraju, wiedząc, że powrócił również i Załuga - puściliśmy to w niepamięć.

Nieudany proces workucki miał jednak swoje określone następstwa dla kierownictwa miejscowego KGB. Rozeszła się bowiem wkrótce pogłoska, że ppłk Smirinin, kpt. Smirnow oraz lejtnant Tumałkin zostali zdegradowani i rozstrzelani, dwóch innych oficerów usunięto z partii i skazano na "posielenie".

Przyjmując tę pogłoskę za prawdziwą, a być tak mogło, ukarano ich nie dlatego, że sfingowali kłanliwy akt oskarżenia (było takich miliony), lecz za to, że wyłączając z produkcji na okres ponad pół roku kilkunastu darmowych niewolników, narazili gospodarkę na straty i nie potrafili sprawy procesu doprowadzić do pomyślnego (skazującego) zakończenia.

W lutym 1951 przetrzucono nas grupami do różnych łagrów Workuty. I tak do łagru nr 7 skierowano: J. Zwinogrodzkiego, L. Blinstruba, K. Prasa, K. Cisa, O. Zarzyckiego oraz O. Bauera.

Do łagru "SZU-2": A. Rymaszewskiego, T. Pietryka oraz P. Świelikowskiego. Będąc już w łagrach, dokonaliśmy dokładnej analizy całej sprawy i przebiegu śledztwa.

~~Przez pierwszych kilka miesięcy trzymaliśmy nas wszystkich w pełnej izolacji na terenie zony łagru. Był to, moim zdaniem, tylko pozorny, taktyczny zabieg kierownictwa miejscowego KGB, które w ten sposób ratowało swoją "twarz" i poniesione fiasko całej tej, głośnej w Workucie awantury.~~

Przez pierwszych kilka miesięcy trzymano nas wszystkich w pełnej izolacji na terenie zony łagru. Był to, moim zdaniem, tylko pozorny, taktyczny zabieg kierownictwa miejscowego KGB, które w ten sposób ratowało swoją "twarz" i poniesione fiasko całej tej, głośnej w Workucie awantury.

Gdy w 1945 roku rozpoczynaliśmy swój pobyt w Warkucie, zastanawiałem się wtedy tylko nad jednym: jak długo tu będziemy, i czy przetrwamy? Były to rozważania makabryczne. Jest już tak, że im w większe człowiek trafia kłopoty i nieszczęścia, tym bardziej zbliża się i potrzebuje <sup>wtedy</sup> opieki Boskiej. Rząd nasz w Londynie był bezradny, Alianci za sowieckie mięso armatnie sprzedali nas Alianci, pozostały tylko wiara w Opatrzność Bożą, że nas nie opuści i z tej matni śmiertelnej uratuje.

Podjęliśmy więc heroiczną walkę o przetrwanie. Podjęliśmy ją w warunkach, w których każdy żył według zasady: "Ty pagibaj sehdonia, a ja zawtra".-Ty giń dziaj, aja jutro. Zasada straszna, bezwzględna, amoralna, wynaturzająco nieludzka. Wyboru jednak nie było. Kto się wahał, zastanawiał - ginął. To słowo "jutro" oznaczało różnie, dla jednych tydzień, dwa, miesiąc, może rok. Wszystko zależało od tego jak długo potrafiłeś w tych warunkach wytrzymać. Dla niektórych to "jutro" przychodziło z nastaniem kolejnego świtu.

Ci, którzy żyli z łopaty 40X60 (tak się określało niewykwalifikowanych robotników), długo nie wytrzymywali, choć była ich większość. Szli nieszczęśliwi pod mech. Codziennie, po kilkunastu.

Od czasu krwawej "przygody" workuckiej przeszło już kilka miesięcy. Zapominaliśmy o nie powoli, jednak nawiązanych kontaktów z Polakami nie zrywaliśmy. Uważaliśmy to za swój ważny obowiązek moralny. Szczególnie dotkliwie przeżywały i odczuwały to nasze dziewczęta. 26-letnia Lwowianka "Krystyna", łączniczka AK posiwiała jak biała gołębica. Dziesięć spędzonych lat w łagrach przez młodego mężczyznę to tragedia osobista. Ten sam okres spędzony przez młodą dziewczynę to śmierć psychiczna za życia.

Wiernym odbiciem tych warunków były popełniane w łagrze często samobójstwa. Ludzie ci ~~widzieli~~ w zadanej sobie śmierci widzieli jedyną możliwość pełnego wyzwolenia. Jedni wieszali się w barakach na ręcznikach. Inni wbrew zakazowi podchodzi blisko do kol-

czastego ogrodzenia, aby zginąć od kuli czujnego strażnika. Mniej odważni i zdecydowani, dla których życie w łagrze nawet miało jakąś wartość, odrąbawali sobie palce u nóg, rąk, niekiedy dłoń całą,

Na te desperackie czyny decydowali się jednak ludzie doprowadzeni do ostateczności. Rzucali się w objęcia śmierci, ponieważ tracili ostatnią nadzieję, że w życiu ich coś się jeszcze zmieni, a na bytowanie w niewolniczym kiracie, prowadzącym niechybnie do powolnej śmierci godzić się już nie mogli i nie chcieli.

Niektórzy wydawali na siebie wyrok śmierci z odroczeniem krótkim w szasie. Decydowali się na ucieczkę z łagru. Możliwe to było tylko zimą i w czasie szalejącej "purgi". Wśród wichru i zamieci śnieżnej więzień podkładał się do drutów ogrodzenia. Chroniła go jeszcze noc. Strażnicy chronili się do kąta swojej wierzyckiej, biegnące po drucie psy zaryły się gdzieś w śniegu jak krety, aby czas burzy bezpiecznie przeczekać.

Przedostając się za druty więzień chwytła pierwszy łyk zdobytej w ten sposób wolności. Czuje się wolny, ponieważ nie ma z tyłu konwojenta i idzie dokąd chce. Kierunek marszu ma już wybrany. Przemyślał to dawno w szczegółach, teraz musi tylko dbać o to, aby go utrzymać. Miejsce wyjścia w tundrę wybrał pod wiatr, aby nie "wyczuli" go psy. ~~W tundrze kieruje~~ Jest ciemno i zawieja, kieruje się więc tylko intuicją i wyczuciem obranego kierunku. Brnie po pas przez zasy niesionego wciąż przez wiatr śniegu. Czas trwania "purgi" to czas, który pracuje dla zbiega. W tym czasie musi oddalić się ~~z~~ ~~łagru~~ możliwie najdalej od łagru.

Przy wieczornym apelu -"prowierce"- stwierdzą jego nieobecność w baraku i ogłoszą alarm dla służby strażniczej. Jednak pogoń za zbiegiem będą mogli dopiero po ustaniu "purgi". Stwierdzą wtedy miejsce przejścia przez druty i wybrany kierunek ucieczki. W sukurs dojdzie słynny sowiecki "kukuróznik", który dokonawszy lustracji

terenu ustalili miejsce pobytu zbiega. Dopiero wtedy wyruszy zgraja strażników z psami w pogoń i będzie ją kontynuować aż doścignie zbiega.

Nie zawsze jednak czas trwania burzy jest adekwatny do przebytej przez zbiega drogi i oddalenia się od łagru. Bywa, że po dwóch dobach walki z "purgą", klucząc w wielu kierunkach znalazł się przy tym samym obozie tylko z jego drugiej strony.

Uporczywa walka z żywiołem i nieprzespane noce pozbawiły go sił. Świadomy jest przegranej, ale ma pełnię satysfakcji, że przynajmniej przez te dwa dni był naprawdę wolnym człowiekiem. I o to wszak mu chodziło, gdy decydował się i podejmował tę akcję ucieczki.

Wszystkie znane mi w Workucie ucieczki kończyły się schwyтaniem i rozstrzelaniem zbiega na miejscu. Następnie rozebranego do naga przywożono do łagru i kładziono go przy bramie wyjściowej, aby wychodzący do pracy więźniowie oglądali. ~~te ponura maskarade. Trwało~~ to tydzień i dłużej, aby w świadomości wszystkich więźniów utrwaliła się świadomość, że ucieczka nie popłaca.

Obraz martwego, zmarzniętego na kość i białego jak wapno człowieka utrwalił się w pamięci mojej do dziś. Administracja łagru, "Kumowie", strażnicy i konwojenci przechodzili obok <sup>jakby</sup> nie "zauważając". W tej obojętności wyrażali wierność partii i ideologii. W tej obojętności na popełniony mord, w bezwrażliwości na ~~zezwierzę~~ czyny świadczące o zezwierzęceniu ujawniała się rzeczywista wartość moralna tej partii, ideologii i jej wyznawców, półludzi.

W roku 1953 podjęto próbę ucieczki dwóch młodych Polaków, ~~akow~~ ~~ów~~ Jeremi Odynski i Janek Prusznier, żołnierzy Szarych Szeregów. Znaleźli się Obaj w Workucie, ponieważ najbardziej ukocniali Polskę, o Jej wolność walczyli i Jej tylko chcieli wiernie służyć.

Schwyтani tak jak wszyscy ich poprzednicy zostali rozstrzelani 26.08.1953 roku po dziesięciu prawie latach odbytej katorgi.

Siostra Jeremiego Natalia Odynska odbywa<sup>ła</sup> w tym czasie w Workucie wyrok 20 lat katorgi w łagrze "Kirpiczny-2". Miała więcej



szczęścia od swego brata, powróciła do kraju po 12 latach przeżytej tam gehehny.

Ci Dwaj wielcy, młodzi jeszcze Patrioci oddali swoje życie z myślą o Biało-Czerwonej. Dla rządzących z woli okupantów PRL-em byli niepotrzebni, przeszkodą, "zaplutymi karłami reakcji".

Kto o Nich i Takich jak Oni pamięta dziś w III R.P.???  
Głównie też w swoim czasie było o zbiorowej ucieczce z obozu "Strojka-501", położonego o kilkadziesiąt kilometrów na południe od Workuty. Ci, w przeciwieństwie od zbiegów workuckich, mieli jeden, mały cień nadziei na ratunek, choć również szalenie problematyczny, a był nim odległy o 100 kilometrów las. Las, który mógł dać chwilowe tylko schronienie i nic więcej...

Akcję zainicjował bunt w obozie. Udało się więźniom obezwładnić strażników i zdobyć nieco broni. Na czele buntowników stanął były ppłk Armii Czerwonej. Zanim ruszyli w stronę docelowego lasu ulegli poczuciu więziennej solidarności, desydując się na uwolnienie więźniów z dwóch sąsiednich obozów.

Zamiar zrealizowali pomyślnie, lecz zajęło to im sporo cennego czasu. Gdy ruszyli razem już w drogę, administracja obozu zdążyła zorganizować grupę pościgową wśród strażników. Tym razem uciekinierów było dużo, a co najważniejsze - byli częściowo uzbrojeni.

Drogę mieli przed sobą daleką, kondycję fizyczną słabą, znikomą ilość prowiantu. Byli jednak silni duchem, wolą walki i zdecydowani na wszystko.

Dla odmiany oddział pościgowy w trosce o swoje życie nie ryzykował podjęcia walki bezpośredniej. Nękał uciekających z daleka, opóźniając posuwanie się kolumny. Strażnicy liczyli, że trudposuwania się po bezdrożnej tundrze i brak żywności osłabi zbiegów do tego stopnia, że poddadzą się bez walki.

Skutek marszu głodnych ludzi nie był trudny do przewidzenia. Już po dwóch dniach zabrakło żywności i sił do forsownego i obronnego marszu. Oddział pościgowy zwiększał wciąż nacisk z broni maszynowej.

Słabsi więźniowie zaczęli odstawać od kolumny. Padając z kompletnego wyczerpania byli dobijani przez podążających za w pewnej odległości za kolumną krasnoarmiejcami.

Z braku żywności zjadano tych, którzy słabli i o własnych siłach iść już nie mogli. Działo już prawo dżungli. Szczegółów zakończenia tej niezwyklej ucieczki nikt nie zna. Sądząc jedynie po dostępnych już potem półoficjalnych i pokątnych informacjach - zakończenie było makabryczne.

Ucieczka została zlikwidowana po przejściu przez kolumny 70-80 kilometrów drogi. Połowa padła w drodze z wycieńczenia i kul oddziału pościgowego. Resztę, po sześciu dniach męczącej pogoni, słaniających się już na nogach więźniów rozstrzelano na miejscu. Zbiorowa mogiła, już z konieczności, powstała na miejscu końcowej likwidacji kolumny ucieczkowej. Musiały być również straty zabitych i po stronie oddziału pościgowego. Tych jednak nigdy się nie ujawniało.

Próby ucieczek podejmowano dopiero w latach pięćdziesiątych, gdy nie doszło do oczekiwanej przez wszystkich kolejnej wojny, nie objęły więźniów politycznych ogłoszone dotychczas amnestie, gdy reżym w łagrach się zaostrzał, a świadomości każdego katorżnika dojrzała okrutna świadomość, że tu w workuckiej tundrze przewidziano mu pod śniegiem miejsce.

W łagrze panował ogólny głód. Oto jedna tylko z tego wątku życia scena. Przez plac obozowy idzie dwóch więźniów, niosąc na kijku zawieszony, kipiący parą kocioł zupy. Strażnik, z kijem sękatym w rękę, idzie za nimi. Przechodzący obok przypadkowo, (a być może i czekał na tę okazję) katorżnik doskoczył nagle do kotła i zanurzył w nim całą rękę. Wyciągnął ją wnet ruchem szybkim jak oparzony i wyłowione pół ziemniaka wtłoczył chciwie w usta.

Idący w obstawie strażnik lał go przez cały czas tej niesamowitej "operacji" kijem po plecach i ramionach, choć ten, grzebiąc tylko ~~w kotle~~ w kotłowym wrzasku i nie zważając na otrzymywane razy szukał

w nim choćby jednego nierozgotowanego ziemniaka, który w tej chwili miał dla niego znaczenie przetrwania. Mało kto z przechodzących w tej chwili katorżan zwrócił na tę scenę swoją uwagę. Był to bowiem już obraz z rzędu tych często oglądanych, niemal codziennie, który stał się na tyle normalny i powszechny, że przestano go "o-  
lądać" i o nim mówić.

Gdy żądza zaspokojenia głodu bierze górę nad poczuciem godności osobistej, traci wtedy również poczucie elementarnego ludzkiego wstydu. Upada się wtedy tak nisko, że przestaje się być człowiekiem. Jednak takiego upadłego na dno nędzy i beznadziei "dochadzi" nikt z katorżan nie potępiał. Każdy z nas tylko bał się i myślał: obym tylko ja nie upadł tak nisko i nie poszedł w jego ślady!

Tryb życia łagrowego "dochadzi" (było ich sporo), który głód swój zaspakajał wygrzebanymi na śmietniku odpadami - powodował liczne choroby zakaźne i przewlekłe biegunki, po których czekały już tylko pogrzebowe nosze.

Z łagru wynoszono codziennie kilku, czasami i kilkunastu zmarłych. Gdy wspomniał przypadkowo ktoś o tym - zawsze ktoś inny powiedział: "Ci są już wolni"!

I tyle tylko mówiono w barakach po śmierci ludzi, których życie jakże często było bogate, piękne, niekiedy bohaterskie.

Rzecz niezmiernie ciekawa, nikt z więźniów nie chciał wiedzieć, gdzie jest ten rzekomy "cmentarz", na którym chowają codziennie zmarłych. Mówię "chowają" - a czy można pochować człowieka nie kopiąc mogiły?

Ziemia zamarznięta tu jest przez okrągły Boży rok na głębokość dwóch metrów. Kilofem stalowym nie odbije się z niej fasolki jednej zmarzłej ziemi, a cóż dopiero mówić o wykopaniu mogiły i to rękami chwiejącego się na nogach więźnia. A "mogił" wciąż przybywało, najczęściej zbiorowych.

Przybywało też lat, nie zmieniał się tylko reżym niewolniczej pracy oraz warunki codziennego bytowania. Nadal byłeś tylko numerem, który po śmierci przywiązywano ci do dużego palca u nogi

i z którym wynoszono ciebie w tundrę na wieczny już tam spoczynek.

Aby w tych warunkach wytrwać i nie zwariować, tworzyliśmy mit podwójnego życia, rozdwojonej jaźni, z której jedna część z konieczności musiała obracać się w otaczającej rzeczywistości, a druga w minionej przeszłości.

Szedłem ciemnym chodnikiem kopalni, a myślami byłem w Wilnie, w gronie najbliższej rodziny, przyjaciół, ukochanej dziewczyny. Spożywałem w stołówce <sup>żagrowej</sup> plugawą "bałandę", a wspominałem czasy, gdy troskliwa Matka zastawiała stół lubianymi przeze mnie potrawami. ~~Wkładaliśmy się w życie~~ Wieczorem, po dniu ciężkiej pracy, układałem się na drewnianej pryczy do snu, uciekając w myślach do lat młodzieńczej beztroski, szkolnych wycieczek, akademickich potem dysput, romantycznych uniesień i naturalnych, zwykłych, ludzkich planów na budującą i obiecującą przyszłość.

Nie łatwo było tak żyć na dwa naraz, jednocześnie fronty.

Słuchać w baraku jak ktoś "kryje plugawym sowieckim matem" i jednocześnie ~~przewodzić rozmowę~~ w zielonym Zakrecie prowadzić rozmowę z ukochaną dziewczyną, z którą rozstałem się aresztowany bez pożegnania, i która do dzisiaj nawet nie wie, co się ze mną stało.

Z kopalń workucykich wyjeżdżały tysiące pociągów węgla, do-  
bywanego potem i krwią katorżników, w tym również katorżników Po-  
laków. W latach 1940 - 1948 straty ludzkie uzupełniano szybko ,  
sprawnie, bez trudu. Niewyczerpanym źródłem darmowej siły roboczej  
były podbite w tym czasie i ujarzmione narody.

Przyszły jednak lata pięćdziesiąte i dawne bogate w niewol-  
ników źródła stały się jakby mało wydajne, utraciły swoją żywot-  
ność, zaczęły usychać. Odczuliśmy to w sposób bardzo widoczny i w  
Workucie. Zauważyliśmy ukrywaną przed nami zmianę stosunku Admini-  
stracji żagru do nas. Staliśmy się nagle towarem handlowym, który  
warunkował również <sup>osobiste</sup> ich funkcjonowanie na intratnych i wysoko cenio-  
nych funkcjach politycznych.

Znamienny rok 1953.

Nadszedł wreszcie znamienny w historyczne, o epokowym znaczeniu wydarzenia rok 1953. Rok, który wstrząsnął osadami Związku Sowieckiego, zaniepokoił jego państwa satelickie, poruszył opinię całego świata.

Wracają do niego współcześni historycy, badając trudno dostępne, tajnione i nadal skrywane przed opinią społeczną mroczne dzieje stalinowskiego Dżingischana. Manipulują nimi do dziś zajmujący najwyższe w kraju stanowiska politycy dawnego imperium i usłudźni w swoim czasie ich sateliccy lokaje, skrywający własne również popełnione przestępstwa i mordy. Żyją też jeszcze ci nieliczni, którzy wydarzeń tych byli bezpośrednimi świadkami, a gehennę tego systemu przeżyli osobiście w samej paszczy potwora, w osławionym GULAGU.

Przyszędł marzec. Pozornie taki sam jak rok, dwa i dziewięć lat temu: mroźny, głodny i wiejący pustką katorżańskiej beznadziei. I choć zawsze obcy, wrog i znienawidzony - to jednak i budzący nadzieję zbliżającej się ~~wizny~~ zapolarnej wiosny, a z nią i ~~wizną~~ <sup>obsesyjną</sup> już ~~wiarę~~ w nadejście lepszej, zmieniającej nasz los nowiny.

Zbliżało się święto kobiet. obchodzone w Związku Sowieckim jak wszystkie inne ustalone przez ten system ze szczególnym nagłószeniem propagandowym. Zawieszony w baraku na ścianie wykonany chałupniczo reproduktor radiowy bębnił bez przerwy od samego rana o olbrzymiej trosce jaką genialny i dobroduszny Stalin wyrażał dla dobra "radzieckich" kobiet.

Te wygłaszane na cześć kobiet pochwały nie brzmiały nigdzie tak oszukańczo i obłudnie jak właśnie w "Kraju Rad". Szczególnie w warunkach Workuty było to widoczne jak na dłoni. W warunkach surowej zimy arktycznej kobiety pracowały na powierzchni przy ręcznym załadunku węgla na taśmociąg, orały ciężko na głębokości kilometra w zapyłonej, mokrej i gazowej kopalni, a gdy wyjeżdżały utrudzone niesamowicie ~~na~~ po zmianie na górę - otrzymywały z rąk spasionego "partorga" jeden kwiatek! i zadowolone z takiego przynajmniej

Przebierały się szybko ~~вхлэкіягдхеніеіаіххуігзііііііа~~  
wyróżnienia biegly do swoich baraków, by na ustawionej w korytarzu

na taborecie ~~maszynce~~ ugotować dla siebie i męża obiad. Od męża, koniecznie, otrzymywała kwiatek drugi. I szła potulnie do "rejonu" na zakupy z myślą o dniu jutrzejszym. I czy powie ktoś, że nie uczczono dnia kobiet, o którym trąbiono przez cały tydzień poprzedzający?

5 marca wróciliśmy z pracy jak co dzień. Zmęczeni, głodni i zziębnięci. Mroźny, ostry wiatr zacinał śniegiem. Zjedzony w stołówce obiad zaspokoił tylko częściowo doskwierający głód. Każdy śpieszył do baraku, aby się położyć na swojej pryczy i nieco odpocząć po dniu ciężkiej pracy. Z wiszącego reproduktora dochodziły dźwięki wesołej muzyki na cześć kobiet. Przyjmowaliśmy to z obojętnością.

Nagle - donośny głos ~~szwaka~~ radiowego spikera Lewiatana zapowiedział nadanie ważnego komunikatu. W baraku ucichły wnet wszystkie rozmowy, zapanowała kompletna cisza.

Może ogłoszą amnestię - odezwał się ktoś z głębi baraku. Najpierw nogi wyciągniesz - zreplikował inny. Parokrotnie już w czasie mego pobytu w Workucie, podobnie jak przed chwilą, ~~zapowiedziano~~ ogłaszano reklamowaną wielce amnestię dla skazanych do 5 lat więzienia. Była to typowa dla tego systemu gra na nerwach. Nagłośniono zwolnienie kilkudziesięciu złodziejaszków i chuliganów, podczas gdy 20 milionowy polityczny ~~GULAG~~ był nienaruszony. I to przez cały okres ery stalinowskiej.

Ożywioną na ten temat dyskusję przerwał ponownie głos Lewiatana, który mówił:

"Nasz wielki wódz, ukochany ojciec i opiekun narodu radzieckiego, genialny strateg wojskowy i "połkowodziec", niezmordowany bojownik o prawa klasy robotniczej całego świata - "kańczałsa siegodnia"- zmarł dzisiaj! Rząd Kraju Rad ogłasza z dniem dzisiejszym tydzień żałoby narodowej"

W pierwszej chwili ~~wzbur~~ wśród słuchających nastąpiła konsternacja. Wszyscy oniemieli przez zaskoczenie. W sercach katorżan wzniecono radość, ale myśl, że może to nieprawda - ~~zatkła~~ odjęła wszystkim mowę.

Gdy szok pierwszy minął, ktoś głośno wykrzyknął: "Bandyta wy-  
ciągnął kopyta! Brawo!"

Sto par rąk uderzyło wnet zgodnie w dłonie i sto jednocześ-  
nie gardziel zagrzmiało entuzjazmem i radością, skandując: "Stalin  
padoch!- no i ch.. z nim!"

W tej samej chwili doznałem wrażenia jakby <sup>osunęła</sup> ~~zakrzęła~~ się pod  
~~Workuta~~ <sup>Workuta</sup> ziemia, a w wytworzoną otchłań piekielną leciało strąco-  
ne Opatrznością zakrwawione ciało ~~N~~ ludobójcy wszechczasów Stali-  
na. Oto nadeszła ta długo oczekiwana minuta, w której usunięta zo-  
stała główna przeszkoda do wolności. Jedna tylko informacja, a już  
inaczej zupełnie ujrzelśmy swoją sytuację, zmieniliśmy też sposób  
myślenia o swoim najbliższym losie.

Tak dalej być nie może!- myślałem najpoważniej w świecie. Zde-  
jmą nadmuchane wyroki, pozostałym obniżą, złagodzą reżym i popra-  
wią warunki bytowe. Była to diagnoza na gorąco, ogólna, wynikają-  
ca jednak z dokładnej znajomości aktualnego stanu atmosfery w ła-  
grach workuckiego Recz-Łagu. Dwudziestomilionowy JULAG odetchnął  
nagle pełną pierśią, podźwignął się z kolan i podniósł po raz pie-  
rwszy pochyloną dotąd głowę.

Po raz ~~po~~ pierwszy również pozbyliśmy się poczucia strachu, któ-  
ry paraliżował dotąd nasze myślenie i postępowanie. Śmierć, która  
czyhała dotąd na odległość krasnoarmiejskiego automatu, krąpując  
nasze myśli- ~~x~~ nabrała teraz cech alternatywy lepszej i godniej-  
szej od trwania w dotychczasowym marazmie i poniżeniu. Co ważne-  
analogicznie lub podobnie myślała teraz zdecydowana większość wię-  
źniów.

Śmierć Stalina zaostrzyła sposób ~~pa~~ naszego patrzenia na ota-  
czającą nas rzeczywistość, na niespełnione rachuby i nadzieje, spra-  
wców naszego nieszczęścia ustawiła na ławie oskarżonych.

W baraku prowadzono ożywioną niezwykle i gwarną rozmowę. Wszy-  
scy mówili jednocześnie, znalazło się wielu nieomylnych proroków,  
którzy z pewnością egipskich kapłanów przepowiadali najbliższe, do-  
tyczające nas zmiany oraz dalsze posunięcia władz centralnych.

Komunikat o śmierci Stalina przyjąłem w pełni za prawdziwy, to jednak nie wiem dlaczego, - malusienka cząstka wątpliwości naruszała jeszcze mój wewnętrzny spokój.

Czy naprawdę przestał istnieć ten, który jednym słowem swoim powodował dziesiątki ludzkich nieszczęść i śmierci? Czy naprawdę ten wszechmocny i zdawałoby się wieczny <sup>złoczyńca</sup> okazał się bezbronny wobec śmierci, gdy ta przyszła po niego, choć był tak władny, że jednym krwawym paznokciem zmieniał granice państw Europy i przemieszczał całe narody, by je potem mordować i grzebać w zakonspirowanych, zbiorowych mogiłach?!

Była to jednak dygresja raczej historyczna, na którą mogłem pozwolić sobie ze spokojem. Potwór naszych conocnych snów już nie żył. Leżał tam w tej chwili gdzieś na Kremlu martwy i gnijący wewnątrz jak powalona i próchniejąca kłoda.

Pogrążona w żałobie Moskwa słała w eter dźwięki muzyki żałobnej, a stutysięczna Workuta po raz pierwszy odetchnęła z ulgą, licząc na lepsze teraz dla niej dni.

Jednak śmierć Stalina nie była śmiercią naturalną. Kulisy jej i szczegóły przedstawił nam w 1975 Abdurachman Awtorchanow, za młodu aktywista partyjny, po odbyciu 5 lat w łagrach opuścił ZSSR w 1943. Był profesorem historii Rosji i jednym z najwybitniejszych sowietologów. Książka jego "Zagadka śmierci Stalina" jest cennym ~~źródłem~~ źródłem materiałowym i vademecum o całym okresie sprawowania władzy, włączając w to również i okoliczności śmierci jego największego "przeciwnika" Berii.

Z niej to dowiadujemy się, że 17 lutego 1953 roku odbył się pogrzeb gen. Kosynkina, Komendanta Kremla, odpowiedzialnego za bezpieczeństwo Stalina. Są wszelkie powody, aby sądzić, że do tej przedwczesnej śmierci przyczynił się Beria.

Jeszcze dopóła wieczorem 28 lutego 1953, będąc w pełni sił i zdrowia, Stalin przyjmował w swojej prywatnej podmoskiewskiej dacy w Kuncewie Berię, Chruszczowa, Malenkowa i Bułganina na służbowej naradzie.



A już nazajutrz rano 1 marca znaleziony został w swojej sypialni na podłodze na wpół sparaliżowany, z odjętą mową, tylko z groźnym jeszcze jak to podaje w książce swojej córka jego Świetłana Allikujewa i wiele mówiącym błyskiem nienawiści w oczach jakby mówiących: Otruli mnie!

To nagłe zaskabnięcie zaskoczyło nawet dobraną przez niego, zaufaną i wierną mu służbę, która stwierdziła to dopiero w południe.

Osobisty lekarz Stalina dr Winogradów, sprawujący tę funkcję przeszło dziesięć lat, zmieniony został tuż przed jego śmiercią na protegowaną przez Berię lekarkę.

W pierwszym komunikacie rządowym ogłoszono, że wylew krwi ~~do~~ do mózgu u Stalina nastąpił w nocy z 1 na 2 marca w mieszkaniu moskiewskim.. Tymczasem jak się później okazało miało to miejsce na dacy prywatnej Stalina w Kuncewie, gdzie odbywały się często służbowe spotkania ścisłego kierownictwa Polibiura.

Właśnie 28 lutego, w sobotę wieczorem byli w Kuncewie u Stalina na spotkaniu: Beria, Malenkow, Chruszczow i Bułganin. Służbowa kolacja przedłużyła się do 5-6 rano. Stalin był zdrow, żartował, sporo pił. Cała czwórka wysokich dostojników opuściła Stalina rankiem 1 marca.

Tegoż dnia po południu straż z willi w Kuncewie powiadomiła telefonicznie Malenkowa o zapaści Stalina. Po 20 minutach w willi Stalina pojawili się wszyscy czterej wczorajsi biesiadnicy. Obsługa willi, zaniepokojona długim milczeniem Stalina, znalazła go w jego pokoju o godzinie 11-tej leżącego na podłodze. Położyli go na kanapie w małym pokoju. Stan jego był ciężki: miał sparaliżowaną całą prawą stronę i odjętą mowę.

Bułganin, Beria, Chruszczow i Malenkow dowiedziawszy się o tych szczegółach od obsługi, nie chcąc rzekomo przeszkadzać będącemu "niereprezentacyjnym" stanie Stalinowi - odjechali do domów, nie widząc się z nim i nie wezwawszy lekarzy.

W nocy z 1 na 2 marca straż z Kuncewa po raz drugi powiadomiła telefonicznie Malenkowa, że stan Stalina uległ znacznemu pogorszeniu. Malenkow powiadomiwszy Chruszczowa przyjechali wkrótce do willi w Kuncewie powtórnie. Pobyt swój w niej ograniczyli do zasięgnięcia od służby bezpośredniej relacji o tym, że Stalin śpi, a po wezwaniu tu Kaganowicza - sami odjechali.

Lekarze zbadawszy Stalina orzekli, że choroba tego rodzaju trwa niedługo i kończy się śmiercią. Córkę Stalina Świetłanę Alliżujewę i syna gen. lejtnanta dopuszczono do ojca dopiero 2 marca, gdy stan jego był już właściwie agonalny, stracił przytomność.

Zabiegi reanimacyjne dokonywane przez lekarzy nie przyniosły, bo nie mogły już dać pozytywnych rezultatów. Agonia miała przebieg straszny. Stalin otworzył jeszcze oczy, podniósł z wysiłkiem lewą rękę i usiłował dać jakiś znak. Świetłana Alliżujewa odczytała w domyśle, że był to znak groźby. Komu groził Stalin w tej ostatniej sekundzie swego życia?!

Do dziś nie wie tego nikt, są domysły, jawne oskarżenia, posądenia. Groził swoim zabójcom?

Są jednak nieodparte fakty, a za nimi pojawiające się pytania: Dlaczego w pierwszym komunikacie urzędowym podano nieprawdźwie, że Stalin zaniemógł w swoim moskiewskim mieszkaniu?

Czy dlatego, że w willi w Kuncewie tego wieczoru odbyła się uczta z udziałem wiadomej czwórki z Politbiura?

Dlaczego po pierwszym alarmie służby w Kuncewie o chorobie ~~Stal~~ Stalina, przybyła wielka czwórka nie raczyła zajrzeć choćby do ~~pnk~~ pokoju, gdzie leżał Stalin?

Dlaczego nie wezwano natychmiast do chorego jego lekarzy?

Dlaczego wielka czwórka nie chciała spotkać się ze Stalinem 2 marca, gdy straż wezwała ich po raz drugi?

Dlaczego zamiast stałego przy Stalinie lekarza Winogradowa, którego Beria parę tygodni wcześniej aresztował - zastano lekarkę ulokowaną tu przez Berię?

Dlaczego dzieci Stalina, córkę i syna, dopuszczono do ojca dopiero na 2-3 dzień jego choroby, gdy był już nieprzytomny, a zmiany w jego organizmie były nieodwracalne, choć domagali się tego wcześniej?

Dlaczego syn Stalina gen.lejtnant Wasylij, który otwarcie głosił dookoła, że ojciec jego został zamordowany - został w dwa tygodnie później zdegradowany, aresztowany i umieszczony w osławionym więzieniu we Władymirzee?

Przesiedziawszy tam siedem lat zmarł na zesłaniu w Kazaniu, w marcu 1962 roku.

O tym jak dokonano zabójstwa Pawła 1-go Rosja dowiedziała się dopiero w sto lat później, po roku 1905. Nie ma zagadki, czy Stalina zamordowano, zagadką jest tylko sposób w jaki mord ten dokonano.

Powracam jednak do Workuty, gdzie śmierć tego satrapy przeżyłem z odczuciem olbrzymiej ulgi w dziewiątym już roku swego pobytu w łagrach. Przez całe dziesięciolecia komunistyczna propaganda tworzyła wokół osoby Stalina nimb doskonałości, dobroduszości, genialności i stu innych jeszcze cech, dla śmiertelnika innego nieosiągalnych.

Pisarze, poeci, redaktorzy, kołchoźnicy i artyści, politycy i generalicja, wszyscy bez wyjątku pisali, głosili i śpiewali, wyrażając jedynie zachwyty i uwielbienie, przysięgając mu dozgonną wierność i miłość. Czyniono tak z myślą o karierze i ze strachu.

W rezultacie w świadomości powszechnej obywateli ZSSR Stalin urósł do roli bohatera narodowego, stając się już za życia postacią wręcz nadludzką. Dlatego właśnie jego nagła śmierć wstrząsnęła wszystkimi bez wyjątku: tymi, którzy go szanowali i uwielbiali jak i tymi, którzy go przeklinali i nienawidzili.

W przejmujących mowach pożegnalnych ronili obfite łzy nad jego trumną: Kaganowicz, Woroszyłow i tysiące innych szdzerých wielbieli. Płakali również i ci, którzy śmierć jego mieli na własnym sumieniu.

Stalin był niewątpliwie wytrawnym graczem i artystą: w dzień

oglądano go najczęściej jako dobrego ojca z dzieckiem na rękach lub uściskającego ręce kobiet czy emerytów, a w nocy, w willi swojej w Kuncewie ustalał z Berią kolejne "czystki" i podpisywał wydane już na niewinnych ludzi miliony wyroków śmierci.

Czyż nie jest genialny ten, kto będąc głównym architektem popełnionych na 50-70 milionach ludzi (wedle prasy sowieckiej) mordów - chowany był z najwyższymi honorami państwowymi przez tłumy oplakujących go obywateli?

System zakłamania sam stworzył, żył w nim i rządził i według scenariusza tragicznego ~~zakłamania~~ w swoim wyrazie zakłamania został pochowany.

Cały ceremoniał pogrzebowy był wyreżyserowaną zrećznie farsą. Obok żegnających z poczucia dobrowolnie spełnianego obowiązku szli również przybyli z rutynowej nagonki. Jak na ochody 1 majowe.

W łagrze "SZU-2", w którym <sup>w tym czasie</sup> przebywałem, dzień pogrzebu Stalina był normalnym dniem pracy. Katorżanie byli pozbawieni praw obywatelskich, ich <sup>prawem</sup> jedynym ~~obowiązkiem~~ była ~~tylko~~praca. Analogicznie dzień ten przeszedł w całym GULAGU. Inaczej być nie mogło. Więźniowska nienawiść do Stalina manifestowali otwarcie i przy każdej nadającej się do tego okazji, o czym wiedziało dobrze KGB.

~~Więźniowski~~ ~~NKWD~~ ~~śmierć~~ ~~Stalina~~ ~~przyjęła~~ ~~największą~~ ~~ulgę~~ ~~radnie~~ ~~xxxxxx~~ Byliśmy bowiem "elementem" wyjętym z pod prawa i objęci jedynie nakazem przymusowej pracy. Nie byliśmy ludźmi. Śmierć Stalina, na którą cały GULAG czekał już od dawna, kończyła erę ustrojowego terroru, po której oczekiwaliśmy daleko idących zmian ogólnych, w tym również i naszych.

Zmian pragnęliśmy natychmiastowych, były one jednak nierealne. Opuuszczony przez Stalina tron stał pusty, a pretendentów do niego było kilku. Walką o niego zajęta była teraz Moskwa, wkradło się również poczucie niepewności do szeregów NKWD. Czytaliśmy to na twarzach funkcjonariuszy tego resortu w łagrze. Przyszły los GULAGU zależał od wyniku walki o władzę na Kremlu. Gdy zabrakło głównego dyrygenta, wszystko zawisło jakby w próżni. Raz jeszcze uzbrajaliśmy się w cirpliwość.

Życie w łagrach płynęło po dawnemu, zmienił się jednak wyczuwalnie nastrój wśród katorżan. Ten sam pozostał reżym, ta sama ciężka praca i to samo podłe wyżywienie, a jednak nastrój był inny. Coś wewnątrz każdego więźnia od chwili śmierci Stalina się zmieniło.

Spotykając w łagrze naczelnika łagru albo "kuma", katorżanin nie opuszczał już jak dawniej głowy i nie starał się zejść im chyłkiem z oczu. Patrzył teraz im prosto w oczy jakby pytając: Hershta waszego głównego zabrakło. Co teraz będzie z nami?!

Ale oto dawni panowie życia i śmierci swoich niewolników starali się obecnie z nami nie spotykać. Oglądaliśmy ich tylko z daleka jak szybkim krokiem zdążali do swoich gabinetów. Poczuliśmy po raz pierwszy, że to nie my ich, lecz oni nas unikając, się boją.

W dwa tygodnie po śmierci Stalina podano nam ~~przez~~ do wiadomości, że odtąd katorżanie będą chowani w bieliźnie. Zamiast oczekiwanych konkretnych zmian naszego losu obiecało nam po śmierci parę starej bielizny. Przyozdobiono to jeszcze poważnym komentarzem, że jest to akt łaski władzy sowieckiej.

Choć Stalin już nie żył, działał nadal ~~sk~~ i kpił szyderczo z ludzi stworzony przez niego system. "Dar" ten komunistycznego "humanitaryzmu" przyjęliśmy z należytą pogardą, był to jednocześnie pierwszy z ich strony objaw ~~sk~~ okazanej słabości i ustępstwa. Śmierć Stalina jak widać zmieniła nieco i ich, dotychczasowych jego ślepych wykonawców.

Przez minionych dziewięć lat walczyliśmy jedynie o przetrwanie i z własną słabością. Dziś obsesja głodu i wolności przeistaczała się w narastający bunt przeciwko zaistniałej niesprawiedliwości oraz wola podjęcia walki o należne nam prawa. Rodziło się powoli poczucie solidarności, która stawała się siłą i zmuszała naszych dotychczasowych żandarmów do poważnego zastanowienia się.

W tym pamiętnym roku czas historii przesunął wskazówki zegara w przyspieszonym ~~tempie~~ rytmie zdarzeń. Zaledwie w trzy miesiące po

śmierci Stalina Związkiem Sowieckim wstrząsnęła wieść kolejna, nie mniej sensacyjna i ważna jak pierwsza: 27 czerwca został aresztowany Ławrentij Pawłowicz Beria!

Ten sam Beria, który był pierwszy po carze na Kremlu, który przez ponad 20 lat rządów ze Stalinem aresztowywał, torturował, skazywał i mordował dziesiątki milionów niewinnych ludzi.

Ten sam Beria, który tworząc ze Stalinem fundamenty państwa totalitarnego, to znaczy 20 milionowy GULAG i stojące na jego straży dwumilionowe NKWD-KGB - został aresztowany i oskarżony o zbrodniczą działalność:

- przeciwko narodowi, partii, socjalizmowi, rewolucji.
- szpiegowską na rzecz obcego, burżuazyjnego państwa i kapitału, obejmującą okres od 1919 roku!

Wydarzeniu temu nadano rozgłos wykrytej ~~afery~~ zdrady i sensacji. W gazecie "Prawda" 10!(dopiero) lipca podano, że wykryto spisek, na którego czele stał Ł.P.Beria oraz sześciu jego najbliższych, czołowych współpracowników: Mierkułow, Dekanozow, Kobałow, Boglidze, Mieszyk oraz Włodzimirski.

Przyzwyczajone już do wszelkiego rodzaju rewelacji i niespodzianek społeczeństwo sowieckie tym razem oniemiało z wrażenia. Zaskoczone nagłością i wagą oskarżenia pierwszego po wielkim Stalinie i bliskiego mu człowieka. Nagle okazał się on ~~zdrajcą narodu~~ <sup>szpiegiem</sup> ~~zdrajcą narodu~~ i Wielkiej Rewolucji!.

Beria stał wszak zawsze obok Stalina na straży prawa i konstytucji, gromiąc skutecznie "wrogów narodu" i partii. Przez dziesięciolecia był obrońcą i ostoją Wielkiej Rewolucji.

Jakże więc mogli przyjąć bezkrytycznie, że gloryfikowane przez tak długi okres czasu jego osiągnięcia i zasługi okazały się nagle nieprawdziwe i kłamstwem?!

Godziło to jednocześnie i bezpośrednio w niepodważalny wszak autorytet samego Stalina. To Beria uważany był powszechnie za najgodniejszego do kolejnego po Stalinie objęcia berła na Kremlu.

Oskarżając go teraz o zbrodnie tak wielkie obciążano przez to w linii prostej cały podległy mu Aparat NKWD! Jednak artykuł o przestępstwach Berii ukazał się w miarodajnej gazecie partyjnej "Prawda" i dlatego najmniejsze nawet powątpiewanie w prawdziwość tego doniesienia było wyrażeniem votum nieufności dla partii, a to ~~byx~~ stawało się już niebezpieczne. Przyjęto to z niedowierzaniem, ale w całkowitym milczeniu.

Dla administracji ~~z~~ i funkcjonariuszy KGB ~~GULAGU~~ informacja ta uderzeniem gromu z jasnego nieba. Obserwując ich tylko przelotnie wydawało się, że pierwszą na to reakcją było poczucie przeżywanego szoku. Czytaliśmy to z ich zmartwionych i zakłopotanych najwyraźniej twarzy, czego skryć nie potrafili, nie mogli, bo nie byli w stanie.

Aresztowanie swego najwyższego zwierzchnika Berii przeżywali znacznie ciężiej, aniżeli niedawną śmierć Stalina. Bowiem postawione mu w akcie oskarżenia zarzuty godziły również i to bezpośrednio w nich samych. Byli <sup>jedynymi</sup> ~~wszak~~ wykonawcami wszystkich jego rozporządzeń rozkazów i poleceń. A w oskarżeniu tym mówiło się jeszcze i o ~~sąsxx~~ aresztach i znęcaniu się nad milionami niewinnych ludzi, tzn. nad więźniami ~~GULAGU~~, w którym byli panami życia i śmierci tych ludzi.

Świadomość tych faktów stała się aktualnie jednakowo oczywista i dla ciemnych, i dla ciemionych. W rezultacie to ci pierwsi poczuli się zagrożeni podwójnie: przed prawem i przez ciemionych.

Aresztowanie Berii i jego sześciu zastępców zapoczątkowało schyłek i późniejszy upadek systemu zwanego ~~GULAGIEM~~. Nie darmo obozowi politrucy chodzili smutni i ze zwieszonymi głowami. Oni wiedzieli dobrze, że aresztowanych rzekomo: Berii i jego sześciu pomocników nie było w więzieniach, w ich więzieniach- tzn. więzieniach MSW.

Również i ten fakt miał dla nich wymowę złowieszczą, siał dodatkowy postrach i stawiał groźne pytanie: Gdzie są oni wszyscy?- I czy jeszcze żyją?!

Moskiewska "Prawda" komunikat o aresztowaniu Berii zamieściła

10 lipca, podczas gdy faktycznie nastąpiło ono 27 czerwca na specjalnie w tym celu zwołanym posiedzeniu ~~Rady Ministrów~~ <sup>Plenum CK</sup>, na którym generalicja miała zdać sprawozdanie z przebiegu przeprowadzonych manewrów wojskowych.

Gdy na salę obrad weszli wezwani: marszałek Zukow i gen. Moskalkenko - przewodniczący na posiedzeniu Malenkow ~~powiedział~~ zwracając się do Zukowa powiedział: ~~Marszałku~~ 'Towarzyszu Marszałku!- proponuję w imieniu rządu ZSSR, abyscie wzięli pod straż wroga ludu, Ławrentija Pawłowicza Berię!

Wojskowi, będąc o tym uprzedzeni, wyprowadzili natychmiast Berię do sąsiedniego pokoju. Zaskoczenie tym zajściem Plenum CK przystąpiło teraz do obrad nad dalszym losem Berii.

Beria zorientowawszy się w mig, iż wpadł w zasadzkę, usiłował jeszcze dopaść telefonu, by powiadomić o tym swoich podwładnych. Miał wszak w Moskwie tylko dwie dywizje wojsk NKWD do swojej dyspozycji.

Wojskowi byli na to przygotowani. Wbrew obowiązującym i przestrzeganim na Kremlu przepisom przybyli na to posiedzenie z ukrytą bronią. W wyniku powstałej szamotaniny Beria został zastrzelony.

Jest kilka wersji jego śmierci: zastrzelony przez Zukowa, Moskalkenkę lub Chruszczowa lub uduszony przez Nikojana z udziałem wojskowych i Mołotowa. Jak widać chętnych do tego było wielu, a w późniejszych już wypowiedziach tych osób chętnych do miana "bohatera" narodowego jeszcze więcej. Jedno w tym jest pewne: Berię zamordowano 28 czerwca!, a nie rozstrzelano w grudniu już po procesie jak znów podała "Prawda".

I druga ważna konstatacja: to makabryczne wydarzenie miało miejsce w kraju- "gdzie tak wolno dyszyt człowiek"!

12 dni czasu (od 28 czerwca do 10 lipca) wykonawcy mordu potrzebowali na: aresztowanie sześciu zastępców Berii, ulokowania ich w miejscach poza zasięgiem NKWD (gdzieś pod nadzorem armii) i obsadzenia opróżnionych stanowisk "swoimi" ludźmi.



Uczyniono tak z obawy przed interwencją zwolenników Berii, z czym nie można było się nie liczyć. Proces Berii, który już nie żył, zainscenizowano w dniach 18-23 grudnia 1953 i jak to zawsze było dotąd "po dokładnym i wnikliwym" dochodzeniu udowodniono, że przestępcza działalność Berii prowadzona była nieprzerwanie od 1919 roku.

Mord na Berii popełnili najwyżsi dostojnicy Kremla, usuwając w ten sposób najgroźniejszego i niebezpiecznego do tego dla nich samych pretendenta do spadku po Stalinie. Za popełniona wielomilionowe zbrodnie obciążono Stalina i Berię. Jednak obu zamordowali ci inni, rzekomo "czyści".

Stało się już faktem, że zgrany duet Stalin-Beria wyekspediował na drugi świat około 50-70 (wedł, prasy sowieckiej) milionów ludzi! Powyższe zbrodnie ukryto początkowo w obłudnym hasle: "Kult jednostki". Na pierwszy rzut oka brzmiało to nawet i sympatycznie, i niewinnie. Nieco później ludobójstwu temu nadano określenie nie mniej obłudne i bałamutne- "Era Stalinizmu".

Cel tej manipulacji był prymitywny i przejrzysty. Obarczając ludobójstwem tylko dwóch ludzi i jednocześnie ich wybielając ratowano ideologię leninizmu-stalinizmu, która pozostawała czysta i godna kontynuacji. Przeczą temu jednak dwa popełnione ostatnio mordy popełnione z pełną premedytacją <sup>vi zgonę</sup> z leninowską również linią postępowania w latach dwudziestych.

Przyczyna zła tkwiła dużo głębiej i ~~leż~~ tkwiła w samym systemie sprawowania władzy, który z kolei wynikał z ideologii. Ustrój był utopią, a realizacja jej wymagała trzymania ludzi w ryzach stałego zakłamania, terroru i poczucia strachu. Stąd już GULAG i ludobójstwo stały się jego skutkiem nieuniknionym. A że działo się tak nie tylko w Związku Sowieckim, lecz również we wszystkich jego państwach satelickich jak: Chiny, Wietnam, Korea płn., Kambodża, Kuba, Angola, że na tych tylko poprzestane - ~~dowodzą~~ wypowiedziany wyżej sąd tylko potwierdza.

Gdziekolwiek pojawiała się noga krasnoarmiejca- zjawiał się równocześnie "czornyj woron", NKWD, zapełniały się "zdrajcami ludu" więzienia i podwały, rozpoczynały się masowe do Rosji deportacje w imię najlepszego z ustrojów-komunizmu.

Jednak zmiana tego systemu nie była rzeczą prostą. Likwidacja jednego tylko "miejsca odosobnienia" jakim była Workuta pociągnęła by za sobą unieruchomienie około 30 kopalń, zasilających przemysł Leningradu i kilku innych jeszcze miast Rosji. A takich "miejsca odosobnienia" były setki. Były to jednak problemy i kłopoty i nie nasze-więźniów. Ofiara uciekając z miejsca kaźni nie zastanawiają się nad tym, co będzie robił kat z gilotyną, którą ~~kat~~ je gilotynował.

Berię i Aparat NKWD-KGB oskarżono o znęcanie się nad milionami niewinnych ludzi, ale jednocześnie nie uczyniono niczego, aby wyrządzone tym ludziom krzywdy naprawić i choćby częściowo zadośćuczynić. Tym niemniej wydarzenia "moskiewskie" miały znamienny wpływ na kształtowanie się atmosfery w Workuckim Recz-Łagu. Tam tylko znajdował się klucz naszych spraw i tam tylko zapadały decyzje, decydujące o naszym dalszym losie. Wszelkie niepokoje, rozłamy i spory o władzę na Kremlu, które odbieraliśmy jako walkę o zmianę dotychczasowego kursu sowieckiej polityki, miały przynieść również odmianę naszego losu na lepsze.

Rosło znaczenie naszej siły gospodarczej. niesprawiedliwość nałożonych na nas wyroków leżała w oskarżeniach Beri i NKWD-KGB, z uzasadnionym niepokojem oczekiwaliśmy więc na zdecydowane i konkretne kroki, zmierzające do wyrównania zaistniałych krzywd.

Tak się jednak nie działo. W jednym z baraków łagru "SZU-2" spotkałem w tym czasie Rosjanina, kniazia Fiodora Aleksiejewa Uchtomskiego. Był to w średnim wieku, przystojny, wysoki, o szlachetnym wyrazie twarzy mężczyzna. Był jeszcze małym chłopcem, gdy rodzice uciekając z Rosji przed rewolucją osiedlili się w Mandżurii.

Wojna z Japonią i zajęcie w 1945 Mandżurii były w ich życiu chwilą przełomową. NKWD ma dobrą pamięć, prześladowuje nawet już znanych, a książę Uchtomski jeszcze żył. Był dla nich niebezpieczny podwójnie: klasowo oraz z "piętnem" białego emigranta. Został aresztowany wraz z rodziną. Wyrok - 25 lat katorgi. Workuta.

Pytałem Fiodora dlaczego, wiedząc-że zbliża się Armia Czerwona, dał się zaskoczyć. Mógł wszak pan - mówiłem - uciekać?

Mogłem - odpowiedział spokojnie. Zachęcali emigrantów wszystkich do powrotu do Rosji. Uwierzyliśmy im tym razem. Okazało się jednak, że kłamali jak dawniej. Opowiadał o tym z nutą pewnego żalu, jednak nie tragizował. Ojczyzna ma to do siebie, że "ciągnie". Tysiące rosyjskich emigrantów powróciło również z Zachodu. Oni także są dziś w łagrach. Komuniści się nie zmienili.

Dokąd zresztą mieliśmy uciekać? Zachód wydał Stalinowi całą milionową armię gen. Własowa, choć wiedzieli, że wysyłają ich na śmierć.pewną.

Fiodor Uchtomski był człowiekiem błyskotliwie inteligentnym, znał kilka języków, ale przede wszystkim posiadał dar zjednywania sobie ludzi, był otwarty na ludzkie potrzeby. Takim był i takiego zapamiętałem do dziś. Rozstałem się z nim 24 lipca 1953 roku, gdy w pierwszą noc po strajku wysłany zostałem do karnego ubozu nr 11.

Przed bolszewicką zarazą uciekało sporo. Rodzina Dybowskich uciekli do Polski, która ich przygarnęła i dała spokojne schronienie. Zamieszkali w Wilnie, byli najbliższymi moimi sąsiadami.

Nabyli po pewnym czasie dom z ogrodem. Ojciec był dorożkarzem. Konie były jego wielką pasją, chodziły w zaprzęgu jak baletnice. Trzej dorodni synowie pokochali zawód mechanika samochodowego. Żyli dostatnio i spokojnie.

Scenę kozackiego na ich najazdu oglądałem oczyma 5 letniego dziecka. Mężczytn nie znaleźli, ale pozostawili po sobie upiór strachu. Był to rok 1920. W dwadzieście lat później zjawili się raz jeszcze. Znow po ojca i synów. Ale ci znow byli przewidujący, nie

czekali w domu na ich przybycie. Schronili się na pewien czas w bezpieczniejsze miejsce. Sam prześladowany przez lat 17 wróciłem do Wilna dopiero 1 1956-7, by się z miastem pożegnać. Przy tej okazji dowiedziałem się, że dopadli ich w 1945 i całą rodzinę wywieźli jak miliony innych.

Tymczasem w łagrze "SZU-2" życie toczyło się utartą dotąd drogą. Było to jednak stwierdzenie tylko pozorne. W powietrzu wyczuwało się powiew zbliżającego się lata, a wraz z nim lepszych i pomyślniejszych wiatrów. Zanikło zauważalne dotąd poczucie przynależności do grup narodowościowych. Ujawniła się natomiast świadomość wspólności losu i solidarnej odpowiedzialności za wszystkich.

Ostatnie wydarzenia na Kremlu podważyły przekonanie, że władza jest jednolita i niezmiennie silna. Powstały wyraźne pęknięcia, które dotychczasowe struktury ustrojowe postawiły pod znakiem zapytania. Niewolnicze życie łagrowe nabrało nagle wymiernego sensu, każąc poszukiwać realnej drogi wyjścia.

W przymusowej poezji znajdowałem ucieczkę przed nawałem cisnących się do głowy przeżyć. Przelane ~~już~~ na papier chowałem je skrzętnie i układałem już plany nad jej dalszym losem już w kraju. Był to dowód zmian i to nie tylko tam w Moskwie.

Stałem się bardziej wrażliwy na bodźce zewnętrzne. Miewałem często sny. Budziłem się z nich spocony z doznanego wrażenia i lęku. Powtarzały się w treści, czasami były tak podobne, że aż przerażały. Zaczynało się zawsze od ucieczki przed kimś groźnym. Biegłem wtedy co sił w sportowych, wyćwiczonych nogach. Naśladowałem dużego, rozbiegającego się przed poderwaniem się do lotu ptaka. Gdy wachlując jednocześnie rękami unosiłem się z trudem w powietrze - stwierdzałem, że gonią mnie enkawudziści. Biegną z tą samą co ja szybkością, starając się dosięgnąć mnie rękami.

Dziela mnie od nich tylko centymetry, a ja przeżywając to panicznie nie jestem w stanie wzbić się ani o jeden centymetr wyżej.

Nagle, niewidzialna fala uniosła mnie nad rozległe pola. Zgubi-

łem gdzieś swoich prześladowców. Nadleciałem nad ogromny budynek bez dachu. Z lotu ptaka widzę wypełnione ludźmi pokoje i korytarze. Ludzie są w ciągłym ruchu. Szukając ratunku obniżam lot i ląduję w dużej hali wśród ludzi. Zastanawia mnie ich jednakowy strój roboczy.

Szukam wyjścia, które ma być moim ratunkiem. Zaczynam rozumieć, że jest to jakiś karny obóz. Wyczuwam jednocześnie, że nie stosując przymusu fizycznego - "usiłują" wprowadzić mnie do określonego pokoju, aby mnie tam zabić. Ten szaleńczy zamiar realizują w całkowitym milczeniu. Skutek jest taki, że oblewa mnie zimny pot.

Zmieniam więc kierunek swego marszu, gubię się w tym, ponieważ pokoi jest mnóstwo, korytarzy również i wszystkie one są podobne. W tym momencie uświadamiam sobie, że jestem w domu wariatów. Głowie się tylko nad tym, jaki wariaci mają interes w pozbawieniu mnie życia i dlaczego chcą tego dokonać tylko w określonym przez nich pokoju.

Te przedziwne rozważania powodują tylko wzrastający niepokój i poczucie panicznego lęku. Myślę: muszę stąd jaknajprędzej się wydostać! Przez okno!

Jednak okna są zakratowane. Szukam bez krata. Znowż unoszę się powietrzu w pozycji leżącej. Jak ptak wachluję nogami i rękami.

Jest! Na wysokości kilku pięter ujrzałem otwarte okno. To mój jedyny ratunek! Wariaci, przewidując mój manewr, podskakują chąc osiągnąć mnie swoimi wyciągniętymi rękami. Każdy ich podskok i dotyk przeżywam jak skazaniec przed plutonem egzekucyjnym. Ja się nie mogę poderwać odrobinię wyżej, a oni będąc niemal w zasięgu ręki - nie mogą ściągnąć mnie w dół do siebie.

Radość przychodzi niespodziewanie. Lecę szybko do góry. Wylatuję z łatwością na zewnątrz. Mam przed sobą rozległy, szeroki horyzont. W którą polecieć teraz stronę? - zastanawiam się...

I budzę się..... Serce bije przyspieszonym rytmem. Odczuwam zmęczenie. Wnet uświadamiam, że to tylko sen... doznaję ulgi...

Już po powrocie moim do kraju sen ten prześladował mnie regularnie przez wiele jeszcze lat. Z identyczną scenerią i siłą przeżyć. Przez kilkanaście dobrych lat przeżycia workuckie nie dawały mi spokoju. Nawiedzały mnie nocą, nękały autentycznie, co pewien czas, abym się od nich nie odzwyczaił i ich nie zapomniał.

-----  
Cisza przed burzą.  
-----

Po historyczno-dziejowym marcu i rewelacyjnym czerwcu nadszedł cieplejszy jakby lipiec. O Stalinie już zapomniano, ale temat wokół sprawy Berii był wciąż aktualny i szeroko komentowany. Wiązaliśmy z nim swoje nadzieje. Oczekiwaliśmy ~~za~~ sprawiedliwej rozprawy oraz oraz zgodnego z prawem wyroku.

Przygrzało słońce, zieleniła się tundra. Zbudzona z zimowego snu przyroda cieszyła się odradzającym się życiem. Zachodzące w przyrodzie zmiany mają przedziwny wpływ na usposobienie ludzi dzieje się tak zapewne na całym świecie bez względu na strony świata, kraj i klimat. Nabiera to szczególnej wymowy, gdy wielka, wspólna sprawa, zły los i wspólny cel ustawia ludzi po jednej stronie barykady.

Tak właśnie było w Workucie, w lipcu 1953 roku. Nadchodzące zmiany objawiały się niekiedy w proroczych snach, w nocnych czasami majaczeniach, a najczęściej w codziennych ludzkich rozmowach, że nic nie jest wieczne i wszystko kiedyś się kończy.

Mówią o ~~tych~~ tymi czasami na niebie układy gwiazd, przynosi często niewiadomo skąd stepowy wiatr, bywa że wykraczają nyprzekór różnym uczonym filozofom miejscowe, pyskate baby.

Sam ulegałem tym wszystkim przemożnym nastrojom, diagnozom i plotkom, tajemniczym znakom i niewiarygodnym z ust starych łagierników wychodzącym przepowiedniom.

Nawet słońce zachowywało się inaczej. Opuściło się na daleki horyzont, i leżąc już na styku z ziemią zastanawiało się jakby, co ~~xx~~ zrobić? Schować się bezpiecznie za horyzont i sprowadzić na ziemię ciemność, czy wspiąć się znów na orbitę nieba i przedłużyć dzień, który 10 lipca rozpoczął się zjawiskiem CUDU.

Wstrząs ustrojowy.

Przyszło to nagle i nie wiadomo skąd. Poprostu zaistniało i stało się faktem dokonanym. Wstaliśmy rano i znaleźliśmy się w zupełnie innym i nie znanym dotąd świecie.

10 lipca 1953 roku w Łagrze "SZU-2" wybuchł STRAJK!!

Nikt w pierwszej chwili nie wiedział jak to się stało i kto go ~~zainicjował~~ zainicjował. Ogłosić w Związku Sowieckim STRAJK - to znaczy wydać na siebie wyrok śmierci. 3000 zdeterminowanych białych niewolników, przystępując do STRAJKU, wydało na siebie wyrok śmierci, ponieważ woleli umrzeć, aniżeli trwać w sowieckim kieracie, który był śmiercią na raty.

Gloryfikowany przez sowiecką propagandę naczelny dogmat, że w kraju socjalizmu i proletariatu STRAJK jest niemożliwy - został złamany. Zaskoczył on nas samych, choć byliśmy jego wykonawcami. Wkrótce pisano i mówiono już o nim w wolnym świecie. W pierwszej chwili wśród okolicznej ludności ~~posiadał~~ posiadał poczucie strachu i przeraził miejscowe władze partyjne.

A rozpoczęło się to wszystko od jednej małej karteczki. Idąc przez plac obozowy spotkałem faceta z grupy tzw. "błatnych", który mijając wcisnął mi do kieszeni jakąś karteczkę, oddalając się bez słowa.

"Błatnyje"- to zamknięta i rządząca się własnymi regułami grupa złodziejasków, żyjąca w Łagrze kosztem ogółu więźniów. Niejednokrotnie wykorzystywani byli przez "Kuma" i "Wochrę" do organizowania przeróżnych prowokacji, które godziły w więźniów politycznych.

Wręczona mi przed chwilą kartka "palika" jak rozpalone żelazo. Ten incydent miał charakter niezwykle, zawierał w sobie wątek niebezpiecznej prowokacji.

Po kartkę sięgnąłem dopiero w baraku. Dyskretnie przeczytałem wypisane na niej jedno tylko zdanie i z miejsca - struchlałem.

"Zawbna strajk!- nie vychadit na rabotu!

~~Jednym tylko zdaniem~~ Nie dowierzając sobie - przeczytałem to po raz drugi. Poczulem jak krople zimnego potu spływały mi w dół po kręgosłupie.

Cała masa mózgową i wyobraźnia wypełniła się nagle jedną tylko myślą: "Zawtra strajk- nie wychadit'na rabotu!.... "Zawtra strajk- nie wychadit'na rabotu!"....

W głowie szumiało jak po uderzeniach w pustą beczkę. W rozgorączkowanej wyobraźni pojawiły się obrazy przebytych dwukrotnie śledztw, więzienni strażnicy, zalany wodą karcer...

To najzwyklejsza - pomyślałem - zaprogramowana przez "Kuma" prowokacja. Trzeba być ostatnim głupcem, aby się dać na to nabrać. Tłumaczyłem tak sobie, z trudem opanowując napięte jak powrozy nerwy.

Nie byłem w tych sprawach nowicjuszem. Wszystkie prowokacje poprzednie tworzyły dowody naruszenia obowiązujących w łagrze przepisów. Groziły za to kary dyscyplinarne. Dzisiejsza - godziła w ustrój, podważała zasady socjalizmu, była kontrrewolucją!

Nie byłem jeszcze wariatem i daleki również od popełnienia samobójstwa. Żyłem jedynie wiarą, iż wrócę do kraju. Jednak trzymana w ręku kartka była faktem i wymagała decyzji.

Nasuwały się pytania: Dlaczego adresatem kartki o strajku wybrano mnie?. Czy ~~podobne~~ kartki tej treści trafiły również do rąk innych w łagrze narodowości?... Jaką w tej całej akcji spełniają rolę "apolityczni" zawsze "Błatnyje"?.... Są tylko narzędziem w rękach KGB?...

Pytania były ważne, bo o wielką chodziło tu stawkę. Porozumiałem się natychmiast z najbliższymi moimi akowskimi przyjaciółmi: Andrzejem, Longinem, Januszem, Kazikiem i Olkiem. Zdania były identyczne: "Nie wychylamy się pierwsi, jeżeli dojdzie do strajku - włączymy się solidarnie.

Noc przespaliśmy niespokojnie. Pierwszą zmianę wyprowadzono do pracy jak co dzień, co przyjąłem z uczuciem zawodu. Myślałem przy wczorajszej "kartce". Więc jednak prowokacja - analizowałem skrycie wydarzenia. Tego dnia pozostałem w "zonie", dziś już nie pamiętam, co było tego przyczyną. Miałem za to idealne warunki do obserwacji wszystkiego, co się dzieje w łagrze. Pierwsza in-



formacja z terenu kopalni przyszła w połowie zmiany i była rewelacyjna: "Kopalnia nie pracuje!"

Moja opinia o wczorajszym "Błatnym" nabrała respektu. "Nariadczyk", który przyniósł tę wiadomość, nie <sup>podał</sup> żadnych szczegółów. Jednak sam fakt wstrzymania wydobycia był sensacyjny. Już za chwilę wiadomość rozeszła się po całym łagrze. Przeżywaliśmy już przedsmak walki z przemocą władzy.

Ze zrozumiałą niecierpliwością oczekiwaliśmy z kopalni kolejnych informacji, które jednak nie nadchodziły. Pilnowała tego administracja łagru. Rosła wciąż temperatura nastrojów w łagrze.

O godzinie 13-ej wyprowadzano zawsze do pracy zmianę drugą. Jak będzie dziś? - pytanie to zadawaliśmy wszyscy. Niewyprowadzenie oznaczać będzie rozpoczęty strajk przez zmianę pierwszą. Denerwowowaliśmy się i czekaliśmy.

O 12-ej "Nariadczyk" rozpoczął wyprowadzanie brygad z baraków i kompletowanie kolumny przed bramą wyjściową. Szykuje 2-gą zmianę - znów stwierdziłem z uczuciem zawodu - do wyjścia do pracy. Za bramą oczekiwał już pluton konwojentów. Był dziś wzmocniony liczebnie. Za chwilę kolumna ruszyła w drogę.

Nadal nie wiemy właściwie nic. Za parę godzin powinna wrócić do łagru zmiana pierwsza i wtedy dopiero dowiemy się wszystkiego. Znowu trudne i denerwujące godziny oczekiwania. Godziny wloką się w nieskończoność. Katorżanie są do tego przyzwyczajeni i w tym zahartowani.

Czas powrotu 1-ej zmiany minął już dawno, a jej ciągle nie było. Tylko reżyser dramatyczny mógł pisać taki scenariusz i reżyserować dziś ten spektakl. Żadna logika nie prowadziła do sensownych wniosków. Już dwie zmiany były na terenie kopalni, wózek kopalniany na hałdzie nie funkcjonował, co oznaczało, że kopalnia stała.

~~Wszystkie fakty świadczą tylko o jednym - kopalnia stała.~~

Jeżeli wszystko to było prawdą - że już od 1-ej zmiany kopalnia stała, to dlaczego wyprowadzili do pracy zmianę drugą i dlaczego teraz nie wraca do łagru zmiana pierwsza?

Zagadek było dużo, ale jedna rzecz, najważniejsza - była pewna:



ła zmiana górników, zamiast podjąć pracę na dole, znalazła się na powierzchni. Naczelnik kopalni, Koleśnikow, doświadczony partyjny aparatczyk usiłował jeszcze ratować sytuację i własną skórę, agitując górników wstawiennictwem osobistym do władz Reczłagu oraz pomocą w załatwieniu wielu przywilejów.

Wiemy jednak dobrze, że ~~żez~~ - mówił Biełousow - że przywileje i ulgi nadać mogła jedynie Moskwa. Obiecanki Koleśnikowa były tylko obiecankami bez żadnego znaczenia. Odrzuciliśmy je nie wdając się w bezpłodną dyskusję i jałowe pertraktacje.

Koleśnikow sięgnął wtedy po znane sobie dobrze z praktyki metody zastraszenia i groźby. Raz jeszcze przypomniał i wyjaśnił, że odmowa pracy jest jednym z największych przestępstw i jest karane śmiercią.

Dla nas odwrotu już nie było. Nawet przystąpienie do pracy nie zmieniało faktu, że odmowa już była, za którą mogli karać. Czy mieliśmy z miejsca ulec ~~izrezygnować~~ z walki, którą ledwo rozpoczęliśmy? - zapytał Biełousow wodząc wzrok swój po nas wszystkich go słuchających.

Podjęliśmy tę walkę, aby doprowadzić ją do zwycięskiego końca, byliśmy wszyscy w decyzji tej jednomyślni i dlatego powiedzieliśmy Koleśnikowowi swoje stanowcze NIE!

Druga zmiana również odmówiła zjazdu na dół, przyłączając się natychmiast do nas, będących na powierzchni. Było nas już ponad tysiąc ludzi, poczuliśmy się pewniejsi, przedstawialiśmy siłę, z którą nawet KGB musiało się liczyć.

Gdy wszystkie ~~kaxzabiegk~~ wstępne zabiegi zawiodły - kazano odprowadzić obie zmiany do łagru. - zakończył swoją relację I. Biełousow.

Rsypały się wnet z różnych stron pytania, Biełousow odpowiadał, wyjaśniał, uzupełniał. Padały wypowiedzi, opinie. Jednymyślność wypowiedzianych sądów była zadziwiająca. Podsumowując wypowiedzią były słowa wypowiedziane przez Stiepana Siemikina, oficera Czerwonej Armii: Zmarnowaliśmy już niepotrzebnie dziewięć lat, ten

strajk należało wzniecie już dawno. Dobrze, że stało się to dziś.

W mojej osobistej ocenie strajk ogłoszono w czasie, który rokował szanse na jego częściowe przynajmniej powodzenie. Każda próba dokonania tego wcześniej skończyłaby się straszliwą masakrą.

Ogłoszony w "SZU-2" strajk poparli wszyscy więźniowie łagru. Odtąd był decyzją 3200 katorżan. Nie było ani jednego głosu sprzeciwu czy powątpiewania, w jego celowość. Było to pocieszające i niezbędnym właśnie w czasie, gdy ta jedność łączyła siły i była jedyną bronią walczących o wolność.

Nie powołano żadnego komitetu strajkowego, aby propagandzie sowieckiej nie dawać wyświechtanych już atutów, że strajk ogłosiła nie załoga, lecz tylko mała grupka "prowodyrów", "prowokatorów" i "kontrrewolucjonistów", których oskarżonoby o wszystko. Mimo to w łagrze panował idealny porządek, ludzie stali się bardziej zdyscyplinowani, solidarni. Funkcjonowała kuchnia, nikt nie naruszał ustalonego nowego porządku i nikt jednocześnie nie wiedział (i nie chciał wiedzieć) jak to się wszystko tak dzieje i kto tym wszystkim kieruje. W tej pozornej "ignorancji" i braku "zainteresowania" tkwiła mądrość i doświadczenie nabyte w długim już bezpośrednim obcowaniu z systemem, z którym podjęto dziś walkę.

Już w pierwszym dniu strajku opuścili teren obozu strażnicy, administracja i dział KGB, choć nikt nie przejawiał w stosunku do nich żadnej osobistej wrogości. Było to zapewne pociągnięcie asekuracyjne przed posądzeniem kogokolwiek z nich o "współpracę z elementem przestępczym".

Wojskowe oddziały NKWD otoczyły cały obóz. Stanowiska karabinów maszynowych miały za cel wyjścia ze wszystkich w łagrze baraków. Na drutach ogrodzenia zawieszono dookoła megafony. Krasnoarmiejcy leżeli na stanowiskach ustawionej broni maszynowej. Wyglądało to wszystko bardzo groźnie. Kilkadziesiąt luf skierowanych na tłum bezbronných więźniów.

Z miejsca uruchomiona została propaganda radiowa. Przypomnienia o przepisach i instrukcjach obozowych przeplatano z obietnicami przywilejów, ulg, "zaczotów" i wcześniejszego wyjścia na wolność. Warunek był tylko jeden: natychmiast przystąpić do pracy! I to już od następnej zmiany!

Gdy czas zmiany mijał, a do pracy nikt się nie zgłaszał, z megafonów płynęły potoki całe nakazów, gróźb i szykowania już plutonów egzekucyjnych.

Słuchaliśmy tego ze stoickim spokojem i z uśmiechem nawet na twarzy. Byliśmy do takiego "dialogu" już przyzwyczajeni i zahartowani. Przez dziewięć lat - to dużo, a było niemało takich, którzy "melodii" tej słuchali przez 10 lat odbytego wyroku, a wzwani do "Spec-Czasti", zamiast zwolnienia, otrzymali do podpisu nowy wyrok skazujący na 10 lat, tym razem przez "OSO" (Osoboje sowieszczanije trojki). Ci słuchane komunikaty komentowali dosadnie, kolorowo i siarczyście. Niestety, dosadność tych wypowiedzi nie pozwalała mi na powtórzenia.

Już na drugi dzień strajku przekazano Naczelnikowi łagru ~~na~~ ~~dsu~~ Petycję z postulatami strajkujących. Oto jej treść:

Centralny Komitet KPRR  
w Moskwie.

My, katorżanie w łagrze "SZU-2" Kombinatu "Workutugol" Komi ASSR, wypełniając od wielu już lat państwowy plan węgla kamiennego, pracujemy w surowych warunkach klimatycznych i nieludzkim reżymie. W zamian- otrzymujemy głodowe porcje żywienia, które zdziesiątkowały już nasze szeregi.

Obciążeni wysokimi i niesprawiedliwymi wyrokami, rozpoczynając 10 lipca 1953 roku strajk protestacyjny- żądamy:

1. Przyjazdu Komisji Rządowej z Moskwy upoważnionej do załatwienia naszych postulatów na miejscu.
2. W trybie przyśpieszonym przeprowadzić weryfikację wszystkich naszych spraw karnych.
3. Zwolnić wszystkich sądzonych z pogwałceniem prawa międzynarodowego obcokrajowców, którym narzucono obywatelstwo sowieckie.
4. Pobyt więźniów w łagrac sowieckich uczynić humanitarnym, zgodnie

z prawem międzynarodowym.

5. Zaprzestać traktowania pracy więźniów politycznych jako przymusowej i niewolniczej, należy wynagradzać ją godziwie.
6. Nie zatrudniać w Workucie kobiet na ciężkich i niebezpiecznych pracach w kopalniach i miejscowej cegielni.
7. Pociągnąć do odpowiedzialności karnej funkcjonariuszy NKWD-KGB, którzy byli wykonawcami eksterminacyjnej polityki Berii, aresztowanego ostatnio w wyniku tej działalności.

Katorżanie łagru "SZU-2"  
"Workutugol" Komi ASSR.

Workuta, 10 lipca 1953 roku.

W kilka dni po przesłaniu Petycji Naczelnik "ośmielił się" przyjść do obozu i na zorganizowanym naprędce spotkaniu usiłował załatwić nasze postulaty ogólnikowymi obietnicami. Potraktowaliśmy to jako osobistą inicjatywę funkcjonariusza NKWD, który za wybuchły tu strajk był w oczach swoich przełożonych również w jakiejś mierze odpowiedzialny. Bronił zajmowanego stanowiska i własnej skóry.

Wysiłki Naczelnika nie mogły zmienić naszej postawy i wysuniętych w Petycji żądań. Pozostaliśmy przy swoim.

W propagandzie radiowej sięgnięto po formę straszenia ultimatywnego. Żądano bezwarunkowego zaprzestania strajku, wyjścia do pracy oraz określano czas wykonania polecenia "władzy".

Odnosiłem wrażenie, że cały ten szum propagandy radiowej wytworzano bez najmniejszego przekonania w jego skuteczność. Czyniono to z rutynowego obowiązku, z bojaźni posądzenia o pasywność partyjną wobec zagrożenia ze strony ~~elementów~~ wrogich socjalizmowi elementów, w końcu zgodnie z zasadą, że "władza" wyczerpała "wszystkie środki" zaradcze, aby strajk zlikwidować.

Propaganda radiowa nie ustawała. Z isticie komunistycznym zacięciem i wytrwałością szły w eter przepłatanki taniej perswazji i poważnej groźby z terminami wykonania polecenia. Tłum, nawet najbardziej zwarty i zjednoczony, potrzebuje momentami otwartego wsparcia, moralnej podbudowy, prostych, logicznych wyjaśnień i odpowiedzi. *na powstające wątpliwości.*

Brak oficjalnie powstałego kierownictwa strajku nie oznaczało panującego w łagrze "bezhołowia". W chwilach szczególnego zagrożenia, powstałej niepewności reakcji na szczególnej treści komunikat "władzy" lub innych podobnych sytuacjach nieewidzialna ręka naklejała w odpowiednich miejscach dyskretnie plakaty, które informowały wszystkich o ważnych aktualnie sprawach, określały niezbędne zalecenia i sposoby reakcji na rozkazy ultimatywne.

Sześciuosobowa Grupa Kierownicza, poprzez "swoich" zaufanych ludzi utrzymywała stały kontakt z uznanymi powszechnie autorytetami poszczególnych narodowości. Utrzymywana tą drogą więź dawała gwarancję, że podejmowane decyzje wyrażały opinię ogółu.

"Błatnyje", widoczni dotąd w codziennym życiu w łagrze, znikli nagle z pola widzenia, złali się w ogólnej masie, jakby ich nie było zupełnie. Stwierdziłem to jedynie jako ważny fakt dotyczący genezy powstania strajku i przez zwykłą ostrożność badać tego głębiej nie chciałem. Dałem temu chwilowo przynajmniej spokój.

Były aktualnie rzeczy ważniejsze. Nie znaleźliśmy zasięgu naszego strajku. Najbliżej nas znajdował się łagier katorżański nr 7 i pod tym samym numerem kopalnia. Szczególnie w dni słoneczne oglądaliśmy jej hałdę skalną i kursujący po niej rytmicznie do góry i w dół wózek kopalniany. Było to nieomylną oznaką, że kopalnia pracuje.

Podjęliśmy wnet próbę powiadomienia ich, że my strajkujemy i zachęcić do podjęcia takiej samej solidarnej decyzji. Słońce, kawałek lusterka i znajomość alfabetu Morse'a pozwoliły nam na przekazanie braciom katorżanom krótkiej informacji sytuacyjnej oraz propozycji wsparcia nas strajkiem.

Hałdę kopalni nr 7 obserwowaliśmy teraz ze szczególnym napięciem i niepokojem. Upływały denerwujące godziny. Wózek górniczy kursował wraz z górnikiem jak zegarowe wahadło tam i z powrotem.

Wjechał na dół. Czy wyjdzie znów z pod ziemi, czy może...

Mijały gorączkowe minuty... czekaliśmy.... wózek się nie ukazywał. Czyżby nasz apel o wsparcie w strajku został przyjęty i zaaprobowany?...

Od tego czasu hałda kopalni nr 7 stała ogołocona i pusta. Łagier nr 7 rozpoczął solidarny z nami strajk. Staliśmy się silniejsi. Gdyby tak - myśleliśmy - powiadomić jakoś inne jeszcze niedaleko nas położone łagry? Tylko jak? Głowiliśmy się nad tym.

Strajk trwał nadal, zatarły się gdzieś granice narodowościowe, zanikły dawne historyczne animozje. Okazało się, że stoimy gęsto jeden obok drugiego i czujemy się jak jedna, wielka katorżańska rodzina złączona wspólnotą interesów. Przyszła mi w tym momencie do głowy analogia roku 1917, gdy komuniści wznieśli rewolucję przeciwko zniechwalonemu caratowi. Dziś miejsce zniechwalonego caratu zajęli komuniści, przeciw którym wystąpili ciemieni przez nich katorżanie.

Były też i różnice: myśmy stali bezbronnym tłumem, a komuniści przechadzali się uzbrojeni po zęby za drutami. Bronią naszą była solidarna jednomyślność.

Ta solidarność kazała nam w pierwszych dniach strajku podjąć akcję uwolnienia z "BUR-u" kilku naszych ludzi posadzonych tam jeszcze przed wybuchem strajku. Było to zadanie bardzo trudne i niebezpieczne, ale konieczne. Byli w nieszczęściu, a nasze postulaty dotyczyły wszystkich.

Zebraliśmy się na placu . Około 1000 ludzi. Stojąc w kilkunastu szeregach pobraliśmy się za ręce i ruszyliśmy w stronę ogrodzonego w rogu łagru baraku. Zwykły przypadek zrzucił, że w tym właśnie momencie w "BURZ-e" dokonywano "uborki". Trzech więźniów wynosiło na zewnątrz "kibel". Ujrzawszy nas - rzucili się w naszą stronę do ucieczki. Dopadli w biegu bramki w ogrodzeniu, biegnąc już nam na spotkanie.

Przyśpieszyliśmy krok. Biegący do nas ostatni z trójki uciekinierów, ~~odwrócił nagle głowę~~ słysząc komendę: "Strelaj!" - odwrócił w tył głowę. W tym momencie padł strzał. Uciekinier upadł



jak skoszony snop na ziemię. Dwaj pierwsi byli już wśród nas. Podeszliśmy przerażeni do leżącego. Miał przestrzeloną na wylot głowę. Na czole sączyła się kstrużka krwi. Z tyłu głowy, na wylocie pocisk obnażył wyrwany mózg. Więzień leżał na ziemi z wyciągniętymi w naszą stronę rękami jakby na przywitanie. Na które nie zdążył...

Spojrzeliliśmy w miejsce, skąd padł strzał. Na stanowisku ogniowym leżał sam młodszy lejtnant Bohomołow. Świeżo jeszcze upieczony oficer NKWD, który przyszedł do naszego łagru kilka miesięcy temu. Już od pierwszego dnia swego tu pobytu akcentował swoją bezwzględną do więźniów wrogość i nienawiść.

Ręka mu przy tym strzale nie drgnęła. Spełniał wszak tylko "socjalistyczeskij dołg" wobec partii. Pół roku zaledwie potem widziałem go już lejtnantem i z błyszczącą, przypiętym na piersiach pierwszym odznaczeniem.

Za kręgiem polarnym zginął człowiek-rebeliant, była to pierwsza ofiara naszego strajku. Jego rodzina nigdy nie dowiedzieć się jak zginął, być może oczekuje do dziś jego powrotu...

Niestety, nie była to ofiara ostatnia. Często z niewiadomego nawet powodu leżący na stanowiskach bojowych krasnoarmiejcy nagle otwierali ogień. Kanonada ogniowa trwała godzinami, w różnych miejscach obozu. Był to zapewne "nacisk" moralny na strajkujących "wrogów ludu", ale pociski dziurawiły również ściany baraków, zagładając też do środka. Pewnego dnia w wyniku takiej strzelaniny zabito dwóch i dwóch zostało ciężko rannych, których dostarczono natychmiast na ~~stół~~ stół zabiegowy do "stacjonaru". Dr Wiktor Timofiejewicz Zubkow, Ukraińiec, katorżanin, który nie jednemu już życie tu uratował, dokonał natychmiast zabiegu wyjęcia kul. Rzecz jasna bez środków nasennych i uśmierzających.

Zmarłych należało pochować. Po raz pierwszy zależało to częściowo od nas. Znalazł się wśród nas również ksiądz katolicki, Węgier, który nad leżącymi na białych prześcieradłach zmarłymi ~~med-~~

mówił stosowne modlitwy. Gdy ukląkł, uklękli wszyscy, choć przeważającą część stanowili obywatele sowieccy wychowani w ateizmie i wrogości do religii. Był to jednak hołd złożony ofiarom strajku oraz wyraz solidarności i ~~zakamowań~~ odpowiedzialności za wszystkich.

Zmarłych wyniesiono w tundrę, pochowano. Z gałęzi związane krzyż. W asyście uzbrojonego konwoju. Przyszła smutna refleksja: Na zmarłych dziś, wczoraj i przez ostatnie lata czekają ich matki, żony, siostry i dzieci, wierząc że żyją i wrócą. Ja wiedziałem, że już nie wrócą, a oni wciąż będą ich oczekiwać.

Mieszkańcy najbliższego Rejonu 2 (osiedle "wolnych"), głównie Niemcy Nadwołżańscy, górnicy o strajku dowiedzieli się na kopalni, już w dzień jego rozpoczęcia. Już po paru dniach Niemki przyszły z kwiatami pod druty obozu. One też wyrażały nam swoje współczucie podczas uroczystości pogrzebowych. Okazywały solidarność z naszym strajkiem. To ich również była sprawa, wywiezionych z Nadwołża do Workuty.

Dla NKWD "wizyta" Niemek pod obozem była pełnym zaskoczeniem. W pierwszej chwili nie bardzo wiedzieli jak mają reagować. Dotąd istniał surowy zakaz "kontaktowania się" z więźniami. A tu nagle złamały zakaz i przyszły nawet z kwiatami. Skończyło się na "rugatielnych" epitetach, które Niemki przyjęły z pokorą. Z daleka przesłaliśmy im swoje gorące podziękowania. Widzieliśmy jak były szczerze z tego zadowolone. Powiewając w naszą stronę chusteczkami odeszły.

Miało to dla nas strajkujących olbrzymie, budujące znaczenie. Kolejne dni strajku miały przebieg podobny. Nie chodziliśmy do pracy, propaganda radiowa powielala na przemian swoje obietniki i groźby, a my nie zważaliśmy na to wszystko żadnej uwagi, oczekując jedynie Komisji Rządowej z Moskwy.

Z tym "niezważaniem uwagi" nie było tak łatwo. Myśmy żądali, lecz Komisja wcale nie musiała przyjechać, stojące dookoła automaty mogły w każdej chwili otworzyć "pulumiotny" ogień i uczynić z nas miazgę. Udawaliśmy spokojnych i pewnych siebie, była to jednak gra

pozorów, gra w pokera, w której jedna tylko mogła wygrać strona. Wierzyliśmy, że moment wybraliśmy wyjątkowo pomyślny, ale jednocześnie przygotowani byliśmy także i na najgorsze.

Otrzymaliśmy drogą konspiracyjną informację, że strajk rozprzestrzenił się już na inne republiki sowieckie, przekroczył Góry Uralskie i dotarł do odległej od nas o ~~dwadzieścia~~ tysiące kilometrów Karagandy w Kazachskiej SSR. Była to wiadomość wprost szokująca. To prawie cały GULAG.

W samej tylko Workucie pracowało ok. 30 kopalń, które zatrudniały ponad 60 tysięcy górników. Jakże wielkie musiały być straty z postoju dwumilionowego GULAGU!?

Równoległe działy się rzeczy ciekawe i niezwykle na Kremlu. Był to bowiem okres rozprawy z Berią i jego najbliższymi pomocnikami, a właściwie to z całym Aparatem NKWD. Dlatego miejscowi notable czuli się niepewni i niespokojni o jutro.

Nadeszła wreszcie godzina X. Przez megafony zapowiedziano przyjazd Komisji Rządowej. Pośrodku placu ustawiono rząd stołów nakrytych czerwonym (nie wiem skąd) ~~praktycznym~~ materiałem. Z pomieszczeń administracji przyniesiono kilkanaście krzeseł i taboretów.

Otworzyły się w pewnym momencie wrota i na plac łagru wlała się barwnie ubrana kawalkada oficerów. W tym również trzech, z lśniącymi złotem pagonami generałów. Na tle szarych waciaków łagierników strojna gromadka dygnitarzy moskiewskich była najlepszym dowodem dzielących nas przegród materialnych, politycznych, ludzkich. Na tle szarych i wynędzniałych twarzy więźniów tryskały rumieńcem spalone do przesady i wydęte jak dynie twarze członków Komisji.

Spotkanie rozpoczął gen. Dierewianko przedstawiając się jako Naczelnik "Workut-Łagu"- mówiąc:

"Wot na wasze żądanie Komisja Moskiewska na czele z gen. armii P.I. Maślannikowem, zastępcą min. spr. wewn. Związku Radzieckiego, z generalnym prokuratorem ZSSR W.K. Rudenkowem, przewodniczącym Komsomołu ZSSR i innymi osobami przybyła"

Chytrym wzrokiem przeleciał po głowach siedzących ~~wokół~~ półkolem na ziemi katorżan, i przybierając już minę dobrotliwego wujka, zapytał:

"No- powiedzcie, proszę, jakie macie skargi i życzenia i kto was tu krzywdzi. Tylko każdy występujący winien podać swoje nazwisko, abyśmy mogli zapisać konkretnie kto i ~~o co chodzi~~ i jakie zgłasza zarzuty."

Skończywszy- usiadł z trudem mieszcząc się na krześle w oczekiwaniu na reakcję zebranych. Doświadczony bydle, a nie wziął pod uwagę, że ma przed sobą nie nieświadomionego i naiwnego głupa, lecz znających już na pamięć stosowane przez NKWD metody fałszu. Pełniąc obowiązki najwyższego zwierzchnika GUŁAGU ustawił siebie w roli niewiedzącego jak w jego carstwie żyją skazani na powolną śmierć niewolnicy. Kłamiąc w żywe oczy już z przyzwyczajenia, patrzył teraz na nas wszystkich jakby miał czyste zupełnie sumienie. Zalecenie, aby każdy występujący podawał swoje nazwisko też wywoływało przykre skojarzenia.

Na dzisiejszą chwilę rozmowy więźniowie oczekiwali dziewięć lat. Zachęty do wypowiedzenia prawdy i tego co myślą nie trzeba było ~~zachęcać~~ <sup>nie brakowało</sup>. Pierwszy rękę podniósł siedzący w pierwszym rzędzie Rosjanin. Uzyskawszy zgodę generała, powiedział:

"Nazywam się Stiepan Timofeiejewicz Simikin. Jestem oficerem Armii Czerwonej. Przez dwa lata walczyłem na froncie przeciwko hitlerowcom. Dwukrotnie byłem ranny i dwukrotnie odznaczony. Lecz w pierwszych latach wojny Armia Czerwona, pomimo przejawionego bohaterstwa i poświęcenia przegrywała poszczególne bitwy, w rezultacie których setki tysięcy żołnierzy i oficerów dostawało się do niemieckiej niewoli.

W nagrodę otrzymałem 20 lat katorgi i niewolniczy tryb życia w Gułagu. W obozach niemieckich głodzili nas i znęcali się nad nami wrogowie, hitlerowscy Niemcy. Dziś w łagrach "Workut-łagu" jeszcze bardziej znęcają się "swoi", funkcjonariusze NKWD.

To nie my jesteśmy "zdrajcami ludu", choć nas za to sądzono, ~~lecz ci dygnitarze w Sztacie Generalnym i na Kremlu, którzy nas źle uzbrojonych rzucili do walki z wysmienicie wyposażonym wrogiem.~~

~~Pytam więc was, generale prokuratorze kto tu jest rzeczywiście "zdrajcą ludu"?! To ci, którzy do wojny wymordowali naszą generalicję, Beria i jego pomocnicy, powinni dziś znajdować się w tych~~

lecz ci dygnitarze w Sztapie Generalnym i na Kremlu, którzy nas źle uzbrojonych rzucili do nierównej walki z wyśmienicie wyposażonym w technikę wojenną wrogiem.

Pytam więc was, Generalny Prokuratorze, kto tu jest rzeczywistym "wrogiem ludu"?! Czy ci, którzy ofiarnie walczyli na froncie, czy ci, którzy jeszcze do wojny wymordowali naszą generalicję?. To Beria i wszyscy jego pomocnicy powinni znajdować się dziś w łagrach GUŁAGU, a nie my, którzy przelewaliśmy na froncie własną krew."

Simikin przemawiał z żarem, widać było, że przeżywał to osobiście, autentycznie. Huczne oklaski zebranych zakończyły jego przemówienie, które było oskarżeniem znajdujących się pod kluczem i oskarżonych o te przestępstwa dygnitarzy moskiewskiego NKWD.

Mówcy kolejni, a było ich kilkunastu mówili o panującym w łagrze głodzie, surowym reżymie, znęcaniu się nad godnością ludzką, stosowanych w śledztwie torturach i niesprawiedliwych wyrokach. Mówili o tym Rosjanie, Ukraińcy, Gruzini, Ormianie, inni.

Słuchając tych tragicznych w treści przemówień obserwowałem pilnie twarze siedzących za stołami generałów. Udawali, że słuchają tego z przejęciem. Jednak wprawne oko doświadczonego w tej "grze" kartożanina nie mogło nie dostrzec, że jest to tylko taktyka, zmierzająca głównie do załagodzenia powstałego konfliktu i uruchomienia produkcji.

W ich znudzonych padającymi oskarżeniami oczach czytałem nieomylnie skrywane, prawdziwe myśli: "Niech się teraz wszyscy wyżalą, sprawę załagodzimy, a gdy wyjdą do pracy - poradzimy z nimi szybko i jak trzeba!"

Wyczytał to w ich oczach jakiś Ukraińiec, który dopuszczony do głosu powiedział: "Jeżeli oskarżeniom naszym nie wierzycie - pójdźcie tam w tundrę( wskazując ręką poza druty ogrodzenia), a natkniecie się wnet na sterczące z pod mchu piszczele zamęczonych tu głodem i pracą ludzi. Ludzi skazanych niewinnie!"

Kolejnym ruchem ręki wskazując stojący niedaleko barak-dodał: "W tych oto "stacjonarach", możecie to zaraz sprawdzić, leżą i dogorywają kolejni kandydaci jedynej tu drogi do "wolności"- tam w tundrze!" Znow wskazując ręką poza ogrodzenie.

Cios wymierzony celnie pozostał bez odpowiedzi. Słuchając tych kilkanaście makabrycznych przemówień, odtwarzających bezmiar ludzkich cierpień- normalny pracownik normalnego aparatu bezpieczeństwa uciekłby stąd natychmiast na drugi koniec świata, aby nie wrócić tu już nigdy i zapomnieć o tym wszystkim jaknajszybciej.

Ale ci spasieni na okrągło naszym kosztem towarzysze i amerykańskimi maszynkami wygoleni czerwoni dygnitarze bełkotali na zakończenie tego spotkania o "wnikliwym" rozpatrzeniu naszych spraw, zachęcając ochoczo do natychmiastowego przystąpienia do pracy i nadrobienia powstałych strat w produkcji.

Spoglądając na nas po raz pierwszy z bliska i na żywo wazyli zapewne wewnątrz siebie skuteczność realizowanego tu reżymu, którego byli jednocześnie i twórcami i kontrolerami. Czytałem bez trudu ich źle ukrywane myśli, które mówiły:

"Nie jest wam tu jeszcze tak źle, skoro stać was ~~na~~ bunt i odmowę pracy. Zastanowimy się teraz nad tym jak strajki takie tłumić jeszcze w zarodku".

Ostatnim mówcą na tym spotkaniu był Polak, akowiec, Oficer Wil.Okr.AK Józef Zwinogrodzki. "Janusz" naruszył przyjętą przez nas, Polaków, ~~xxx~~ taktykę, że jesteśmy razem ze wszystkimi, ale nie w "pierwszej linii". Miał jednak prawo postąpić jak uważał to za słuszne. Powiedział:

"Jako Polak, oficer i obywatel Polski walczyłem o niepodległość mojej Ojczyzny to znaczy Polski i w polskiej armii, Armii Krajowej. Sądzony byłem na zdradę Zw. Radzieckiego, którego obywatelem nigdy nie byłem. Jest to niezgodne z prawem międzynarodowym, a otrzymany wyrok uważam za nieważny. Przebywający w łagrach sowieckich obywatele polscy oczekują rychłego zwolnienia i odesłania do Polski.

Raz jeszcze brawa wszystkich zgromadzonych na placu więz-

niów zakończył to pamiętne dla jego uczestników spotkanie.

Zza stołu wstał gen. Dierewianko, powiedział:

"Wyrażam swoje zdziwienie, że jesteście tu źle traktowani i że macie tyle słusznych zastrzeżeń do administracji obozu. Zapewniam was solennie, że wszystkie zgłoszone dziś przez was zarzuty i skargi zostaną pilnie i wnikliwie rozpatrzone i załatwione, a winni nadużyć zostaną ukarani.. Sprawy wasze karne rozpatrzy Specjalna Komisja Moskiewska. Już dziś mogę was poinformować, że Władze Naczelne ZSSR upoważniły mnie, abym ogłosił wam, co następuje:

1. Znosi się obowiązek noszenia numerów na waszych ubraniach.
2. Wszystkim, którzy wysoko wypełniają będą normy produkcyjne, każdy przepracowany dzień pracy zostanie zaliczony potrójnie.
3. Więźniowie będą otrzymywać wynagrodzenie za swoją pracę.
4. Zezwala się pisać i otrzymywać listy bez ograniczenia.
5. Zezwala się członkom rodziny przyjeżdżać w odwiedziny i osiedlać się w Workucie.
6. W obozach zostaną uruchomione kioski żywnościowe.

Stawiam tylko jeden warunek: od jutra musicie przystąpić do normalnej pracy."!- zakończył swoje przemówienie gen. Dierewianko.

~~Wkrótce~~ Komisja Rządowa opuściła wnet obóz śpiesząc na spotkanie do kolejnego, ~~już~~ strajkującego łagru.

Należało teraz przedyskutować przekazane przez gen. Dierewianko warunki zakończenia strajku i podjąć odnośną decyzję. Dyskusję prowadzono na luzie i w atmosferze wywarzonego spokoju. Zdecydowanie przeważała opinia,, że przedstawione nam warunki są sukcesem, których nie należy odrzucać. Dyskutowanoby tak jeszcze długo, gdy ktoś doniósł, że jest już w tej sprawie ogłoszenie.

Rzeczywiście, na jednym z baraków widać było wywieszony ~~ogłoszenie~~ plakat. Wkrótce czytał śmy:

**Bracia Katorżanie!**

We wspólnym proteście wykazaliśmy cenną solidarność i mądrość działania. Hart ducha i wola walki o Nasze wspólne ludzkie prawa przyniosły nam już pierwsze, należne przywileje, o których dotąd mog-

liśmy tylko marzyć. Walkę swoją o wolność doprowadzimy do zwycięskiego końca. Dziś jednak wykażmy raz jeszcze rozwagę i wyrażmy zgodę na przedstawione nam wstępne warunki przerwania strajku. Niech solidarność w działaniu i nadal pozostanie naszą siłą. Jutro rano rozpoczniemy wszyscy normalną pracę.!

"SZU-2"- 24 lipca 1953 roku.

W godzinę później wszyscy byli już w swoich barakach. Dyskutowano jeszcze o strajku, spotkaniu z Komisją i osiągniętych już w rezultacie przywilejach. Tylko głosy nielicznych wyrażały sceptycyzm i powątpiewanie. Odsiadujący drugi już kolejny wyrok Rosjanin Fiodor Smirnow przestrzegał: "Ja ich wsiech znaju. etich abmanszczykow i ludojedow. Ani wsiorawno nas abjebut"!  
- zakończył przepowiednię swoją zdecydowanie i ostro.

Tragizm naszego położenia polegał na tym, że pertraktowaliśmy z przeciwnikiem, będąc całkowicie w ich rękach. Zamiast stosowanej dotąd przemocy poszli na ustępstwa. Należało to przyjąć. Przyszłość niedaleka pokazała, że postąpiliśmy słusznie.

Zasypiałem pełen ~~przeżytych~~ <sup>doznanych</sup> wrażeń i zadowolony z wyniku zakończonej batalii. ~~Zgłębkiemkiemkixxxxxxkudziixxxxxjakiixxxxxtry~~  
~~głoxix~~ Zapewne już spałem, gdy poczułem szarpnięcie za ramię. Otworzyłem oczy. Przy pryczy stał strażnik. Powiedział "Padnijcieś!".

Gdy gen. Dierewianko nakazał "przedstawiania się" wszystkim występującym - miałem złe przeczucie. I chociaż ja nie przemawiałem, na listach represjonowanych jako "niebłogonadiożnych" byłem zawsze. Nie pozbawiono mnie tego "przywileju" i tym razem.

Wyprowadzony zostałem za bramę łagru, gdzie stała już znaczna grupa więźniów. Z pośród Polaków byli tu już: J. Zwinogrodzki, O. Zarzycki i L. Blinstrub. <sup>A. Rymaszewski,</sup> Pod osłoną licznego konwoju odstawiono nas do przygotowanego specjalnie w tym celu karnego obozu nr 11 w Workucie. Zebrano tu ze wszystkich strajkujących w Workucie Ła-



grów około 600 ludzi. Sprawę strajku KGB potraktowało stosowaną dotąd metodą: wywołała go nie "klasa robotnicza", lecz mała grupka "prowodyrów i prowokatorów", których sprawiedliwie ukarano.

Obok obozu czynna była kopalnia pod tym samym numerem. Pracowali tu więźniowie z małymi wyrokami tzw. ZK., których przed naszym tu przybyciem przerzucono gdzieś w inne miejsce. Oznaczało to, że decyzję o zorganizowaniu karnego obozu KGB podjęło jeszcze przed przystąpieniem Komisji Rządowej do rozmów ze strajkującymi.

Miejscowy "Kum" zebrawszy nas wszystkich na placu powiedział wprost: "Jesteście w karnym obozie o specjalnym reżymie i stopniu izolacji. Trafiliście tu jako oskarżeni za podżeganie do buntu i organizację strajku w "Workutłagu". Będziecie za to pociągnięci do odpowiedzialności karnej. <sup>Jeżeli</sup> Będziecie pracować w kopalni nr 11, wydajną pracę i dobrym sprawowaniem złagodzicie swoje wyroki. Będziecie przebywać tu przez cały czas toczącego się śledztwa. Od jutra musicie przystąpić do pracy."

Odpowiedź nastąpiła natychmiast z tłumu: Strajku nie organizowaliśmy, jesteśmy niewinni, w karnym obozie pracować nie będziemy, możecie nas rozstrzelać, choć zaraz!

"Kum" nie zareagował na nasze oświadczenie, poza jednym słowem: "Padumajcie!" i oddalił się. Widać było, że ~~był~~ w postawie swojej był "nijaki", przekazał, co mu polecono od góry, spełnił swój obowiązek, mógł być spokojny.

Do pracy nie przystąpiliśmy. Był to protest na przedstawione nam bezpodstawnie fikcyjne oskarżenie. Czas spędzaliśmy na dyskusjach i rozważaniach o minionym strajku. Rozmawiając z ~~przedstawicielami~~ <sup>wieloma</sup> z wielu łagrów <sup>wielu</sup> rysował się ogólny obraz stanu nastrojów w łagrach oraz przyczyn bezpośrednich, które stały się punktem zapalnym wybuchu niezadowolenia.

W obozie karnym nie było doręczyciela pamiętnej dla mnie "Kartki" w przeddzień strajku. Nie było ani jednego z kręgu "błatnych".

Miało to swoją wymowę, bowiem doszedłem do rewelacyjnego wniosku, że workucki strajk wywołany został wedle scenariusza opracowanego przez NKWD-KGB!

Każdy zada sobie pytanie: jak to było możliwe i jaki mieli w tym cel?

Kilka ważnych faktów z ostatnich tylko miesięcy. Śmierć Stalina to pierwszy, lecz poważny wyłom w tym Aparacie Przemocy, twórcy GULAGU i zaopatrzciciela "strojek komunizmu" w darmową siłę roboczą. Fakt aresztowania Berii i przedstawiony mu i jego pomocnikom akt oskarżenia, odpowiedzialnością za te zbrodnie obciążył również cały podległy mu resort, którego pracownicy poczuli się zagrożeni bezpośrednio. Rozeszła się poważna pogłoska o mającej nastąpić wkrótce "czystce" i rekonstrukcji całej służby bezpieczeństwa. Nastąpiły dla niej ciężkie dni niepewności i zagrożenia.

Szukając obrony i wyjścia z tej sytuacji zdecydowali się na uderzenie w najczulsze i najważniejsze miejsce funkcjonującego systemu: w gospodarkę kraju przez strajk ~~dwumilionowy~~ 20-milionowego GULAGU. Zwrócili w ten sposób uwagę władz Kremla, że w GULAGU izolowani są przestępcy i "wrogowie ludu", nad którymi "czuwa" NKWD-KGB i nikt inny nie jest w stanie tego dokonać.

Strajk dosłownie w kilku dniach rozpowszechnił się w całym, rozmieszczonym w różnych częściach tego ogromnego kraju GULAGU, oddległych niekiedy i ponad 2000 kilometrów. Tego nie można było dokonać bez pomocy i udziału tego resortu.

Pohyt nasz w obozie karnym trwał 2 miesiące. Choć pracy nie podjęliśmy- nie byliśmy sądzeni i nawet ukarani administracyjnie. Porozyszano nas tylko po różnych łagrach workuckich. Trafiłem do łagru nr 3, który był już piątym z kolei moim miejscem pobytu w Workucie. Wraz ze mną A.Rymaszewski, O.Zarzycki i T.Pietryk.

Każda taka przeprowadzka związana była ze wszystkimi trudnościami jakie czekają przybysza w nowym środowisku, w innych warunkach pracy i bez żadnej najczęściej pomocy ze strony kogokolwiek.

W łagrze nr 3 spotkałem kilku, których przerzucono tu karnie z Norylska i Karagandy i również za udział i podżeganie do strajku. W tych odległych "miejscach odosobnienia" strajki przebiegały podobnie. Stosując później pozory "winnych" przerzucano do innych, często (jak w tym przypadku) odległych znacznie rejonów GULAGU. Pozwoliło to mnie na pełniejsze zorientowanie się w przebiegu tego strajku oraz upewnienie się odnośnie genezy jego powstania.

Los mego przyjaciela Kazika Cisa, wplątany w koło tego wydarzenia, najpierw karnie zaprowadził go do łagru nr 40, wkrótce potem do groźnego izolatora nr 59, a stamtąd, na Wigilię 1953, na etap do zamkniętego więzienia we Włodzimierzu. Gdy to wszystko nadludzką odpornością wytrzymał - wywieźli jeszcze na Syberię w okolice Tajszetu za Irkuckiem.

Przy takich okazjach szły do Moskwy raporty i rewelacyjne sprawozdania o wykrytych spiskach, udaremnionych buntach i niedoszłych morderstwach na osobach władzy. Winni tych przestępstw zawsze byli należycie ukarani, a wszystko to działo się za sprawą czujnych zawsze i wiernych partii pracowników NKWD-KGB.

#### Masakra w łagrze nr 29.

Strajk workucki miał też swoją wielką tragedię, która wydarzyła się w łagrze nr 29. Strajk rozpoczęła pierwsza zmiana w kopalni, na dole, lecz w tym samym czasie w zonie łagru powstał Komitet Strajkowy, do którego weszli przedstawiciele wszystkich narodowości. Był to krok bardzo nierozważny.

Strajk przebiegał podobnie jak w "SZU-2": obóz otoczono wojskiem, ustawiono broń maszynową, megafony na drutach ogrodzenia, strażnicy i administracja opuścili teren obozu. Była też petycja i postulaty strajkujących.

Z treści prowadzonej propagandy przez megafony i postawy Komitetu Strajkowego wytworzyła się napięta wrogością atmosfera. W tych warunkach zapowiedziany został przez radio przyjazd Komisji Rządowej do łagru. Przygotowano stoły, krzesła. Spotkanie z więź-

niami odbyło się na placu. W ślad za Komisją wkroczył do zony pluton wojsk NKWD. ~~ustawiając kolumny przy stołach~~ ~~zainicjowały wszystkie stoły~~ ~~nie~~ Komisja zajęła miejsca przy stołach, krasnoarmiejcy ustawili się tuż za Komisją.

Spotkanie zagał gen. P.I.Maślannikow- z-ca Min.Spr. Wewn. ZSSR ~~jak~~ przedstawiając się jako przewodniczący Komisji. Poinformował, iż chcący przemawiać powinni podnieść rękę, uzyskać prawo głosu oraz podać swoje imię i nazwisko.

Jako pierwszy wystąpił przewodniczący Komitetu Strajkowego, Polak, akowiec Edward Buca, który podchodząc do stołu przekazał Komisji Petycję z postulatami strajkujących.

Rozjuszyło to gen.W.K.Rudenko do tego stopnia, że czerwony na twarzy zaczął krzyczyć: "Wy kto?...Katorżanin?...Kontrrewolucjonista?...Milczeć!...Siadać!

Zaskoczeni takim obrotem sprawy więźniowie odpowiedzieli głośnym, chóralnym pomrukiem niezadowolenia. Z głębi siedzących dały się słyszeć pojedyncze okrzyki: Zdrajcy!...Bandyci!

Powstała sytuacja krytyczna. Wstał wtedy jeden z więźniów mówiąc: Ja Lech Kożuchowski, Polak z Warszawy, obywatel zaprzyjawnionego z Wami państwa, chcę was pogodzić: Komisję i siedzących tu, skrzywdzonych obywateli sowieckich.

Te kopalnie - mówił dalej, wskazując ręką dookoła - zbudowali siadający tu ludzie. Jeżeli i mieli oni jakieś winy- to swoim katprzniczym trudem dawno dawno już je ~~okupili~~ kupili. Wróćcie im wolność!

Jednak przemówienie Kożuchowskiego nie było zapewne po myśli jego współstrajkujących współtowarzyszy skoro rozległy się wnet głośne protesty i pomruki niezadowolenia. W rezultacie powstał ogólny tumult i zamieszanie.

Zareagował na to gen. Maślannikow słowami: "W takich warunkach Komisja nie może prowadzić rozmów. Komisja wstała-szykując się do wyjścia. Wówczas znów Kożuchowski, zwracając się do Komisji, zawołał: Wróćcie! Zatrzymajcie się! W imieniu wszystkich więźniów proszę o przebaczenie!

Nastąpiła chwila pewnego niepokoju i oczekiwania. Komisja zajęła ponownie miejsca za stołem. Kożuchowski przedłużył swą wypowiedź:

W Moskwie znają nasze warunki i chcą je poprawić. Tak bo-

wiem dalej być nie może, gdyż one nie różnią się niczym od hitlerowskich. My wszyscy życzymy władzy sowieckiej sukcesów, lecz pomóżcie nam!

Pojednawczy ton przemówienia Kożuchowskiego zmienił diametralnie powstałą sytuację i nastrój ogólny. Był jednak nadal wielką niewiadomą i nie było wiadomo, czym się to wszystko zakończy.

Wstał z miejsca gen. Maślannikow mówiąc:

"Dziękuję za życzliwe słowa i życzenia. Zamiast odpowiedzi przeczytam wam nasze warunki zakończenia tego strajku. Oto one:

1. Znosi się obowiązek noszenia numerów na obozowych ubraniach.
2. Wszystkim, którzy będą wypełniać wysoko normy produkcyjne każdy przepracowany dzień zaliczony będzie potrójnie.
3. Więźniowie będą otrzymywać wynagrodzenie za swoją pracę.
4. Zezwala się pisać i otrzymywać listy bez ograniczenia.
5. Zezwala się członkom rodziny przyjeżdżać w odwiedziny i osiedlać się w Workucie.
6. W obozach zostaną uruchomione kioski żywnościowe

Wasze sprawy karne rozpatrzy Specjalna Komisja Moskiewska. Przed wprowadzeniem przedstawionych wam ulg stawiam jeden tylko warunek: musicie zakończyć ten strajk i natychmiast przystąpić do pracy." - zakończył swoje przemówienie gen. Maślannikow.

Jednak więźniowie warunków gen. Maślannikowa nie przyjęli. Wręcz je odrzucili, żądając natychmiastowego spełnienia postulatów zawartych w Petycji strajkowej.

Obóz otoczony już był znaczną ilością wojska, pojawiły się nawet tankietki, samochody straży pożarnej i karetki pogotowia. Nie zmieniło to jednak postawy i decyzji strajkujących. W megafonach ucichła nagle muzyka wojenna, rozległy się słowa rozkazu:

"Natychmiast ~~wybiegnąć~~ nakazuję wszystkim wychodzić w grupach z podniesionymi w górę rękami, iść w stronę wartowni!

Więźniowie formowali powoli wymagany szyk, zdążając we wskazanym kierunku. Do obozu wbiegła w tym czasie grupa strażaków, ro-

wijając w biegu węże. Jeden z oficerów KGB fotografował całą akcję pacyfikacyjną. W obozie pojawili się krasnoarmiejcy, którzy rozbijali tłum na grupy. Stojących w tłumie strażak polewał wodą. Jakiś więzień doskoczył do strażaka, chcąc wyrwać mu z ręki wąż.- i padł natychmiast przeszyty s<sup>w</sup>rią z automatu.

Równolegle ze wszystkich stron rozległy się pojedyncze wystrzały. Odpowiedziały im jęki rannych. W całym łagrze grzmiała już śmiertelna kanonada. Padali ludzie, jedni na drugich. Przerażliwe krzyki uciekających, jęki konających i prośby o pomoc rannych zlewały się w jedno z nieustającym grochotem automatów, rażących zza drutów prosto w bezbronny tłum katorżan.

Nikt później nie był w stanie określić jak długo trwała ta cała ludobójcza akcja. Dziesięć, dwadzieścia minut, czy godzinę, a może i znacznie dłużej...

Na zlanym krwią ~~katorżaników~~ placu leżało około 200 zabitych i około 400 rannych, wijących<sup>się</sup> z bólu katorżan...

Workucką rozprawa dzielnych enkawudowskich krasnoarmiejców ze strajkującymi w łagrze nr 29 bezbronnymi katorżanami była zakończona. Wszystkim więźniom kazano wnet wyjść w tundrę. Korzystając z pomocy miejscowych "stukaczy"(znajdą się tacy wszędzie) ustawili wnet dwie grupy: stojących po lewej stronie wprowadzili wnet z powrotem do obozu, natomiast tych z prawej strony- załadowali szybko na samochody i odkonwajowano ~~do więzienia~~ w nieznane. Wszystkich członków Komitetu Strajkowego odwieziono do workuckiego więzienia.

Bici i torturowani- byli sądzeni. Znany mi jest los tylko Edwarda Bucy. Po otrzymaniu wyroku śmierci przesiedział czas dłuższy w celi śmierci zanim zamienili na dożywocie. Dwa lata przetrzymali go jeszcze w łagrze, zanim w 1957 przekazali swoim polskim odpowiednikom Ubekom.

Na Rakowieckiej maglowało go przez kilka miesięcy UB, zanim zwolniono. Wyjechał na Śląsk podejmując pracę w kopalni "Andaluzja". Miejsca długo nie zagrzał. Inwigilowany stale przez UB musiał opu-

ścię Polskę. Wyjechał do Szwecji, gdzie ożenił się ze szwedzką Zydówką i już razem, ~~już~~ na stwle, wyjechali do Kanady.

Mając lat 20 wstąpił w szeregi Armii Krajowej, aby walczyć o niepodległość swojej Ojczyzny - Polski, by po kilkunastu latach poniesionych dla Niej olbrzymich ofiar i cierpień być w Niej prześladowany i zmuszony do wyjazdu bez prawa powrotu.

Przedstawioną tu relację z przebiegu strajku w Łagrze nr 29 ~~określonej~~ odtworzyłem z osobistych wynurzeń Leszka Kożuchowskiego, którego spotkałem na zjeździe Żołnierzy Kresowych w Międzyzdrojach w 1992 roku.

Dziś łagru tego już nie ma. Pozostała jednak legenda o tych, którzy wtedy, w lipcu 1953 roku podjęli jakże nierówną, ale bohaterską walkę z sowiecką przemocą o ludzkie prawa dla wszystkich ~~obywateli~~ mieszkańców Workuty.

Z inicjatywy "Memoriału" stoi już tam pomnik, upamiętniający śmierć setek tysięcy zamordowanych przez dziesięciolecia więźniów. Pamięć po nich pozostała do dziś żywa.

Polscy Workucianie przesłali na ten cel również swoją skromną cegiłkę 3000 rubli przez sowiecką Ambasadę w Warszawie.

#### Po strajku.

Pierwszą euforię po zakończonym zwycięsko zdawałoby się strajku mieliśmy już za sobą. Ogłoszone przez gen. Maślannikowa w czasie strajku zobowiązania pozostały tylko czczym frazesem. Raz jeszcze mieli rację ci kstarzy katorżanie, którzy wtedy uprzedzali, mówiąc: "Oni nas wsiorawno abjebiut!"

Propagowane tzw. "zaczoty" były niczym innym jak wymuszanie<sup>m</sup> do jeszcze większego i ponad ludzkie możliwości wysiłku, za cenę skrócenia tylko otrzymanego niezaskuzenie wyroku. Praca taka prowadziła tylko do przyspieszonego wyczerpania fizycznego i śmierci. Pozatym nic się w życiu naszym łagrowym nie zmieniło. Ten sam rygor, reżym, nędzne wyżywienie, ~~tylko~~ wzrosło tylko niepomniernie pragnienie zmian, wolności i poczucie własnej, pogiębionej dotąd godności osobistej.

Nie obejrzeliśmy się jak upłynął kolejny rok katorgi, zamykając rocznicę dziesięciolecia! mojego, naszego pobytu w GUŁAGU!

Dziesięć lat w łagrach, gdy tam w Polsce ludzie cieszą się życiem i wolnością. Męczyć zaczęła myśl, że zostaliśmy tak łatwo ~~xxx~~ przez Naród zapomniani, i być może, skazani jesteśmy ~~już~~ na to, aby pozostać tu już na zawsze! Zwodził nas także ulatujący szybko ~~wyprze-~~ czas, lekceważył-sobą tylko zajęty świat Zachodni, a pojawiające się na twarzach naszych pierwsze zmarszczki mówiły o przeniwiającej już młodości.

Zima 1954 była mroźna, ale tu za kręgiem polarnym inaczej nie bywa. "Purgi" również były jakby częstsze i bardziej groźne. Łagodniejszy tylko w tym roku był maj, a może to w piersiach naszych żywiej tylko zabiły serca, zagrzewając umysł i duszę raz jeszcze kolejną porcją odżywczej wiosennej nadziei?

Nadzieja, która pojawia się sama wraz z promieniami radośniej świecącego słońca, każe się cieszyć z topniejącego ~~mx~~ już miejscami śniegu, napawa otuchą, patrząc na obnażającą się z szaty zimowej tundrę. Przyroda ~~ix~~ wie, że dni i godziny jej życia są tu policzone, śpieszy się więc i pragnie, aby w tym krótkim stosunkowo ~~xx~~ i wyznaczonym dla niej czasie spełnić swoją przyrodzoną powinność.

#### Strajk po raz drugi.

Wahadło czasu nie stało w miejscu. Mijały w ciąglym, bolesnym oczekiwaniu godziny, dni i miesiące. Znów nadszedł oczekiwany z zapartym tchem lipiec. Lipiec, który w roku ubiegłym był tak brzemienny w wydarzenia i zaowocował zrywem solidarnie podjętej walki. I choć nie spełnił pokładanych w nim nadziei, uzbroił nas w siłę, której nie mieliśmy dotąd.

Więźniowie chodzili przeważnie <sup>dziwnie</sup> ~~jakby~~ spięci i w milczeniu, ale wyczuwało się, że noszą w sobie ukryty głęboko ładunek wybuchowy. Świadoma była tego administracja obozu, czyniąc liczne zabiegi, aby stan ten złagodzić i rozładować. Były to jednak zabiegi jedynie kosmetyczne i powierzchowne. Bowiem nie w jej rękach leżały możli-



wości dokonania zmian, na które od lat oczekiwali więźniowie.

Głowiłem się siarczyście dochodząc do wniosku, kto był iniejator  
cjatorem strajku w 1953. Tym razem wątpliwości żadnych już niema:  
byli nimi zdesperowani do granic katorżanie!

Oszukani raz jeszcze w 1953, ale niewspółmiernie silniejsi i  
bardziej w tym doświadczeni postawili na strajk raz jeszcze jako  
jedyną broń, którą mieli w swych rękach i wierzyli w jej skutecz-  
ność.

8 lipca 1954 roku zmiana 1-sza nie wyszła z zony obozu do pra-  
cy w kopalni. Wszystko stało jasne i zrozumiałe od godziny 6-tej  
rano, gdy żadna brygada nie stawiała się tego dnia przed bramą wy-  
jściową z obozu.

Z dokładnością szwajcarskiego zegarka powtórzył się scenariusz  
strajku pierwszego. Opuścili wnet zonę obozu administracja i stra-  
żnicy. Otoczono obóz wojskiem NKWD. Karabiny maszynowe na tych sam  
nych miejscach. Te same megafony na drutach. I ta sama treść pro-  
pagandowych komunikatów. Tylko inni więźniowie: spokojniejsi, bar-  
dziej opanowani i co ważniejsze- mądrzejsi politycznie.

Petycja z tymi samymi coprawda postulatami, lecz przekazana  
Naczelnikowi łagru już pierwszego dnia strajku. Już od pierwszych  
godzin w obozie rządzą więźniowie. Ludność najbliższego osiedla  
(pasiołku) zjawiała się koło obozu z kwiatami już pierwszego dnia  
strajku. I tym razem, oprócz kobiet, widzieliśmy również i mężczyzn.  
Kontakt z nimi na odległość był krótki, ale serdeczny i wartości-  
wy. Nie należało ich narażać.

Obserwując zachowanie wojska odniosłem wrażenie, że nie są za-  
skoczeni ogłoszonym strajkiem. spełniali jakgdyby odgórny rozkaz.  
Już w trzecim dniu strjku przekazano do obozu, aby przygotować się  
na spotkanie z Naczelnikiem łagru. Choć nie było to jeszcze jak te-  
go żądaliśmy spotkanie z Komisją, to jednak i to zapowiedziane spot-  
kanie musieliśmy potraktować z powagą.

O wyznaczonej godzinie plac obozu zapełni<sup>ł</sup> więźniami. Nie

przyszli tylko ci, którzy leżeli w "stacjonarach". Naczelnik ~~przyx~~  
~~szedkwxasyxix~~ łagru Łysow przyszedł na to spotkanie w towarzy-  
stwie swego z-cy do spraw politycznych Iwczehki. Otwierając spotka-  
nie powiedział wprost:

" Władze Naczelne Gułagu postanowiły uwzględnić wszystkie wa-  
sze słuszne postulaty z natychmiastową mocą wykonawczą. Jestem upo-  
ważniony przekazać wam następujące zarządzenie:

1. Zdjąć strażę z wierz obserwacyjno-strażniczych.
2. Ruch ludzi na linii obóz-kopalnia odbywać się będzie bez ko-  
nwoju, w sposób wolny.
3. Wszyscy więźniowie mają prawo swobodnego poruszania się w  
terenie w promieniu 10 kilometrów od miejsca swego stałe-  
go pobytu.
4. Za wykonywaną pracę więźniom naliczać się będzie wynagro-  
dzenie.
5. Republikańskie Organa śledcze rozpoczęły już proces wery-  
fikacji waszych spraw karnych, a w Workucie z analogicznym  
zadaniem Komisje Weryfikacyjne.
6. Osoby zwolnione przez te Komisje z wyroków sądowych mają  
prawo osiedlania się w Workucie i mogą budować sobie bara-  
ki mieszkalne. Potrzebny do tego materiał budowlany zape-  
wnią władze administracji miejscowej.

Mam nadzieję - mówił - Naczelnik, że zarządzenie to przyjmiecie  
z zadowoleniem i od jutra rano przystąpicie do swojej normalnej  
pracy.

Zauważyliśmy już podczas przemówienia Naczelnika, że straż-  
nicy schodząc po drabinach opuszczali wierz obserwacyjne. Rów-  
nież otaczające obóz wojska opuszczały zajmowane dotąd stanowiska-be  
ska bojowe, opuszczając teren obozu. Był to pierwszy ze strony  
władz GUŁAGU krok, spełniający jeden z naszych postulatów. Przy-  
jęliśmy to jako akt uczciwej gry i woli spełnienia również wszy-  
stkich pozostałych postulatów.

To niezwykle jak na tamte czasy wydarzenie miało miejsce 10 lipca 1954 roku. Była to pierwsza rocznica wzniesionego przez katorżan łagru "SZU-2" pierwszego w historii ZSSR strajku GULAGU.

Nikogo tym razem nie aresztowano za "organizację" strajku, nie zorganizowano też karnego obozu. Tym razem, po raz pierwszy od 36 lat władza sowiecka zamierzała dotrzymać słowa.

Już nazajutrz idąc rano bez konwoju do pracy wydawało mi się, że znalazłem się nagle w jakimś innym zupełnie, nowym świecie. Ogłędając się raz po raz za siebie, upewniałem się, czy aby nie idzie kto za mną z automatem. Ze naprawdę idę sam i mogę zrobić krok i lewo, i w prawo bez obawy, że ktoś mnie za to zastrzeli. Przedziwne to było uczucie, którego dziś nie jestem w stanie określić. Za ten jeden tylko przywilej swobodnego poruszania się w terenie warto było strajkować i narażać nawet katorżańskie życie.

Już po kilku dniach pierwszej wstępnej "wolności" dotarły informacje, o pierwszych weryfikacjach wyroków sądowych przez Workuckie Komisje Weryfikacyjne. Dotyczyło to Ukraińców "zapadników", których zwalniano grupami. Tylko nieliczni z "prawem wyjazdu" z Workuty. Ci natychmiast wyjeżdżali do miejsc swego dawnego zamieszkania. Ci, którzy musieli pozostać na miejscu, przystępowali z miejsca do budowy sobie baraków.

Był to jeszcze jeden dowód, już kardynalny, że władze moskiewskie doszły do wniosku, że nie da się już GULAGU utrzymać w jego stanie dotychczasowym i potrzebne są zasadnicze modyfikacje. Skutki tych pierwszych zmian odczuliśmy właśnie na sobie w Workucie..

Odtąd informacje o kolejnych zwolnieniach przez Komisje Weryfikacyjne napływały codziennie. My, Polacy oczekiwaliśmy wiadomości o zwolnieniu Polaków. Był to okres, w którym workuccy katorżanie przeżywali swoje jakby nowe narodziny. Tak nieporównywalna ~~była~~ ~~sytuacja~~ była sytuacja aktualna z tą, ~~którą~~ ~~nie~~ ~~mieliśmy~~ w której żyliśmy dotychczas.

Nawet ten tak bardzo ograniczony zakres danej nam wolności uczy-  
nił nas ludźmi szczęśliwymi, choć marzenia i tęsknoty nasze główne,  
patriotyczne i rodzinne nadal pozostały w sferze pragnień.

Rosły nowopowstające "pasiołki" nowych "wolnonajomnych" obywa-  
teli Komi ASSR i nagle informacja jak kubeł lodowatej wody na roz-  
entuzjasmowane głowy: Z Zachodniej Ukrainy powrócili do Workuty nie-  
dawnó zwolnieni tu przez Komisje Weryfikacyjne katorżanie.

Z Workuty wyjeżdżali niesieni na skrzydłach szczęścia, że ja-  
dą do swojej najbliższej rodziny i kraju, gdzie się urodzili i żyły-  
li. Ale gdy się tam już znaleźli, po pierwszych pocałunkach i przy-  
witaniach, doszło do rozmowy jak żyją - stwierdzili, że żyją w nę-  
dzy. Gdy zgłosili się do urzędu, aby dopełnić obowiązku meldunku,  
urzędniczka uzależniła to od "zgody" miejscowego NKWD. Tam znowu,  
oficer KGB zastrzegł, że może ~~się zgodzić~~ <sup>wyrazić</sup> zgodę na meldunek, ale  
tylko w odległości conajmniej 100 kilometrów od miasta.

Gdy zgłosił się do kilku zakładów w poszukiwaniu pracy, ludzi  
brakowało. Gdy jednak stwierdzili, że był sądzony jako "wróg ludu"-  
przyjęcia do pracy odmówili. "Repatrianci" stwierdzili, że zmiany,  
które nastąpiły w "miejscach odosobnienia" nie objęły całego kra-  
ju, gdzie życie toczyło się starym, utartym od lat torem. Stalin  
już nie żył, ale system stalinowski trwał i obowiązywał nadal.

W tej sytuacji wyboru nie było. Pozostawało tylko wrócić tam,  
skąd przyjechali, do "swoich", byłych "zakluczonych", a teraz  
szczęśliwych już "wolnonajomnych". Wracali do Workuty sami lub ~~z~~  
z całymi rodzinami wiedząc, że będąc między takimi jak oni, nie  
będą prześladowani i dostaną pracę.

Rzeczywistość ta była smutna i tragiczna, jednak dotyczyła oby-  
wateli sowieckich. My, Polacy, oczekując zwolnienia, myślami byli-  
śmy już w Polsce. Pracowałem w tym czasie w kopalni nr4 i "miesz-  
kałem" w łagrze o tym samym numerze. Całą swoją uwagę skupiłem

teraz na tym, aby "rzetelnie" pracując nie narazić się "Kumowi", który w dalszym ciągu miał wiele do powiedzenia w mojej sprawie.

Niedziele były teraz dniami wolnymi od pracy. Życie Polaków ogniskowało się w tym czasie w kilku domach Polaków, przebywających w Workucie na prawach "spec-posielańców". Szczególnie otwartym był dom państwa Natalii i Edmunda Weberów oraz Piotra Pietkiewicza.

Dni świąteczne, pomimo istniejącego zakazu, rozpoczynaliśmy od wysłuchania mszy św. odprawianej przez niezastąpionego w krzewieniu kultu religijnego ks. Józefa Kuczyńskiego, który dzięki któremu mieliśmy namiastkę małej Polski. On jedyn<sup>o</sup> tylko wiedział jak zdobył niezbędne do tego szaty liturgiczne i gdzie je przez ten czas skutecznie przechowywał.

Kilka słów przynajmniej o tym kapłanie przekazać należy. Tą nową misją kapłańską cieszył się tylko 2 lata. Aresztowany za to w 1958, powtórnie przeszedł piekło śledztwa i skazany został na 8 lat pobytu w łagrach Irkucka, skąd został przerzucony do obozu w Mordowii i zwolniony 9 grudnia 1965 roku.

Wezwany do Winnicy objął parafię w Barze, gdzie z charakterystyczną jemu tylko pasją prowadził swą pracę misyjną, służąc wiernie swoim parafianom. Zmarł w 1972 po chwalebnej służbie Bogu i ludziom, w której 19 lat przebył w łagrach sowieckich.

Na niecierpliwym oczekiwaniu na zezwolenie wyjazdu z Workuty upłynął rok 1955, nadszedł podobny do niego 1956, rok XX Zjazdu KPZR. Poprzedzony długim okresem propagandowym w prasie i radiu przeszedł w Workucie jakby niezauważony.

Nie upłynęło po nim jednak dużo czasu jak wyjeżdżającym z dołu na 1-ej zmianie kopalni nr 4 górnikom (jeszcze katorżanom) zalecono zebrać się w sali "zbornej". Rzecz dotąd niepraktykowana, stąd<sup>u</sup> wszystkich zrozumiałe zaciekawienie.

"Zborna" zapełniła się wnet po brzegi. Staliśmy wszyscy jeden obok drugiego, w tłoku, ale z rosnącym wciąż zaciekawieniem. Zasła-

ny czerwonym materiałem stół zapowiadał spotkanie z ważną władzą. Zjawiła się świta, której my rzecz jasna nie znaleźliśmy.

"Przybyliśmy z Moskwy - rozpoczął jeden z nich.- z polecenia C.K. KPZR." Brzmiało to groźnie. Zaczął oczywiście od rewolucji październikowej i osiągnięciach socjalizmu za miniony okres.

Zorganizowali zwykły wiec propagandowy - pomyślałem, słuchając tych powtarzanych już do znudzenia frazesów.

" Stalin- mówił przedstawiciel Moskwy - już od pierwszych lat swego rządzenia partią postawił na tworzenie obozów przymusowej pracy, deportując w głąb kraju określonych ludzi, środowisk i całych narodów."

Słuchając tych rewelacji z ust partyjnego wysłannika Moskwy, pytałem skrycie siebie, czy aby gość z Moskwy nie jest przypadkiem pijany albo chory umysłowo.

"Strach przed władzą- mówił poważnie dostojnik z Moskwy- stał się wkrótce głównym narzędziem dokonywanych przez ten system rządzenia, mordów i zbrodni. Każdy, najmniejszy nawet przejaw wyrażenia odmiennej opinii spotykał się natychmiast z metodami stosowanej przez specjalne organa represji.

Towarzysz Stalin, obawiając się konkurencji, likwidował ideowych i zasłużonych dla partii komunistów, oficerów, uczonych. Wszystkich, kto stał na drodze jego osobistej kariery i interesów- usuwano bądź likwidowano"

Nie, to nie był żart, czy prowokacja. Ten człowiek mówił poważnie i był nawet zainteresowany, aby słuchający go w tej sali ludzie przyjęli to za oczywistą prawdę i pewnik. Ten partyjny funkcjonariusz przyjechał tu z takim właśnie zadaniem, które musiał wykonać.

Rozejrzałem się tylko po sali, obserwując twarze innych i wyczytać z nich, co myślą. A było kogo obserwować: naczelnik łagru, jego partyjni pomocnicy i <sup>Sain</sup> "Kum". Stali jak zmyci, śtywni, zaskoczeni, jakby chcieli mówiącego zapytać: Towarzyszu Sekretarzu"!- Czy to wszy-



tak - jakby ktoś odciął mnie obie nogi. Przez 20 lat pouczali mnie, że Stalin jest największym i najdoskonalszym z ludzi, a wczoraj przedstawiciel tej samej partii stwierdził, że jest on największym zbrodniarzem i mordercą.

Za to dziś, Kola, inaczej napewno patrzysz na katorżan i otaczające cię łagry i na podbite sąsiednie narody, o czym mówiłem Ci niejednokrotnie, i w co miałeś pełne prawo, aby mnie nie wierzyć.

Dziś znasz prawdę, możesz wiele uczynić, aby wyrządzone ludziom krzywdy wynagrodzić choć w części.

Potępienie Stalina wywarło wielkie wrażenie na wszystkich bez wyjątku. Stojącemu przed budynkiem workuckiej Milicji posągowi, nieznanemu sprawca urwał nocą głowę. Sprawcy nie szukano. Pomnik nakrył to białą dużą płachtą materiału. Przez zwykłą ciekawość, jak wielu innych, poszedłem pod pomnik, aby sprawdzić to osobiście. Oglądałem z satysfakcją. Przechodząc!!

Przypadkowo spotkałem Piotra Pietkiewicza. Dobrze, że Cię widzę - powiedział z miną profesora. Wczoraj słuchałem R.W.E. - podali nazwiska przebywających w łagrach workuckich oficerów A.K. oraz niektóre nazwiska naczelników łagrów.

Niemożliwe - powiedziałem zaskoczony tym. Nie, nie żartuję - odpowiedział Piotr. ~~Rzeczywiście~~ Wymienili również i twoje nazwisko. Tym mnie już dobił.

Jeżeli prawdą jest - powiedziałem - co mówisz - ~~zrzą~~ wyrządzą dzili mi tym niedzwiedzią przysługę. Taka interwencja zagranicy, gdy ja każdego dnia oczekuję zezwolenia na wyjazd - może mnie <sup>tylko</sup> ~~uważnie~~ zaszkodzić. Mogą przetrzucić mnie natychmiast w inny rejon Rosji i zatrzymać wyjazd.

Nie obawiaj się, Pawełku" - mówił Piotr, NKWD jest rozwiązane, swoimi zajęte jest teraz kłopotami. Sami czują się obecnie mocno zagrożeni. Pożegnaliśmy się z uśmiechem na twarzach, ale otrzymana od Piotrka informacja była jednak niepokojąca. W każdym przypadku ona nie była mi pomocna. Idąc do obozu całą drogę myślałem o R.W.E. i o tym komunikacie.



Tydzień po rozmowie z Piotrem otrzymałem powiadomienie z zaleceniem stawienia się do "Spec-CZasti" w łagrze nr4. o godz.11. Zwolnienie na wyjazd, czy może....

Stawiłem się punktualnie co do minuty. Kierowniczka biura Rosjanka, Grozunowa na moje uniżone: "zdrastwujtie"! - odpowiedziała przeciągle i dobrotliwie: "Zdrastwujtie."

Grozunowa wyjąwszy z teczki jakieś pismo i podając mi powiedziała: Proszę ~~podpisać~~ przeczytać i pokwitować mi odbiór.

Wziąwszy do ręki-czytałem:

SSSR, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, ITL "Z" skr.poczt.175-22  
6 września 1956 roku.

SPRAWKA Nr101299  
gpu 574738

Wydana obywatelowi Świetlikowskiemu Pawłowi, synowi Rudolfa urodzonemu w r.1915, narodowości polskiej, urodzonemu w Wilnie, Litewska SSR w tym, że on przebywał w miejscach odosobnienia MWD od 15 września 1944 do 27 września 1956 r., skąd zwolniony na podstawie uchwały Komisji Prezydium Rady Najwyższej Związku SSR z 24 sierpnia 1956 roku, zwolniony jest od posadności.

Udaje się do miejsca zamieszkania w Wilnie, Litewskiej SSR. Naczelnik łagru Szebukin, Naczelnik Oddziału Grozunowa. (Fotografia, pieczęć okrągła)

Pokwitowałem szybko odbiór Sprawki, powiedziałem jeszcze mojej Dobrodziejce gorące i szczere: "spasibo" i wyszedłem z tego drogiego dla mnie w tej chwili budynku jakby niesiony na niewidzialnych skrzydłach opatrności. Idąc przez plac obozu nie dotykając zapewne ziemi, a myślami byłem już w swoim ukochanym, rodzinnym Wilnie.

Miałem nad sobą błękitno-polskie niebo, znikły gdzieś rozciągnięte dookła druty, a 12 lat spędzonych w łagrach Workuty wydały się zwykłym tylko, przejściowym w życiu epizodem.

W sercu nie czułem ani odrobiny nienawiści do swoich niedawnych jeszcze prześladowców. Napotkanych po drodze przypadkowych ludzi uściskałem serdecznie jak najbliższych mi krewnych.

Ceprawda wszyscy oni patrzyli na mnie z niedowierzaniem i dziwnie się uśmiechając, ale ja myślami pochłonięty byłem spotkaniem z Grozunową, otrzymaną "sprawką" i uradowanymi niezmiernie w Wilnie krewnymi i przyjaciółmi.

-----  
Do pełnego szczęścia brakowało mi jeszcze kolejowego biletu, też od Rosjanki Grozunowej. Z Polski nadchodziły w tym czasie o poważnych zamieszkach w Warszawie, zwanych poskim rządziernikiem.

Przeżywałem to podwójnie: cieszyłem się, że "duch walki" w Narodzie nie zaginął, martwiłem się, że w okresie zamieszek mogą mnie tu zatrzymać.

To denerwujące gdybanie trwało do 10 października, to jest do dnia, gdy moja Dobrodziejka Grozunowa wręczyła mi bilet Kolejowy do Wilna oraz 25 rubli i 25 kopiejek wraz z suchym prowiantem na drogę.

Wyjechałem z Warkuty tego samego dnia (za godzinę mogli wszystko zmienić • odwołać) <sup>pociąg</sup> relacji Warkuta-Moskwa, zajmując w pustym przedziale miejsce przy oknie i z widokiem w kierunku jazdy.

Gdy pociąg ruszył, uczyniłem znak krzyża. Dziękowałem też szczerze czwórce morderców Stalina i kolejnym zabójcom Berij, ponieważ bez tych dwóch wydarzeń, nie byłoby strajków, zaistniałych zmian, a dziś mnie tu w tym zdążającym do Moskwy pociągu.

Wraz z mijającymi minutami oddalałem się od Warkuty, gdzie zostawiałem 12 lat swego wygnańczego życia. Oprócz karcerów i karnych obozów zostawiałem też wielu mądrych i szlachetnych ludzi, do których zbliżyły mnie wspólne koleje tego samego losu.

Z każdą sekundą oddalałem się od miejsca, które będąc dla mnie piekłem i przekleństwem, stało się równocześnie symbolem walki i dumy. Nienawidziłem je i szanowałem jednocześnie. Nienawidziłem, ponieważ człowiek-zwieźę maltretował <sup>tam</sup> i zabijał drugiego człowieka. Szanowałem, ponieważ umierali tam ludzie nie tylko z głodu, ale również i przeważnie z miłości do swojej Ojczyzny.

Koła pociągu dudniły pode mną głucho i rytmicznie odliczając na stykach szyn pozostawione za sobą metry, jak się zastawia ~~czas~~ za sobą mijający bezpowrotnie czas.

Po obu stronach pędzącego pociągu oglądałem setki rozlokowanych w terenie obozów. Patrząc na nie 12 lat temu jadąc do Warkuty stanowiły wtedy dziwną tajemnicę. Dziś wzbudzały we mnie ogrom współczucia dla tych, którzy byli w nich zamknięci. Byłem jednak tylko bezradnym obserwatorem.

W Moskwie przesiadłem tylko do pociągu w kierunku na Wilno, do którego było mi tak śpieszne. Tyle wszak zmian zaszło w życiu tego miasta i moim przez tych 12 wiekowych lat. Było te Wilno moim niezwykłym talizmanem, z którym chodziłem po jego ulicach, układając w młodzińskich marzeniach swoją świetlaną przyszłość.

Wczoraj jeszcze jakby byłem w Warkucie, a dziś już w Wilnie. To tak jakbym z planety śmierci przeniósł się na ojczystą ziemię umajoną dobrem i uśmiechem niewinnego dziecka.

Nie zdążyłem jeszcze dokończyć rachunku sumienia ze swego życia, jak pociąg stał już na dwercu wileńskim. Byłem zdziwiony, gdy zamiast śpiewnej gwary wileńskiej uszu moich doleciał głos obcej sercu mojemu mowy. Inny też był wyraz twarzy spotkanych tu ~~ludzi~~ ludzi. Poczujęm się dziwnie nie-swoje i obco. Nikt na mnie tu nie czekał i byłem dla tych wszystkich zakłopotanych ludzi również obcy i niepotrzebny.

To było już zupełnie inne Wilno i niepodobne do tego, które było w mojej pamięci. Ktoś powywoził stąd dawnych jego mieszkańców, pozamykał 50 przepięknych kościołów, zmieniając jego prastare, słowiańskie oblicze w miasto ubranych szaro i milczących manekinów.

Ucając się w stronę azielnicy Kalwaryjskiej stanąłem wnet przed drewnianym, zielonym domem przy ulicy Trębackiej 4. Ojciec mój zmarł w roku 1939, a mnie się wydało, że widzę go teraz jak

